CHIMERA



TOM V • ZESZYT 14 • SIERPIEŃ 1902
REDAKCYA I ADMINISTRACYA
WARSZAWA • NOWY ŚWIAT 22

TREŚĆ.

TOM V ZESZYT 14. — SIERPIEŃ 1902.

Klisze rysunków do tego N-ru wytrawiono w zakładzie chemigraficznym B. WIERZBICKIEGO i S-ki.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica.“

Składali FELIKS DĄBROWICZ i JÓZEF PERŻAK. Łamał FELIKS DĄBROWICZ.

Odbijali na maszynie: tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę — M. KUCHOWSKI.

Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Сентября 1902 года.



CHIMAERA

CZĘŚĆ DRUGA. WŁAŚCIWA: GRAMATYCZNA, FILOZOFICZNA I EGZEGETYCZNA. *II.*

Niech pp. gramatycy zechcą wytłómaczyć wszystkim lingwistom Europy i Ameryki, tudzież wszystkim osobom umiejętnym: JAK TO SIĘ ZROBIŁO, ŻE CAŁA JEDNA CZĘŚĆ MOWY JEST OPUSZCZONA WE WSZYSTKICH GRAMATYKACH WSZYSTKICH JĘZYKÓW?

Czy nie byłoby to z przyczyny, iż nienazbyt często oneż gramatyki dają DEFINICYĘ CZĘŚCI MOWY?..

Nic tego nie wiem... Sam zaś, o ile dane mi jest znać, głoszę, iż cała jedna MOWY CZĘŚĆ jest z dotychczasowych gramatyk wypuszczoną. I to ta, na której buduje się i osklepia frazes — i nietylko nawet jeden frazes, lecz i następnego logiczne zagajenie,

i trzeciego, i czwartego wątek etc... Częścią tą mowy jest: PRZEMILCZENIE... Montesquieu nie powiada nic nieznanego, skoro mówi, iż daleko więcej od mówienia wyrazić może i wyraża nieraz MILCZENIE. Lecz, otóż to jedno tylko gdyby jego było atrybutem i świadectwem, jużci, że TO, CO OD MÓWIENIA WIĘCEJ WYRAZIĆ MOŻE, musiałoby być MÓWIENIA CZĘŚCIĄ. Pretensya zdaje się być dosyć usłusznioną!..

Milczenie więc, a mówiąc w zastosowaniu praktycznem: PRZEMILCZENIE, jest niezawodnie częścią mowy. Prawda nazbyt duża, ażeby jej nie przeczuwali pp. gramatycy, i ażeby nie podejrzewali, że jest jeszcze coś SEMIPSYCHOLOGICZNEGO do objęcia; ale poczęli sobie oni w tym względzie najniezgrabniej i prawie zabawnie, bo uczynili CZĘŚCIĄ MOWY WYKRZYKNIK! Zaś wykrzyknik nietylko policzać trudno do zasadniczych gramatyki posiadłości, z przyczyny, że jest on pozaskładniowym, bo cały się na wyrzutniach i niegramatycznościach buduje; ale i z tej, że, właściwie mówiąc, tylko tam brzmi wykrzyknik, gdzie nie jest deklamacyjnie zastrzeżonym i nakreślonym, lecz gdzie sam z ustroju słów gwałtem się wyrywa... Są wprawdzie osoby, które dwa i trzy wykrzykniki w jeden punkt kładą, ale to wcale rzeczy nie pomaga, ani nic w niej nie wzmacnia.

Co więcej, wykrzyknik nietylko powodować nie zwykł następstw budowania wypowiedzeń, lecz właśnie, że je zatrzaskuje i urywa. Nie można więc było niewłaściwszego zrobić wyboru.

Inaczej zupełnie jest z PRZEMILCZENIEM, które (według mojego twierdzenia) będąc żywotną częścią mowy daje się naprzód w każdem zdaniu wyczytać, a potem jest logicznym następnego zdania powodem i wątkiem. Tak, iż to, co DRUGIE z porządku zdanie głosi i wypowiada, było tylko co PIERWSZEGO zdania niewygłoszonem przemilczeniem, a to co trzecie mówi zdanie, leży w drugiego przemilczeniu, a co czwarte, w trzeciego... i tak, aż do dna treści, która tym dopiero sposobem jest rzeczywiście wyczerpaną na mocy logiki w takowym procesie dotykalnie objawiającej się.

Pp. gramatycy zaprzątać się zwykli jakąś abstrakcyjną mową, której niema. Mowa, DLA TEGO, ŻE JEST MOWĄ, musi być nieodzownie DRAMATYCZNĄ! I jakże byłaby inaczej mową? — MONOLOG nawet jest rozmową ze sobą albo z duchem rzeczy. Zdania tak abstrakcyjnie bladego, któreby wcale nie przynosiło ze sobą PRZEMILCZENIA, prawie niepodobna jest wymyśleć! I gdyby się takowe złożyć udało, to musiałoby ono być nienależącem do ogółu żadnej żywotnej mowy.

Skoro mówisz:

„JAKŻE MI SIĘ MIEWASZ, PRZYJACIELU?“

Przemilczane w tem jest:

— Dość dawno Cię nie spotkałem lub nie widziałem, ażeby tem żywiej zapytać—„jakże mi się miewasz, przyjacielu?“ —A to przemilczenie wstępne będzie zaraz wygłosem zdania następnego, i tak dalej.

„Jakże mi się miewasz, przyjacielu? albowiem

dość dawno nie widziałem Ciebie, ażeby tem żywiej o to pytać."

Podobnież, i w następnem zdaniu:

— NIE NALEŻY BYĆ O WIELE JAŚNIEJSZYM O PRZEDMIOTU — przemilczane jest:

— przedmiot każdy ma sobie odpowiedni stopień światła, pod którego wpływem najstosowniej przedstawia się — a przeto:

„NIE NALEŻY BYĆ O WIELE JAŚNIEJSZYM OD PRZEDMIOTU" i t. p...—Czyli, toż samo wybrzmi przy następnem rozwinięciu rzeczy i przy stopniowej przemianie przemilczeń na wygłosy:

— Nie należy być o wiele jaśniejszym od przedmiotu, każdy albowiem ma sobie odpowiedni światła stopień, pod którego wpływem się najsłuszniej przedstawia, i t. p.

Z tej to pochodzi właśnie przyczyny, co Montesquieu za innymi powiada o WYRAŻENIA MOCY WŁAŚCIWEJ PRZEMILCZENIU. I tę to więc moc jużci że posiadać musi przemilczenie, skoro (jak okazaliśmy wyżej) radykalny ma związek tak z każdem pojedyńczo zdaniem, jak i z całością budownictwa mowy. Czyli, że, nie będąc pierwej do tyla istotną częścią mowy, jakżeby cośkolwiekbądź uwyraźnić było w możności?..

GRAMATYCZNE i LOGICZNE nasze w tym przedmiocie poglądy, cokolwiek może skąpo, lecz stosownie do objętości niniejszego pisma, na tychto skreślonych powyżej zamykając,—przejdźmy do egzegetycznej i filozoficznej tegoż obrazu części.

Filozoficzne Pythagorasa MILCZENIE (którego znaczenia dotąd nie wyjaśniła żadna egzegeza) przychodzi nam tu opowiedzieć i sprawozdać na mocy osobistych naszych poszukiwań. Niekoniecznie dla tego, ażebyśmy to MILCZENIE mieli za Pythagorasa i jego zwolenników pomysł i wynalazek, tylko z tej przyczyny, że do nas doszła wiadomość o niem przez tę drogę, bo my przez historyę Pythagorejczyków o tej praktyce dowiedzieliśmy się. Rzecz zaś sama ani nawet egipską, nietylko grecką i Pythagorejską nie jest, lecz z najstarszych azyackich religijno-filozoficznych teoryj i praktyk płynie, a dopiero zaczerpnął jej był Pythagoras w Babylonie za czasu swej i wędrówki i niewoli.

Lecz czy nawet dziś, przy zupełnem rozbałamuceniu czytelnictwa, może znaleźć się taki lekkomyślny czytelnik, który, przed oczyma mając, że Italskiej szkoły Mistrz żądał był od poczynających uczniów DWA, TRZY, PIĘĆ i SIEDM lat milczenia, nie zastanowiłby się na chwilkę, iż tenże nie mógł przecież z onymi jak oficer z żołnierzami postępować, samym rozkazem nagim rządząc się, ale, że musiał on zalecenie takowe, a nienajponętniejsze, jakiemś usłusznieniem zadatkować.*) Wypoczęta od zewnętrznych nadużyć i w normalny wprowadzona stosunek harmonia pomiędzy uchem ZEWNĘTRZNEM a WEWNĘTRZNEM, pomiędzy PATRZENIEM OPTYCZNEM a WIDZENIEM—niemniej DOTYKANIEM, niemniej SMAKIEM... słowem, odbudowanie całej postawy zmysłowej człowieka, długim spokojem milczącej ciszy pozyskane, nie wiem nawet, czyli byćby mogło wystarczającą zapowiedzią... Myślę, że nie!.. myślę, że egzegeza tej ciemnej treści, takie tylko dająca tłómaczenie, byłaby przestającą łatwo na nabytkach nieco podrzędnych. Tam — to jest, pomiędzy Mistrza wnioskiem a przystępującego doń wolą—szło o coś pełniejszego od dyscypliny rad, o coś tak bezpośrednio żywego, iż tem sa-

---

*) Głosi się wprawdzie, iż Pythagoras względem uczniów swoich używał SŁOWA-WŁADZY Mistrzowskiego, co śród kilkuset osób razem żyjących mogło miewać swoje administracyjne zastosowanie. — Lecz tego inaczej u „PRZYJACIELA MĄDROŚCI“ brać nie można. Mowa zaś jest o PRZYSTĘPUJĄCYCH do Pythagorejskiej inicyacyi, nie o spółzamieszkałych. *C. N.*

mem zakląć dawało się cząstkę życia człowieka rozumnego i onąż umartwić. O co zaś szło tam?.. podobno, iż mnie zakrytem nie jest, albowiem dość uważnie poszukiwałem tego—lecz, ażeby tak niemałą sprawę bezpiecznie wypowiedzieć, należy mi siebie poniekąd aż do swojego osobistego przekonania filozoficznego pierw urzetelnić.

— To jest: iż NIE MYŚLĘ WCALE, AŻEBY WYSTARCZYŁO CZŁOWIEKOWI, GDYBY WIEDZIAŁ WSZYSTKO! MYŚLĘ OWSZEM, — ŻE CZŁOWIEK POTRZEBOWAŁBY ZAWSZE WIĘCEJ... — (Jakto? WIĘCEJ NIŻ WSZYSTKO?!..) — CZŁOWIEK POTRZEBOWAŁBY (MÓWIĘ) WIEDZIEĆ, KAŻDEJ PORY, DOBY, I CHWILI, I OKOLICZNOŚCI, WSZYSTKO TO, CO W TYCH RAZACH I WZGLĘDACH WIEDZIEĆ ON, JAKO ON, POWINIEN, I JAKO SPOŁECZEŃSTWA LUDZKIEGO CZŁONEK.

— To zaś wydawa mi się być WIĘCEJ NIŻ WSZYSTKO, albowiem toć jest wszystko, więcej znajomością i samejże niewiedzy i jej pomiaru.

Za dostojniejszą rzecz uważając otwarty w filozofii błąd, niż trującą umysły nierzetelność, wypowiadam zdanie moje prostotliwie. Zaś to podzielone (lubo i wyjaśnione przeze mnie) pojęcie było właśnie że pojęciem onej heroicznej filozofii, o której Mysteryach gdy się tu rozpoczęło mówić, wypadło nam przypadkiem nie utaić wyznania osobistego. Obraz albowiem takowy poszukiwanej dawno mądrości, może dałby się i dziś tem usłusznić, iż, jeżeli widzimy, że przy spółcześnie

panującym podziele na umiejętności ten albo ów specyalny pracownik stawa się z czasem jakoby doskonałą machiny częścią lub wytwornem narzędziem, tedy, diaczegożby tejże samej wprawy nie nabierał i ogólną treść prawdy praktykujący umysł całego człowieka wedle machiny ogólniejszej?.. Myślę owszem, iż tam nasza podzielona na specyalności wiedza i działalność koniecznie będzie musiała dojść, gdy tak, jak CZĄSTKOWOŚĆ SPECYALIŚCI, uwłaszczyć sobie biegle potrafi NIECZĄSTKOWOŚĆ...

Dostąpienie przeto, zbliżenie się albo zbliżanie do kanonu wiedzy, określonego i uczytelnionego powyżej, było zapowiedzią obiecalną przyjacielowi-wiedzy, przedsiębiorącemu MILCZENIA PRAKTYKĘ, którą zalecano i praktykowano dawno w pierwszych i nieledwie że najstarszych azyackich szkołach proroczych. *) EZECHIEL tegoż samego dotknął był, i tak samo w Babylonie jak Pythagoras. Co do swojej idei, budowała się rzecz ta na pojęciu PARABOLI w najgłębszem i najszerszem onej znaczeniu; zaś, co do praktyki, szło o osobiste zestosowanie ustatkowanego swojego myślnego organizmu do ustroju nieustannego w harmoniach stworzenia MONOLOGU WIECZNEGO, i to na takie zbliżenia lub oddalenia, do jakowych ta albo owa osobistość rzetelnie się mogła była doprowadzić... Wytłómaczmy się więcej szczegółowo:

---

*) Podobno dopiero za panowania Oziasa stanowi się epoka istotnej jawności proroctw przez odezwy zupełnie publiczne i przez pismo. Uprzednia zatem epoka nie taką samą musiała być. *C. N.*

Pochopnie, lubo nienajrozważniej, mówi się, że: „PARABOLA NIE DOWODZI NICZEGO...“ Jużci tak jest, bo paraboli zadaniem nie jest DOWIEŚĆ, ale UOCZYWISTNIĆ — jedna zatem parabola OCZYWISTNI, lecz wszystkie razem uważane parabole nietylko że DOWODZĄ, ale dowodzą tak bardzo ogromnej rzeczy, iż strach święty bierze pomyśleć o tem!.. Dowodzą one albowiem analogicznego stosunku pomiędzy prawami rozwoju rzeczy świata tego a prawami rozwoju ducha... Ztąd to i logicznie podejrzewany MONOLOG NIEUSTANNIE SIĘ PARABOLIZUJĄCY jużci, że, jednem ze źródlisk żywych prawdy będąc, udzielać się miał i mógł na takowe oddalenia albo zbliżenia, do jakich kto osobistym własnego milczenia monologiem rzetelnie się doprowadzić starał i potrafił. Dochodziliż tam MONOLOGIŚCI MILCZENIA? — jużci że dochodzili, skoro dobrze przed Pythagorasem, i nawet dużo później, niektórzy wcale do używalności mówionego słowa nie powracali, daleko więcej (stosownego czasu) wypowiadając przez lada drobny potoczny gest — przez upuszczenie lub podjęcie kamyczka z ziemi, uszczknięcie listka, dotknięcie jednym palcem rzeczy jakiejś pobliskiej. Widoczna w tem, jak dalece życzyli byli sobie na parabolizującym się jakoby bezwzględnie duchu opierać, mimo steru pojedyńczej człowieczej myśli. To tak i tu tłómaczy się i ona pozorna ciemność wyrażeń, i tajemnica rzeczy, i Pythagorasowi przyznawane atrybucye fantastyczne — czy to słyszenia harmonii światów przez RYTM obrotu ich, czy to rozumienia się ze

zwierzęty i pojęcia pieśni stworzenia bezmownego... Wybłyski te geniuszu i te cudowności mogli biografowie anti - Chrystusowi przeciwstawiać i przeciwstawiali żywym jeszcze bardzo wspomnieniom, na wschodzie, osoby, czynów i wędrówek Zbawiciela - świata; lecz, końcem końców, trzeba przecież je było z jakowegoś możliwego dykcyonarza wyciągnąć, który względne swoje istnienie musiał był mieć. Monologiści - milczenia, mniej zapamiętali, późniejsi i którzy przy zadaniu ducha ogólnem uprawiali zarówno wyłączne gałęzie wiedzy (a przeto może lepiej obejmowali ogół, iż zarazem i onegoż szczegół uznawali), dochodzili byli do tejże samej furyi profetyckiej, lecz jedynie w wielkich zdarzeniach wyjątkowych. Za czasów bardzo wszechstronnej krytyki i zapewne niemałego światła (bo za czasu SOKRATESA), kiedy jednakowoż lud atheński znalazł się był pod wpływem jednego z tych gwałtownych zawichrzeń sensu publicznego, które z wielkim i chełpiącym się zapałem ojczyznę JAK NAJPROSTSZĄ DROGĄ DO ZATRATY PROWADZĄ... kiedy (historyczniej mówiąc) szło o wydanie i prowadzenie zgubnej wojny na morzu i na lądzie przeciw Syrakuzie i Sycylii, a szał był tak za wojną, iż mało kto na umiarkowańsze zdania światlejszych oglądał się, — człowiek umiejętny i trzeźwy myślą, astronom i matematyk METON (reformator greckiego kalendarza i który pierwszy o ŁICZBIE - ZŁOTEJ pomyślił) nie zabierał głosu śród zgromadzeń, lecz podniósł się milcząc, a ująwszy pochodnię rozgorzałą WŁASNY DOM SWÓJ PODPALIŁ..! Przemowa żadna w najwymowniej patryotycznych

ustach nie mogła była ani lepiej sytuacyi politycznej Athen skreślić, ani jaśniej rezultatów zamierzanej szalenie wyprawy wojennej ludowi przedstawić!.. A lubo naturalną jest rzeczą, iż natychmiast wielu uważało astronoma za WARYATA, tak samo, jak niemało uważało było dawniej Ezechiela za OBŁĄKANEGO, niemniej przeto i jednego i drugiego prorokowanie doszło jednakże do nas. Do tejże samej należy się tradycyi ów, lubo niezmiernie późniejszy, prorok, który, napotkawszy jadącego do Rzymu Pawła (świętego), zdjął ze siebie pas i spętał się sam, dając przez to widzieć, jakie w Rzymie przyjęcie na Apostoła oczekuje. Szkoły tejże samej możnaby się i dziś, lubo w bardzo grubych już kształtach, dopatrzeć, skoroby się uważnie i głęboko pomiędzy spółczesnymi Cyganami poszukało;*) — zaś podobno, że w Persyi estetyczne tradycye w tej mierze dochowały się jeszcze i są wyrażane przez poszukujących ILE TYLKO MOŻNA NAJMNIEJSZEJ LICZBY SŁÓW do powiedzenia jakiej treści. LAKONIZM albowiem, i nawet MONUMENTALNY rzymski styl, nie zkądinąd biorą swoją początek i wypromieją się.

---

*) Cyganie bardzo się kryją ze swemi rzeczywiście starożytnemi tradycyami, a te w zrubasznionych wielce formach i szczupło u nich znajdują się; lecz gdy z jednej wsi byli gwałtownie wyganiani i gdy ogniska zalano im, stara, drżąca cyganka powróciła, wzięła zimny jeden węgielek i schowała go w swoje napierśne odzienie. Kmieć sędziwy, to widząc, rzekł: — „trzeba niezbyt twardo ludzi tych wydalać, bo mogą być POŻARY w okolicy...“ *C. N.*

Egzegezy pod tym względem czynione, jakie posiadamy do dziś, są gorzej niż niegodne przedmiotu. My tu jednakże ograniczać się powinniśmy, nietylko na samą odpowiedniość proporcyj tego szczupłego fascykułu pamiętając, lecz, wspominając sobie zarazem i naszego zacnego, a nawet umiejętnego przyjaciela, któremu jednakże, po wieloletnim pobycie w jednej z najgłośniejszych stolic cywilizacyi, tyle zaledwo starczyło było chwil swobodnych, ile ich potrzeba, ażeby choć zewnętrznie gmach Biblioteki obejść i budownicze wartości jego ocenić lub podziwić. Pamiętny to, zaiste, acz maleńki wypadek! albowiem najniewinniej uparabolizował mi był istotne publiczności spółczesnej obcowanie ze sferą wyrobów umysłowych, i upomniał, do ila nierozwlekłym być wypada... NIE-ROMANSIŚCIE!..

Tego też dnia, a już wieczora, skoro raz w szczupłym parku zaczęło się było przechadzkę, wyprowadziła nas ona daleko poza miejsce dla Biblioteki okoliczne, i znaleźliśmy się na wyniosłości, pod której piersią szeroką przepływało lub wrzało całe ogromnego miasta życie. Imponującym bywa, bo upajającym, ów gwar szeroki, który, urabiając się ze wszech wydźwięków wszystkich działalności i energij, śpiewa sam sobie nieustannie: — „TAKICH TO, JAK JA, PIĘĆ, SZEŚĆ NA ŚWIECIE DZIŚ... TO CAŁA CYWILIZACYA JEGO, I WARTOŚĆ, I SIŁA!“

Jestci podobno tak, zaiste, że kilka ogromnych i nieustannych gwarów kilku stolic stanowi o żywotności historycznej i moralnej naszego świata; lecz, gdyby

się na te huczące morza działalności i energij rzuciło naraz z góry onemi wielkiemi liniami, których zarysem i proporcyą zwykł był Ajschylos postacie dwie urabiać z narodów i kroci, jakieżby tu, z tego, naprzykład, szerokiego tłumu i gwaru zgarnęły się kształty umysłowe? I tak sprawiedliwie otrzymane, jako je Ajschylos otrzymywał, to jest, ażeby postać, milionem będąc, milion ów wypowiadała ściśle, nic poza sobą nie roniąc, lub może tyle zaledwo, ile na upostaciowanie odpowiedniego chóru jej potrzeba...

Spróbujmy!..

Jużci, ten ogromny gwar i tłum zgarnąłby się naprzód w umysłową postać jedną, która nic innego, nic wtórego, nic godnego względu nie zna, nie dopuszcza i nie poczuwa oprócz SWOJEGO WŁASNEGO I SWOJEJ PASYI INTERESU. Kryć tego ani można, ani godzi się — tak jest. Postać ta znamienita ogarnęłaby i wyraziła większość masy wznoszącej i żywiącej ów kolosalny gwar stołeczny. Postać umysłowa, która pod jakimkolwiek tonem i formą porusza swe płuca i wargi, nic oprócz interesu swojej pasyi nie wygłasza, nie uwzględnia i nie dopuszcza. — Czy ten głos jest przemową parlamentarną, czy filozoficzną apostrofą, czy niewinną romansu formę przybierze, wsłuchaj się weń głębiej i spokojniej, a nie napo-

tkasz nic innego, oprócz monologu pasyi swojej i swego tylko interesu. O ile tym dwóm odbrzmieć może w czemkolwiek ktoś inny, czyja inna sprawa, lub interes, albo myśl, o tyle onemi zajmie się jeszcze ów osobisty monolog, ale zajmie tylko o tyle, i przeto, we wszystkości rzecz swą jedynie ważąc, NIE WYCHODZI on nigdy ze swego PUNKTU WYJŚCIA!..

A nie wychodząc nigdy ze swojego PUNKTU WYJŚCIA, jużci że jest zawsze na miejscu. Tak, iż złudzeniem tylko optycznem powinienby być ruch tej postaci... A nie obejmując z całej wszystkości nic, prócz tego tylko, co do niej się odnieść może, jużci że NIC taka dążność umysłowa nie świadczy i nie wypowiada dla prawdy bezwzględnej — ani jednego słowa nie dodawa do wielkiego bezinteresu wiedzy i uczucia; tak, iż złudzeniem akustycznem powinienby być we większej swej połowie kolosalny ów gwar stołeczny, z którego całokształt JEDEN właśnie podjąwszy, rozejrzeliśmy umysłowy jego charakter.

DRUGIM zaś kształtem z połowy drugiej tłumu i gwaru stołecznego, ogarniętym w niemniej kolosalną postać, byłby znowu umysł poszukujący jedynie, ażeby być upodobanym względem mody czasu swojego i ażeby podobać się... Ten, nim otwiera usta, już odczytał pierw twe mniemania i dopowiada tylko do nich zdania swoje, poczucia swe do cudzych układa, myśli swoje z domyślonemi w drugich myślami wiąże, — a jeżeli pierwszy nigdy swojego PUNKTU WYJŚCIA nie opuszcza, to ten drugi nigdy go i wcale nie miał. Pierwszy jest rozwijającym się nieustannie PERSONA-

LIZMEM, — drugi bezświadomą albo przemysłową ASSYMILACYĄ. — I oto są dwie postawy wielkie, cały ów ogromny gwar stołeczny, gwar, nie bez przyczyn przypisujący sobie siłę cywilizacyjną, wyrażające. Zaiste, nienazbyt wysoko potrzeba się wznieść, ażeby, nie usłyszawszy tam ani jednego słowa podniesionego i wygłoszonego dla prawdy bezwzględnej i dla bezinteresu uczucia, pomyśleć słusznie: — jakże wielkiem jest albo bywa MILCZENIEM ten, lubo taki ogromny, gwar i zamęt!?..

CZĘŚĆ TRZECIA. *III.*

Gdyby literatury ludów nie były żadnemi ogółami myślnemi, intuitywnie zadatkowanemi, lecz żeby się one przez stopniowany dorobek zyskiwało w miarę wzrostu i wydojrzewania człowieczeństwa, tedy dzieła pierwsze musiałyby być pokarmem dziecinnym, i dopiero o wiele późniejsze męskim. Tedy głębokie hymny, tedy moralne poważne zdania, w rym ujmowane, nie byłyby na zaczątku literatur, ani sama nawet potężna epopei istota tak wcześnie rodziłaby się. — Tymczasem, nawet NAJROZSĄDNIEJSZY z mędrców starożytnych Kung-fu-tseu (Confucius) właśnie że swoją, prawie już ministeryalną prozę czerpie z hymnów i pieśni początkowych, i właśnie że z epoki onej, w któ-

rej człowiek winienby był zajmować się bawidłami dziecinnemi. — Rubaszniej wyrażając się (bo spółcześni chcą tej jasności stylu, która jest RUBASZNOŚCIĄ), możnaby rzec, iż powinnyby być na początku literatur KSIĄŻKI DLA DZIECI, gdy tymczasem jest przeciwnie: utwory albowiem nacechowane solennością i uczuciem wielkości są otwierającemi rzecz umysłową.

Mają one, lub miewają, coś naiwnego, lecz nie początkującego dziecinnie, tylko jakoby coś dziedziczącego z charakterem synowstwa-boskiego.

NIEOBECNOŚĆ PROZY jest pierwszym wielkim pojawem na zaczątku wszystkich literatur. Człowiek, od pierwszego na świat kroku, wchodzi jako zupełna postać umysłowa: JEST POETĄ! I innego my umysłowego człowieka nie znamy udowodnie na początku dziejów, jedno POETĘ!

Trzymając się przekonania, że wielkie, charakterystyczne zarysy i linie, gdy się ze znajomością rzeczy i sumiennością je wykreśla, daleko są i trudniejszemi, i więcej kosztującemi pracy i czasu, i korzystniejszemi dla czytelnika, niż drobiazgowa jaka egzegeza bardzo wątpliwych, nigdy niewystarczających, a ciągle zbytecznych fragmentów,— zamiast próżno zaprzątać się, czy rzeczywiście Orfeja dziełami są ułamki, które może LINUS, MUZAJOS EUMOLPOS albo AMFION był utworzył?.. właściwiej godzi się nam światło rzucić na niejasną sprawę chronologii względem żywiołów. Mówimy np: HEZYOD I HOMER, ale żywioł, który przedstawia i urabia HEZYOD, jest o bardzo i bardzo wiele od żywiołu, którym tchnie Homer, starszym, tak, iż obok siebie dwóch tych

poetów stawiąc, jednego po drugim trza pojmować. Jakkolwiekbądź, psalmistowski Hezyoda żywioł poetycki może jeszcze nietylko bardzo późnego (porównawczo) PINDARA dać, ale nawet aż WIELKĄ OBRZĘDOWĄ PIEŚŃ HORACEGO! — Skoro zaś żywioł parę epok przetrwać podoła, usunąwszy się z pierwszorzędności i stosowne sobie temperamenta ras jakich objąwszy, trudno przeto pogodzić następstwa żywiołów z chronologicznemi warunkami i względami. Nie półmytyczny ORFEJ, AMFION etc..., nie sam teologiczny Hezyod, ale THALES GORTYŃSKI (nie filozof Thales z Miletu) powinienby oną poetycką epokę pierwszą umysłowej człowieka działalności w Europie przedstawiać. THALES Z GORTYNU albowiem był jeszcze zarówno: MUZYKIEM, PRAWODAWCĄ i lirycznym POETĄ!... I AMFION i ORFEJ w tychże pojednaniu atrybutów czerpali natchnienie, lecz drugiemu męczeńska śmierć przerwała była wcześnie rozwój zadania. Orfej jest rozszarpanym dlatego, iż światu północnemu przyniósł ewangelię INDYWIDUALNEJ MIŁOŚCI KOBIETY, czyli promień myśli i życia bardzo późno przez ludzi poznawany, jeżeli nawet u daleko czytelniejszych SEMITÓW dopiero PIEŚŃ NAD PIEŚNIAMI (Salomonową zwana) ewangelię tę podejmuje. Pierwej, żeni się bardzo stosownie przez zaufanego posłańca lub wiernego sługę, albowiem idzie nie o więcej, jedno, aby osoba miała tę gładkość, którą powoduje zdrowie, tudzież, aby z zacnego była rodu, z cnotą dziewiczą i z wyglądaną bardzo płodnością macierzyńską. Rze-

czy te doświadczony a serdecznie życzliwy służący gdy mógł sam ocenić, nic nie pozostawało do życzenia. Takowego wszakże pojęcia o małżeństwie ostatecznością krańcową musiało być i bywało przynajmniej raz-do-roczne pomieszanie wszystkich małżeńskich atrybucyj w czasie nocnego obrzędu rozpustnego. Póki albowiem indywidualna kobiety miłość nieznaną i nieuznawaną była, pozostawała tylko przyrodzona płciowa ogólność. Ten to prąd pojęcia i energii rozszarpał Orfeja...

Powracamy do wyżej powiedzianego określenia, iż pierwotny umysłowy człowiek jest POETĄ. Żal nam wielki, że ciemne i mało rozwikłane są wiadomości o trwaniu żywiołów, ich sukcesyach i procesyach, i o warunkach chronologii względem tak różnostałych zjawisk. Życzylibyśmy sobie albowiem — to samo, co okazaliśmy i wyłożyli w części gramatycznej, przeprowadzić jednym i równym krokiem w niniejszą część historycznie-literacką, okazując dowodnie, że tak samo, jak we składniowem budowaniu się zdań: pierwsze zdanie osadza się na PRZEMILCZENIU, które następnego logicznie zdania stawa się WYGŁOSEM, a przynosi ze sobą drugie przemilczenie dla nastręczenia wygłosu trzeciemu zdaniu i tak dalej... tak samo (mówię) i we wielkich, umysłowych wyrobach wieków i epok, to, co było PRZEMILCZENIEM całego umysłowego ogółu jednej epoki, stawa się wygłosem literatury epoki drugiej, następnego wieku, a co ta przemilcza, wygłosi trzecia, swoje znowu dla następnej PRZEMILCZENIE ze sobą wno-

sząc. Prawo przeto maleńkie, które odkryliśmy i podawamy, jest zasługującem na uwagę, albowiem okazuje się być całem i na rozmaitych polach zarówno żywem. Onego pierwo-umysłowego-CZŁOWIEKA-POETY dziełami pierwszemi są DUMANIA, INWOKACYE — ten wyraz „MUZO!" jest tylko ostatnią kartką wielkiego psałterza, która się dochowała przez swoje ze wstępem do dzieł drugiej epoki zjednoczenie. Inwokacye takowe, Boskiego wyglądające sprawowania, brały udział we wszelkiej działalności i psałterz niemały stanowiły... Niczego albowiem bezpośrednio działalność człowieka nie poczynała była — —

„Zeus zawsze i zewsząd najpierwszy jest,
„I ostatnim i środkującym — on, z płomiennym
„Piorunem, powstał i zeń jest wszystko:
„Podstawą on ziemi, on nieba jasnego osią,
„On Monarchą zupełnym, bo Niszczycielem
[i Stwórcą!"

(Według tradycyj Orfeickich).

W powyższej INWOKACYI — i o ile ona całą jedną epokę dumań wyraża — zapytujemy przeto (według naszego prawa), co stanowi przemilczenie? co tam niewypowiedzianem będąc, ma przez to samo dać epoce następnej WYGŁOS i postawę?...

Jużci widoczna jest, że w Inwokacyi powyższej — i o ile ona wyraża całą jedną epokę — PRZEMILCZANYM JEST CZŁOWIEK, albowiem Zeus ze wszech miar i względów wyręczył wszystko. Człowiek, praca jego, walki, cierpienia, i doświadczenie, i rozwinięta

w nim siła zaradczości, to wszystko jest przemilczanem i daje dla następnej epoki wyrobu umysłowego zgotowane miejsce na EPOPEJĘ...

Dlatego też ostatnia Inwokacya z EPOKI INWOKACYJNYCH-PSALMÓW, lecz PIERWSZA Z EPOKI NASTĘPNEJ, brzmieć będzie:

„CZŁOWIEKA (teraz), o! Muzo, wypowiedz, któ-
„rego zmysł musiał się ubogacić, gdy, po zburzeniu
„świętego miasta Troi, błądząc, poznawał on ludzi,
„obyczaje i narody. — Człowieka, który cierpiał w ser-
„cu swojem... i narażał się na morzu, i nie dla siebie
„tylko, lecz ażeby i towarzystwo ocalić. A pociechy
„nawet i tej, ze zbawienia bliskich, nie miał, gdyż dla
„głupoty własnej poginęli!...” — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — —

Po LEGENDOWEJ, po CUDOWNEJ pierwszej INWOKACYJNEJ EPOCE, widzimy zatem, jak się jawi i wygłasza EPOPEJA przez samo przemilczenie — lecz ten znowu śliczny całokształt epopei cóż on dalej (zawsze według naszego małego prawa) PRZEMILCZA? i co zatem przemilczenie owo, w łonie epopei niesione, dać ma jako zasadniczy wygłos trzeciej epoce? Słowem jednem: czem ta trzecia epoka będzie?— Jużci że bohaterowie Epopei swojemi olympijskiemi krokami przekraczają właściwą PROZĘ HISTORYCZNĄ, interesa państw i narodów, tudzież warunki polityczne i finansowe etc... a przeto owa właśnie PROZA HISTORYCZNA jest przemilczeniem, na jakiem piękna i bujna postać Epopei właśnie że dlatego się wznosi, iż do onej poziomej treści historycznej nie zniża się. Epo-

peja zatem koniecznie przemilcza istotną historyczną prozę, a zatem (stosownie do naszego prawa) po epoce Epopei, czyli skoro ta już się zbierze w całość, i utwierdzi pismem, i nieco książką zacznie być, następuje przemilczane w Epopei łonie dzieło HISTORYI.

LEGENDA (cudowna), EPOPEJA, HISTORYA— oto co już widzimy z rozwoju myśli człowieczej i z następstwa przepowiedzianego epok.

HISTORYA wszelako, mimo zestępującego na szeroki poziom żywiołu swojego, czyliż także miałaby się jeszcze na PRZEMILCZENIU uzasadniać i takowe na wygłos dla następnej epoki przynosić? Jużci że tak, i to nawet dosadniej niźli gdzieindziej, bo bywały nawet umyślne zatajemnienia intryg, które we sto lat dopiero później uczytelniały się!... Historya przemilcza TO, na co wystarczający wyraz jeden znaleźć trudno, ale co ze stosownemi komentarzami nazwać godzi się... ANEGDOTĄ.— Tam są tajemnice PSYCHOLOGII DZIEJÓW, BIOGRAFII, niezmiernie ważne częstotliwie, lecz za małe i za mnogie dla historyi, która też je przemilcza. One wszakże na dnie anegdoty czekają fatalnej godziny swojej, albowiem po epoce tej, którą ANEGDOTĄ zowiemy, jest REWOLUCYA!... I oto, jeżeli nasza prawda-milczenia nie jest błędem, tedy umysłowego tok rozwoju dawa następujące peryody: LEGENDĘ — EPOPEJĘ — HISTORYĘ — ANEGDOTĘ — REWOLUCYĘ. Tego ostatniego wyrazu nie należy tu brać z żadną wyłącznością. Tem bardziej, iż ogromne różnice pomiarów wielkości spraw zachodzić muszą z biegiem czasów.

Z administracyjną jakkolwiek wyraźnością niemożna ze wszech miar linii kreślić na mocy naszego PUNKTU-WYJŚCIA, jednakowoż oko jasne pozna, że pojawiska w literaturach wszystkich spotykane temi samemi są peryodami. RZYMIAN powszechnie krzywdzą, narzucając im pięć wieków literackiego niemowlęctwa, a nawet i kiedy prawo DWUNASTU TABLIC jako najstarszą rzecz cytują. Tak się wcale nie godzi: tylko my niezupełnie jasno wiemy, jakie to było umysłowe życie pod bliższym wpływem tych Sybilińskich ksiąg, które zbyt łatwo opuszczamy ze względu. Co więcej, że i prawo DWUNASTU TABLIC nie jest bez pośrednictwa DECEMWIRÓW upowszechnione. VIRGILIUS jest niezmiernie oględny i sumienny w tem wszystkiem, co sakramentalnego z obyczajów starych podnosi; otóż, to uwyraźnienie, jakie on dla wierszy Sybilińskich dodaje, że UMYŚLNIE BYŁY RZECZY NIEPISANE, lecz przez oralne staranie wybranych mężów w życiu utrzymywane, aby TEM WIERNIEJ PRZECHOWYWAŁY SIĘ I UDZIELALY, daje zaiste do myślenia, iż cała ta epoka, za literacko głuchą i jałową uważana, niekoniecznie takową mogła być. Spółcześni literaci ze zbyt wielką łatwością uważają NIEOBECNOŚĆ ATRAMENTU ZA NIEOBECNOŚĆ WSZELKIEGO UMYSŁOWEGO ROZWINIĘCIA... Epoka uprzednia względem tryumfalnej epoki literatury rzymskiej, według zdania wielu poprostu przejętej od Greków, nie była wcale taka jałowa, pusta i głucha. Myślę owszem, iż dlatego tak szybko doszło się do

stopnia arcydzielnego we większości kart Eneidy, iż to wszystko pierw było w KRONIKARSKICH RAPSODACH, a dlatego wszystkość Georgik jest tak niezrównanem arcydziełem, iż uprzedziły je niemałe o ROLNICTWIE zapiski i dzieła! Podobnież jest z każdym innym żywiołem, albowiem okres, jakkolwiek nierozgłośny, ale który może mieć SYBILIŃSKIE RZECZY i kolegium do onych przechowania, tudzież DWANAŚCIE TABLIC i kolegium je strzegące, a nadewszystko zupełnie nowy i twórczo sobie udziałany typ w tak zwanych „SOTURACH" (późniejszych SATYRACH), okres, mówię, taki nietyle zapewne jest bezliterackim, ile my bywamy bezrozważni, skoro lekko o nim mówimy. Nadto, SOTURY, czyli SATYRY, wchodzą według zarysu naszego w epokę ANEGDOTY, czyli w zaranie REWOLUCYJNEGO obrotu całej umysłowej karty.

Gdyby perturbacye w tej naszej smętnej historyi nie były tak częste i szerokie, tudzież, gdyby żywioły etnologiczne nie przeżywały nieraz epok i przeto nie nadwerężały porządku chronologicznego (o czem się już wyżej nadmieniało), tedy z naszym zarysem żywotnych praw MILCZENIA (w mowie ludzkiej i w dziejach) możnaby wszystkie wieki, jeden po drugim, obejrzeć, jak one myśli swoje podawały sobie w przemilczaniu głębokiem. I nietylko WIEKI!... bo biegły ascetycznie umysł może TYGODNIE i DNIE życia umiałby zobaczyć, jak zasuwają się w siebie i z siebie podawają na temże samem prawie — PRZEMILCZENIA...

Na cóż zaś uchylam nieco tej zasłony?... Oto na to, iż w nasze umysłowe sprawy jeszcze z samymże drukiem weszło wiele spółdziałań i przyśpieszeń mechanicznych, chemicznych, elektrycznych... Musi przeto SZTUKA CZYTANIA, jeżeli nie prześcignąć, to wyrównać szybkościom i promiennościom gromu, i na samem zwierciadlanem lubowaniu się drukiem nie poprzestać! Literatury także podobno będą musiały nietylko się zajmować ślicznością i obfitością jakiego bujnego swego kwiatu, lecz i uważaniem całych siebie, jako żywotną funkcyę pełniących i obowiązanych. Oto dlatego uchyla się nieco zasłony tej...



Cypryan Norwid.



IV.

Wodnik, o którym powiedziano: rozsądny, wynurza się z głębi ciemnej.

MŁODZIENIEC.

Jak błoto nazwać?

ROZSĄDNY.

Nietrzeba nazwy!

MŁODZIENIEC.

A jak powiedzieć, iż... dusi mię?

ROZSĄDNY.

Widzę: gadułą, mój drogi, jesteś!
Gadulstwo — grzech!

MŁODZIENIEC.

Hej! nie sądziłem, iż grzech to będzie
powiadać: błoto! na błoto patrząc,
powiadać: cierpię, gdy smutno jest...
Hej! ja krańcowy i dziwno mi...

KILKA GŁOSÓW PODWODNYCH.

Oj! smutno jest!..

Naraz na powierzchnię wypływa kilkanaścioro wodników i wodnic.

CHÓR.

Smutek, smutek, wokół, wszędzie:
zewnątrz oczom jako mgła,
a na wnętrzu sercom naszym
głazem wielkim smutek cięży,
rdzą wyjada żywot silny,
toczy w sercach bujny siew!..

. . . .

Był pęd, był ruch, był krzyk: by żyć!
upadło ziarno w łan...
Lecz smutek zżął, nim dojrzał kłos;
ostała próżnia snu. —

. . . .

O! jakże puści stoimy w smętku!
Podobne liściom są dusze mdłe,
drgają w nas dusze jak liść, co drży...
O! jakże marni w tej próżni będziem!
Strachem się trzęsiem na każdy wiew,
wyziębli czujem już tylko chłód...
O! jakże smutni jesteśmy, smutni...

MŁODZIENIEC.

Pleśniejem w głębi!

MATKA.

Moje maluśkie dzieciątko było,
przychodząc na świat, urody gładkiej,
aż brał nas dziw!
Dzisiaj napróżno ochraniam dłonią,
już pokalane jest ciałko biedne:
osiada pleśń!

DZIECKO, żałośnie.

Pościeraj, matko, te plamki ze mnie!

MATKA.

Ach! Boże wielki!

DZIECKO.

Dlaczego nie chcesz?

MATKA.

Nie mogę już...

DZIECKO.

To boli, matko!..

MATKA.

Ach!.. we mnie ból!

Bierze dziecko w objęcia:

Jeszcze dzieciątko me nie przywykło,
a więc się skarży, iż plamki są...
Przywykniesz, synku!

DZIECKO.

Ja nie chcę!.. Brzydkie, a rosną wciąż!..
A gryzą!.. Nie chcę!

MATKA.

Wżarły się bardzo w ramionka twoje...
Poczekaj; zetrę!.. Ach! próżny trud!..
Jeno kołysać mi ciebie wolno,
jeno ci śpiewać żałośnie, sennie:
śpij! synku, śpij!
Ukoisz ból, utulisz gniew,
przestaniesz piętno czuć...
Nie będzie pleśń jak rana zła,
zwyczajna tobie będzie rzecz...
Śpij, synku, śpij!

ŚLEPIEC.

Przywyknąć? bajki! Od kiedym żyw,
jeno przez wodę na świat patrzałem,
jeno w tej mrocznej byłem wilgoci,
jenom tu oczy swe ciągle miał...
A — nie przywykłem!
Zła wilgoć pleśnią w źrenice weszła,
i pleśń wyżarła mi oczy zwolna,
i ślepym dziś...

ROZSĄDNY.

Hi! byłbyś ślepy i w innem miejscu!

ŚLEPIEC.

Och! nie! o! nie!

Czuję, że choćby na chwilę jedną...
wierzę, iż choćby... och! tylko raz...
spojrzało słońce na oczy puste
i osuszyło ślepoty łzy...
jabym — odzyskał...
Bo słuchaj: wierzę, iż słońca moc

taką potęgę przynosi blasku,
że umie doły... po oczach wdowie,
puste, żałosne otwory ślepe,
napełnić znów...

CHÓR.

Przyjdź, światło, k'nam!
Stęsknieni bardzo wydajem okrzyk
smutny i straszny jak bezmiar nędzy:
przyjdź, światło, k'nam.

JEDEN Z WODNIKÓW.

Przybądź wyziębłe rozegrzać członki —

DRUGI.

Osuszyć... w pleśni gnijący kark...

TRZECI.

Mrok nas pognębił —

CZWARTY.

I chłód udręczył.

PIĄTY.

Cierpimy wielce!..

CHÓR.

Przyjdź, światło, k'nam!

Tłum wodników powiększa się ciągle: widać męża i żonę, nadpływających z dwóch stron przeciwnych.

ROZSĄDNY.

Po co daremne przyzywać blaski?
Dla ludzi słońce stworzone... błyszczy,

nam zbędne jest!
Myśmy od ludzi inaksi, inni,
myśmy topielce z przepaści wód...

ŻONA, cicho.

O! jak to smutne!..

ROZSĄDNY.

Nie tak okropne! przesada — grzech!
Umiarkowani, przyświadczcie mi!

UMIARKOWANY.

Zaiste, prawda!

ROZSĄDNY.

Wołany promień, jeżeli przyjdzie,
napróżno przyjdzie, bo po co nam?
Ot! bez pożytku na oko padnie,
ot! się bezsilny ześliznie wnet!

CHÓR.

A więc nadarmo krzyczymy: słońca!
Topielce wieczne w przepaści fal...

MATKA.

Ból się rozdzwonił w tym jęku słów;
niosą go wodne szlochania senne,
przepaści — jęk...

ŻONA.

Hen! idzie wzwyż!

STARY.

Słyszycie! w górze... ten głos idący...
mija się z innym, co płynie k'nam.

UMIARKOWANY.

Nie słyszym nic.

STARY.

Mija się, mówię! Od góry w dół
leci szept wody niegłośny jeszcze,
ktoś pruje toń...

ŚLEPIEC.

Ha! tak!.. ja słyszę. —

ŻONA.

Ktoś idzie w głąb'...

. . . .

STARY.

To... może... syn mój!

ROZSĄDNY.

Cóż znów? co? zkąd?

STARY.

Powiadam: syn mój powraca wreszcie!..
powiadam! serce nie myli się!..

V.

Ciż i Wędrowiec, który spuszcza się od góry.

WĘDROWIEC.

Witajcie w głębi!

CHÓR.

Witamy — w nędzy!

WĘDROWIEC.

Oto... skarzę się boleśnie,
że nie mogę być pod słońcem,
że nie mogę być!..

STARY.

Wróciłeś, synku!

WĘDROWIEC.

Wróciłem!.. tak!..

STARY.

Dni mych kochanie, nadziejo słodka!
Widzę cię jeszcze, znów dziecko mam!

WĘDROWIEC.

Wypłynąłem raz pod słońce,
wypłynąłem — tylko raz!

CHÓR.

Ach! tęskniłeś niepomiernie!..
Oglądałeś — tylko raz!..

WĘDROWIEC.

Długo... tęsknotą dręczony wielką,
płakałem sercem, iż... ciemno jest!
Młody wiek mijał w takowej męce...
Wreszcie nie mogąc katuszy zdzierżeć,
ruszyłem w górę nad głębie snu...
W obawie szedłem!
Płynąłem, pełen wielkiego strachu,
bowiem mi była przytomna wciąż
wiara, iż... widzieć niewolno nam,
że z przyrodzenia jesteśmy ślepi,
nieszczęśni — ciemni na słońca blask...
Ach! w trwodze-m był!

. . . .

Wypłynąłem!.. Z niebios nagle
uderzyła mię potęga,
grom i cud!
Zstępowała na mą głowę
jakaś... dziwem-dziwna moc...
I objęła głowę moją,
i objęła serce we mnie,
blaskiem weszła w myśl bolącą,

zamieniła w szczęście ból!

. . . .

I napełniła mię aż do głębi
radością słodką na życia czar...
i czułem szczęśliw, że jestem, jestem!..
To było — światło!

CHÓR.

To było światło!

WĘDROWIEC.

Widziałem słońce, o bracia moi!

CHÓR.

Widziałeś słońce na oczy własne?

WĘDROWIEC.

Poznałem, bracia, iż wzrok nam dano
ludzkiemu równy w godności sił,
że nie kalcki bywamy z rodu,
że i my zdolni to słońce witać,
że i my zdolni to słońce czcić!

CHÓR, wybucha radośnie.

Mamy oczy nieślepe!

ŻONA.

Więc i my ludziom potrochu bliscy,
podobni im?

CHÓR.

Nie wodniki-topielce, nie jesteśmy topielce,
urodzeni na ciemność, wyznaczeni na ciemność,
urodzeni na łzy!

MĄŻ.

Podobni ludziom... Zatem niepróżno
to ramię moje tak silne jest...

ŻONA.

Wyciągnij przed się ramiona oba...

MĄŻ.

Wyciągam, patrzę...

Po chwili:

Och! czuję wreszcie, jak siła wre!..
Boże, mój Boże! tożbym potrafił
osiągnąć niemi i wielki czyn!..

ŻONA.

I nie byłbyś w niemocy. —

MĄŻ.

I nie byłbym kaleką!

ŻONA.

I wstaniesz — piękny!

MĄŻ.

I wstanę — zdrów!

Po chwili:

To zdrowie będzie.

ŻONA.

To będzie — szczęście!

. . . .

Z onego zdrowia jak kwiat wystrzeli
szczęście... nareszcie obojgu nam!

CHÓR.

Rozradowałeś się niepomiernie,
a oglądałeś... ach! tylko raz!

WĘDROWIEC.

Płynąłem sam!..

. . . .

Opadły siły, osłabła moc!

. . . .

Jakże smutno iść do głębi
na dno mętnych, ciemnych wód...
O! jak smutno iść!

CHÓR.

Oglądałeś słońce... chwilę!
a powracasz w wieczność mgły!

WĘDROWIEC.

Nie chcą oczy me powracać
w ten podwodny, brzydki świat!

. . . .

Nie chcę ciebie, o, piastunko!
wodo-matko, daruj mi!
wypuść z objęć niekochanych,
twe objęcia mękę czynią,
w szepcie łkanie brzmi!

. . . .

O! już nie mogę powracać w przepaść,
bo światło znam!

CHÓR.

Co chcesz uczynić?

WĘDROWIEC.

Wypłyńmy wszyscy!

CHÓR.

Do słońca... wszyscy?

. . . .

Razem, razem w drogę jasną,
niosąc oczy blasku głodne,
niosąc oczy swe rozwarte,
czekające na promienie,
wytęsknione, kędy świt...

. . . .

Och! w uniesieniu wołamy śpiewni:
może nie ślepcy jesteśmy w nędzy,
może nam słońce oświetli skroń!

. . . .

Zapał urasta: drży, kipi, wre!

. . . .

Ale droga daleka.

. . . .

Ale droga okropna.

Chór rozłamuje się nagle na głosy pojedyńcze, mówiące:

GŁOS PIERWSZY.

A iść trzeba przez ciemność!

DRUGI.

A iść trzeba w niepewność!

TRZECI.

Możem tedy nie dotrzeć...

CZWARTY.

Zmylić możem i zbłądzić...

PIĄTY.

Ach! zginąć możem!

CHÓR, zlewa się znowu w jedno.

Dalcko jest, a szczupło... sił!
Zapał opada nam w piersi biednej,
zgasł zapał nasz!..

. . . .

Darmo! już chyba nie wyjrzym z toni,
topielcy smętni po wieków wiek!
Daremnie — chcieć!

WĘDROWIEC.

Mogliście jednym odwagi rzutem,
wielkim, ogromnym, wynijść pod słońce,
spojrzeć mu w twarz!
Ale wyście — nie chcieli!

STARY, z niepokojem.

Co czynić myślisz?

WĘDROWIEC.

Ja idę — umrzeć!

Odpływa cicho.

STARY, z rozpaczą.

Synu! mój synu!

ŻONA.

Nie wstrzymasz, starcze!

STARY.

Puść mię! Stój, synu! o! synu mój!

Pośpiesza za nim.

VI.

Chwila milczenia. Woda szumi żałośnie.

MĄŻ, półgłosem.

Ha! stało się!

ŻONA.

Żal mi! żal serce przenika gorzki...

MŁODY, z nagłym wybuchem rozpaczy.

Czemuż ja stoję, i drżę, i czekam?
Zgrzeszyłem, bracia, żem nie szedł wraz!..
Lecz idę, idę...

STARY, powraca.

Już syn mój umarł. —

CHÓR, żałośnie.

Ach!.. stało się!

STARY.

W przepaść powrócił, przepaści nie chciał,
nie mógł tu żyć!
I zabiła go ciężarem
bezlitosna toń! —
Na dno upadł, żyć nie pragnął;
mroku nie chciał, mrok go zabił;
rozmiażdżyła piersi grozą
bezlitosna toń!

. . . .

Po dnie błotnistem ja zwolna chodzę,
pomału nogi zgrzybiałe sunę,
z ciężkością głowę od piersi dźwigam
i już nie chowam gdzieś w sercu — łez...
Bo przebolałem boleści wszystkie
i jestem — prózen wszelkiego czucia,
nad wszelki — ból!

Odchodzi w głąb'.

MŁODY, z rozpaczą

Idę! Zgrzeszyłem! kajam się wielce!
Kto ze mną, bracia? kto w górę pójdzie?
kto pójdzie wzwyż?

CHÓR.

Boże!.. droga niepewna!

GŁOS PIERWSZY.

A iść trzeba przez mękę!

DRUGI.

A iść trzeba przez trud!

MŁODY.

Znów tedy — sam?

. . . .

Żegnaj, domu mój żałosny,
co nie byłeś mi przytułkiem,
jeno byłeś — jako srom!
Oto, stojąc w tobie, patrzę:
wkoło mrok!
Oto pragnąc tak oddechu,
jeno wodę wciągam w piersi,
jeno tracę dech!
Gdybyż woda czysta była,
gdyby jasną mieć!..
Lecz nie! osad... po niej... brudny!
Czuję straszny osad w gardle,
błoto... muł!

. . . .

Żegnajcie! błota w oddechu nie chcę;
idę pod słońce — powietrze pić!

Odpływa w górę.

VII.

ŻONA.

O! i poszedł znów samotny...

MĄŻ.

Widzisz: droga straszna jest...

ŻONA.

Widzę: zdrowie przyjść nie może...

MĄŻ.

Jabym płynął, ale zważ...

ŻONA.

Widzę! widzę: coś być miało;
prysło, zgasło, niema nic!

MĄŻ.

Jabym płynął, ale tylko...

ŻONA.

Nie zakwitniesz ty, o, szczęście!
niemasz zdrowia tobie w podkład!
niema nic!

ŚLEPIEC.

Ej!.. poleciał! czy obaczy?

ROZSĄDNY.

Nie doleci; twierdzę wam!

ŚLEPIEC.

Podnoszę za nim swe oczy puste:
nie dojrzę nawet, gdzie jego ślad.

UMIARKOWANY.

Zginie! oto koniec pewny!

ROZSĄDNY.

Bo krańcowy był!

MATKA.

Jeszcze klęska, jeszcze zgon!

Bierze dziecko w objęcia:

Trza dziesiątko swe usypiać!
Trza nauczyć się kołysać
głosem sennym — w ciągły sen!
Śpij, syneczku, śpij, maleńki!
Nie budź ocząt — do widzenia,
nie budź myśli — do katuszy,
nie budź w sobie serca, śpij!
. . . .
Bo gdybyś, wstawszy, zapragnął słońca...

i tybyś poszedł... hen! w męki drogę...
Śpij, synku mój!

CHÓR.

Smutno, smutno w sen zapadać!

ŻONA.

A... mogliście — żyć!

CHÓR.

Trzaby wielkiego odwagi rzutu... —
Nie możem!.. Ach!

ŻONA.

Wzdęły się głębie westchnienia echem. —
. . . .
Drży echo, drży!..
A za chwilę opadnie,
a za chwilę zagaśnie!
i oto głos wasz, i oto — czyn!

ŚLEPIEC.

Inszy głos słyszę: plusk idzie nagły...

ŻONA.

Prawda! i zda się, że fali płacz!

MATKA.

Niepokój serce ogarnia we mnie.

ŻONA.

To będzie klęska —

MATKA.

Płacz fali rośnie —

ŻONA.

Żałobny rośnie —

MATKA.

Rozbrzmiewa wkrąg.

ŚLEPIEC.

Ktoś leci — w otchłań!

CHÓR.

To on! to on!

. . . .

W górze, ponad głowami wszystkich, ukazuje się ciało młodzieńca lecące szybko. I wnet też na dno upada. Zamieszanie ogólne.

MATKA.

Boże mój mocny!

ŻONA.

Ratujmy go!

MĄŻ.

Ratować — w śmierci?

CHÓR.

Ach! stało się!

GŁOS PIERWSZY.

Oto poszedł przez ciemność!

DRUGI.

Oto poszedł w niepewność!

TRZECI.

Zmylił drogę i zbłądził. —

CZWARTY.

Nie dosięgnął i zginął!

CHÓR.

Bo oto — śmierć!

ŚLEPIEC.

Gdzie on? gdzie on? powiedzcie!

MATKA.

A ot, tu leży opodal
biedaczek, bezwładny, cichy!
A ot, tu... upadł i spoczął,
nie wstanie już!

ŚLEPIEC.

Czy go tam oni obsiedli?
kraczący: zgon!

MATKA.

Ano się tłoczą żałośnie,
wokoło, wkółko!

ŚLEPIEC.

Na żer! na żer!..

MATKA.

Co mówisz, ślepy?

ŚLEPIEC.

Żerować będą!..
Wokół na dziobach rozniosą myśli,

rozniosą zdarte na strzępy serce,
nazwą je: grzech!

Ponad trupem młodzieńca skupiają się rzeczywiście wodniki wszystkie, zbierają w żałobny chór.

ŻONA.

Nieszczęsny młody!

UMIARKOWANY.

Sam sobie winien!

ROZSĄDNY.

Krańcowy był!

CHÓR.

Ach! zginąłeś bez pożytku!
Pocóż było słońca chcieć!

ŻONA.

On tutaj... cierpiał!

UMIARKOWANY.

Przesadą grzeszył!

ROZSĄDNY.

Krańcowy był!

ŚLEPIEC.

Słyszę — pogrzeb mu sprawili:
kraczą chórem wzwyż i wkrąg,
żeru chcą!
A od onej kruków pieśni
włos na głowę jeży się...
Oto koniec żyć pragnącym,
bratni żer!

MĄŻ.

Zginął daremnie!

ROZSĄDNY.

Zawinił ciężko!

GŁOS PIERWSZY.

Trza było milczeć!

DRUGI.

Trza było cierpieć.

TRZECI.

Trza było znieść!

ROZSĄDNY.

On się miotał i szarpał!

UMIARKOWANY.

On się szarpał i rwał.

ROZSĄDNY.

Przesadą grzeszył!

GŁOS PIERWSZY.

Zawinił sobie!

DRUGI.

I nam! i nam!

ŚLEPIEC, półgłosem.

Zwał błotem — błoto!

ROZSĄDNY.

I w tem jest grzech!

UMIARKOWANY.

Bo miary nie znał...

CHÓR.

Chciał rzeczom imię nadawać całe,
nietylko pół!

GŁOS PIERWSZY.

Nie umiał milczeć!

DRUGI.

Nie umiał cierpieć!

TRZECI.

Nie umiał znieść!

CHÓR, zlewa się w jedno.

Krańcowy był!



Jadwiga Marcinowska.



Po niefortunnych próbach harmonii miłosnej, nastały próby harmonii w zabawie. — Skuszona pląsem świateł, muzyki i ciał radosnych, wchodziłam odpowiednio ucharakteryzowana w ich gwarne roje. — Unikałam zwierciadeł, w których szydził ze mnie hieroglif posępnej twarzy, — i, by stępić zimną ostrość wszystkowiedztwa, brałam w siebie mikroby szału i trunki haszyszowe. — Płomień wybuchał w mej krwi, nogi moje, ręce i usta miały skrzydła, wrzała we mnie radość stopienia się w jedno ze zbiorowem ciałem życia. Gwałtowny puls własnych żył brałam za tętno tłumu... Lecz niebawem o mej odrębności, nawet w zabawie, — o wiszącem nade mną fatum samotności du-

chowej przekonywały mnie nanowo zjawiska dziwne, znamienne. — Były to:

albo nagłe zrywanie się w tym tłumie żywiołowej NIENAWIŚCI DLA ODMIEŃCA, głuche wrzenie podejrzeń wokoło mej świątecznej maski, — gniew zniewagi, że ośmielam się ich parodyować. — Oczy moje widziały im zbyt wiele, słowa smakowały jak zatrute daktyle, ruchy zdradzały lekceważenie, którego nie znosili, — cała moja osoba, żywe choć mimowolne zaprzeczenie ich jestestw, wzbudzała w nich zamęt wewnętrzny, coś nakształt wstydu, i złość zaciskającą zjadliwie wąskie usta,

albo tak samo bezpośrednie zrywanie się SZAŁU. — Był we mnie zaczyn burzy i rozpasania, który zarażał chwilowym obłędem mych towarzyszy zabawy, i oddawał ich pod władzę mej suggestyi, jak tuman błędnych liści wichrowi gorącemu. — Wokoło mnie, podniecenie przechodziło we wściekliznę, wesołość w dzikie i okrutne rozpasanie, marzenie w malignę, uczta w orgię, zaloty w piekielny odmęt żądz i zawiści, szermierka słów w wojnę duchów, w mocowanie się jakieś bratobójcze. — Nie umiałam się bawić — umiałam tylko rozjuszać sfory dzikich bestyj. — Nie umiałam używać — umiałam tylko tworzyć i niszczyć.

Świat spokojny i umiarkowany, po chwili zdumiewającego poddania, — odstępował z mieszaniną lęku i zgorszenia od tego elementu niezgody i szału; — a o ile nie uciekał, o ile pozostawał w mej mocy, — uciekałam sama, — zdjęta mistyczną zgrozą przed wezbranem falowaniem jakiejś tytanicznej we mnie potęgi. — Bałam się tej siły swojej dla ludzi, dla tych wątłych i bezradnych stworzeń, które czułam jak żuki, drażniące mą garść zamkniętą niespokojnem mrowieniem, — i które garść ta jednem naciśnięciem zgnieść mogła na miazgę. — Było to truchlenie siłacza, nieznającego dokładnie ani własnej mocy, ani słabości przeciwnika, ani granic spustoszenia, krzywdy

i klęski, które sprawićby mógł w tym świecie owadzim, — gdyby na widok pierwszej krwi rozlanej demon mordu purpurą mu wzrok zamroczył.

I niepodobnaby mi było orzec, co odczuwałam ohydniej — czy swoją słabość wobec rozbestwionej nienawiścią tłuszczy, — czy ten gwałt dzikiej potęgi, u której nóg wił się w rozdzierającym żalu płacz miłosierdzia nad słabością ludzi.

Niezdolna do stania się ofiarą tłumu — miałam wstręt do katowstwa nad nim. — Uległość niewoli była równie odpychającą jak panowanie. — Spójnia okazywała się niemożebną. — Samotnemu odmieńcowi zostawała tylko ohydna, znienawidzona, wampirza samotność.

Niekiedy jak pies przed jatkami wystawałam przed oknami cudzego szczęścia, które stosami gromadziła moja wyobraźnia, — i rozmyślałam nad wyborem. — O mej indywidualnej szczęśliwości nie mogło być mowy. — W znanych mi warunkach świata i mej istoty, harmonia była niemożebną. — Lecz wokoło mnie, oczom moim, mimo wiedzę zazdrosnym, stały w piękności swojej różnorodnej harmonie wszystkich innych tworów i obwijały się nieprzeparcie w cuda mej tęsknoty. — Oglądałam wszelkie kategorye rozkoszy. Naprzód prawem kontrastu pociągały mnie kształty ospałe: — nieruchomość głazów uwięzłych od wieków nad drogami, drzemanie bydła w trawie łąk, zwierzęca ociężałość kobiet brzemiennych, spuchły błogostan zadowolonych żarłoków, kamienny sen robotników w cieniu spiętrzonych bruków i cicha radość czół umarłych. — Potem zasmucały mnie zwodniczą tęsknotą drażniące błyszczenia przepychu i użycia, jarzące światła, zdwojone zwierciadłami i lśnieniem ścian marmurowych, — rosa dyamentów na skórze nagiej, — zapach, żar i wrzawa hulaszczych nocy, — weselna wścieklizna zabaw rozpasanych, migotliwość widowisk, wrzenie łaźni szału — — — Potem

snuły się, jak dryady, snów południowych idylle, — miłości piętnastoletnie, schadzki w rozkwitłych sadach, dni wniebowzięte i przecałowane noce, — a potem maurytańskie twierdze tajemnic namiętnych, w wewnętrznych ogrodach, szemrzących fontannami. — A potem jeszcze przychodziły apoteozy ambicyi, tryumfy imperatorów i papieży. — I jeszcze: tajemnicze natchnienia mędrców, seraficzne zachwyty świętych, świszczący, czarny lot demonów z łupem duszy porwanej — i niepojęta chwała Bóstwa. — Wszystkie te istnienia, doprowadzone przezemnie do spazmu tkwiącego w nich pierwiastku rozkoszy, przechodziły przed mym głodnym wzrokiem, pożądane z osobna i wszystkie razem, — i każde z osobna niedostateczne memu pragnieniu — i wszystkie razem niedostępne.

Czem chciałabyś być? — zapytywałam swej duszy, jak czuła matka dziecko przed dniem urodzin i upragnionych darów. — Jakby w mojej mocy było obdarowanie jej najpiękniejszym... Lecz dusza moja, roztropne dziecko, wybawiała mnie z kłopotu prostotą i niedostępnym ogromem swej żądzy: chciała być... tylko SOBĄ, dostać SIEBIE w dniu narodzin, siebie prawdziwą, swój PROTOTYP nieznany i umiłowany, wolny od przypadkowości i granic, bezbrzeżny w wiedzy i mocy, ze spazmem tkwiącego w nim elementu rozkoszy wyłącznej, jedynej.

A gdy mnie wyczerpało pożądanie, — dla odmiany gardziłam szczęściem. Zagłodzeni, w pewnym okresie męki, czują wstręt do jadła, — czemś podobnem był wstręt do życia, który mnie po atakach żądzy ogarniał. — Zagadką ziemskiego bytu wydawała mi się wtedy rozkosz — i to odkrycie napawało mnie szyderstwem i odrazą pełną wzgardy. — W każdym ruchu świata upatrywałam to jedno jedyne, łakome dążenie do zadowolenia, — to samo niespokojne, lubieżne pożądanie osłupienia, SPAZMU. — Robotnik, oddający swój grosz sobotni nierządnicy — i fa-

kir, wprawiający się w stan kontemplacyi; — najgrubsza chuć zwierzęca i najczystsza żądza duchowa były równie płaskie w moich oczach tem zasadniczem prawem i pragnieniem zwężenia się uczuć aż do konwulsyi bezprzytomnej, unicestwiającej, ostatecznej — Czułam w niem wolę samozagłady, zrzucenia z siebie ciężaru świadomości, powrotu do spokoju, do poziomu, — niewspółmiernych, antypatycznych memu pragnieniu bezgranicznej bujności i najszerszego objęcia świata. — Spazm — fizyczny czy duchowy — wydawał mi się otchłanią graniczną między nędzą trzechwymiarową, a niepojmowalnym przepychem dalszych zaświatów, w które wdzierała się moja dusza, niezdolna do uciech ziemskich; — wstrętnym i bezwiednym samogwałtem, dokonywającym się u stóp niezdobytego i tajemniczego Bóstwa naszych marzeń. — W głębi mojej powstawał płomienny zarys PRAGNIENIA-ROZKOSZY, bez granic ni końca, — trwania w wiekuiście rozszerzającej się łunie wszechświatowego pożaru, — wzbijania się nieskończonego w coraz wyższe i bardziej zdumiewające sfery numenalne na ognistych i niezmordowanych skrzydłach niepojętego miłowania. — Wobec tej nadludzkiej koncepcyi — prochem i kałem i śmiechem było mi szczęście i nieszczęście, rozkosz i cierpienie, wiedza i niewiedza, — człowiecza zwierzęcość i duchowość, jednako ograniczone kurczami mięśni i mózgu, — wszystko, co jest gliną, powietrzem i wodą, co się dzieli, co się przemienia, co się rodzi i umiera. — Pragnienie absolutnej jednolitości i wieczności urągało mym luźnym, ludzkim atomom i sekundom, — pragnęłam być tem — czego nie było nawet w mojem najoderwańszem pojęciu — czemś, co nie wyrosło z człowieka. Niepokonanem, morderczem OBRZYDZENIEM napawały mnie: miał moich myśli, stonożne macki moich sensacyj, kretyniczno lubieżne łzy i uśmiechy moich uczuć. — Życie było mi nie cierpieniem, lecz ohydą, nie kaźnią, lecz spluwaczką dla me-

go wstrętu. — Nie bolało mnie — ŁECHTAŁO mnie. Nie bolało — tylko znieść tego nie było można. — Nie krzyczałam — śmiałam się, konałam śmiechem, wijąc się w szybkiem, lekkiem, hakliwem mrowieniu się drobnych, dokuczliwych, niezliczonych, nieodpędzonych gadów, jak zakopana w mrowisku. — Wtedy myśl samobójstwa stawała przede mną spokojna i rozumna, jako nasuwające się KONIECZNE DOŚWIADCZENIE; — zbyt spokojna i rozumna, by znalazła posłuch u przyczajonego tylko instynktu życia.

Były dni, w których ogarniała mnie twarda, sroga CIEKAWOŚĆ. — Serce moje stawało się dyamentem, którego żaden piorun nie mógł zrysować, lecz pod którego nieubłaganie naciskającem ostrzem pękało wszystko jak tafla szklana. — Nie było we mnie wtedy miłości ani wrogości, nadziei lub prawdopodobieństwa zawodu, smutku ni radości, — nie było żadnego uczucia — nawet miłosierdzia, nawet zmysłu samozachowawczego. — Było to wszechwładne, nieludzkie panowanie MYŚLI, — której usługiwała, jak żandarm czujna, karna, gorliwa wrażliwość; — MYŚLI — nie tej oderwanej, której przypisują błyskawiczne a łagodne skrzydła kontemplacyi, lub wszystkowidzący, a bezinteresowny teleskop, — lecz TEJ, która, w walce z zalewającą ją miazgą cielesną i jej niedołęstwem, prostuje się w demonicznym odwecie — i — jak Torquemada — wlecz przed swój sąd inkwizycyjny drgające krwią i nerwami ciała opętanych przez materyę zagadek. — Życie było dla niej ową czarownicą, o hypnotyzujących kształtach i mocy niezbadanej, której dręczącą tajemnicę miało wywlec na światło długie śledztwo i ostateczna tortura. — Tem życiem-czarownicą był mi cały świat, ludzie, bieg i plątanie się zdarzeń, — a przedewszystkiem, jako najbliższa, najdostępniejsza — moja własna osoba. — Nie wzdrygałam się przed żadnem doświadczeniem; dla

tej okrutnej Potęgi nie było występku, świętokradztwa ni zbrodni. — Kutej w piekle jej zbroi nie przebijały nawet wszystko-przenikające groty zgrozy litośnej. — Mękę swoją fizyczną badałam w lustrze, śledząc linie jej grymasów. — Katusze duchowe oglądałam jak dzikie bestye, z sympatyą powinowactwa, — i w ich loch wyjący i zgrzytający ciskałam na pożarcie krwawemi kawałami swoją duszę. — Gwałciłam w sobie wszystkie instynkty i „prawa przyrodzone,“ obchodziłam się z sobą z małpią przekorą, wytrzymywałam ból, niepokój, pragnienie, oczekiwanie, tkliwość, gniew — aż do bielma ostatecznej konwulsyi — i PO ZA NIĄ; — i tylko wzgardliwa ironia krzywiła mi usta, gdy, przeszedłszy punkt kulminacyjny, ginęły same przez się, — z tym samym niesłychanie lichym skutkiem wystudzenia, jakiby wywołało natychmiastowe uspokojenie. — Dusze bliźnich były mi tylko tematem wiwisekcyjnym, retortami lub instrumentem. — Wnikałam we wszelkie arkana chemii, mechaniki i harmonii duchowej. — Rozkładałam za pomocą gryzących kwasów najzawilsze zjawiska na elementy, to znowu dążyłam do wytworzenia nowych, nieznanych, przez niebywałe połączenia. — Auskultowałam jestestwa ludzkie, dopóki nie trafiłam na zasadnicze nerwy i nie odkryłam planu organizacyi, — i odrzucałam je precz z chwilą, gdy trzymając w ręku główne fibry, przekonywałam się o dokładności swych badań, wprawianiem ich w ruch dowolny, niby skomplikowanych pajaców z tektury. — Albo z faktów, ludzi i siebie komponowałam z twórczem przejęciem i dyabelską zimną krwią najdziksze, najprzewrotniejsze symfonie, — naprężałam struny swej orkiestry aż do pęknięcia. — Wiele strun życia pękło w ten sposób w innych i we mnie. — Dzień każdy był mi tylko nową tablicą runów do odcyfrowania. — Niewiadomość poranka gnała cwałem do mądrości wieczoru. — Czy uderzył we mnie grom klęski, czy mi rozkwitł najparadoksalniej

bujny kwiat radości, — duch mój niezdolny był zatrzymać się na nich dłużej niż POZNANIE, — i jak dziki, nieujarzmiony koń, węszący stado, — z wyprężonemi nogami, z najeżonemi nerwami, rżał przeciągle i pytał, zaciskając zęby i pięści w furyi czekania: — „co dalej? co dalej?“ — Nie było to wołanie o szczęście — lecz o nowe OBJAWIENIE, — o życie surowe, bogate, twarde — które dręczy i wstrząsa, wali w głowę brutalnemi katapultami zdarzeń, by w niej wywołać deszcze gwiazd cudownych. — Pędziłam pod ten piorunowy grad, wzywałam gromów, — piersi mej trzeba było tych druzgocących pocisków, łamania się żeber, wcinania się siedmiu nożów poznania w tę niezmordowaną miazgę istnienia, którą tylko wypoczynek trudził, tylko spokój przerażał. — Zacinałam szczęki i chwytałam za druty tej potwornej maszyny elektrycznej życia — by doznać jego prądu w swoich żyłach. Niechby mi był wykręcał ręce... byłabym je tylko zacisnęła silniej. —

Kiedyindziej znowu z eksperymentatora stawałam się MEDYUM świata i owładała mną NAMIĘTNOŚĆ MARZENIA. — Było to nie owo dumanie niemieckie — romantycznie mdłe, powiewne, anemiczne, — lecz to gorące, rozedrgane, purpurowe, które jest jakby snem ognistym w uścisku życia. — Przeżywanie powtórne, pełniejsze, głębsze, dreszczów czucia, — wnikanie w najwewnętrzniejszy czar zerwanych kwiatów, — rozkoszowanie się łupami wojennemi, posiadanie cudnej niewolnicy, po zdobyciu jej na wrogu i uprowadzeniu do swej górskiej pieczary. — Pastwiłam się nad nią i pieściłam ją, groziłam i zaklinałam, szydziłam z niej i modliłam się do niej, rozplatałam jej cudne, złotokare włosy, rozchylałam purpurowe usta nad świecącemi zębami, zgrzytałam i całowałam, wiązałam ją kajdanami i wypuszczałam na wolność, w nadziei, że ją ta wspaniałomyślność rozbroi, że ją moje roz-

kochane szaleństwo z powrotem przywabi. I zawsze to samo: uciekała mi.

A wtedy zrywałam się z pęku skór, chwytałam nóż — i gnałam w nowym pościgu za nią, za łupem moim nigdy nazawsze niezdobytym, za nigdy nadosyć nieposiadaną niewolnicą, za bożyszczem mojem — ŻYCIEM.

Czasami mózg mój opowiadał mi bajki, cudne i straszne, splecione z dziecinnych wspomnień, z siejby książkowej, z przygód własnych i marzeń, — albo przesuwał przede mną miraże, silne złudzeniami wszystkich zmysłów. — Dusza moja bezwiednie usiłowała stworzyć to, czego nie stwarzał świat zewnętrzny, — i otoczyć się swych widzeń wrzawą, ruchem, pstrocizną i zapachem. — Było to jednak połykaniem pary i chwytaniem kurzu. — To życie wyobraźni miało w sobie rozpaczliwą wiotkość pędów piwnicznych, chudość potraw postnych, nikłość wodnych pęcherzy. — Jak demon cierpiał we mnie DUCHOWY ZMYSŁ DOTYKU, łaknący kształtów nieustępujących, przeszkody muskularnie sprężystej; cierpiały szczęki i młode, wilcze zęby, gdy zamiast jędrnego mięsa rzeczywistości, przychodziło im zgrzytać nad klejami ekstraktów. Przytem ten orszak widm stwarzanych był nierozerwalnie spojony z macierzystym mózgiem — i bezsilny wobec żądzy wrażeń NIESPODZIANYCH, znienacka owładających, uderzających jak dech Bóstwa lub klątwa, — tych cudów, które każą nam odczuwać nasz głęboki, tajemniczy związek z wszechistnieniem.

To znów między krzyże i mogiły, prosektorya i szpitale wiódł mnie Zaułek ŚMIERCI. — Mówiłam sobie, że krzątam się i chodzę koło wiela, czepiam się życia jak tonący wodorostowej gałęzi, — a jednej mi śmierci potrzeba. — Nienawidziłam tego nieszczęsnego splotu sił fizycznych i duchowych, które stanowiły moje JA, — nienawidziłam RODU który mnie wydał, tego nieskończonego

szeregu natur gwałtownych i beznadziejnych, dzikich, namiętnych, niespokojnych, w wiecznej kłótni ze środowiskiem, pędzących we wrzawie rozhulanej rozpaczy, jak czarny tabun demonów, w piekło samozagłady, — nad któremi, jak ptak żałoby, rozpięła wampirze skrzydła Klątwa zamierzchłej Przeszłości. — Ten ród we mnie dochodził do najzwięźlejszej formuły, do najcharakterystyczniejszej krystalizacyi typu, do ścisłości i skrótu symbolu. — Zjawienie się mego jestestwa pojmowałam jako ostatnie równanie odwiecznego problematu ziemsko-nadziemskiej algebry, — a rozwiązaniem była jasna samowiedza naszej anti-życiowości — i ŚMIERĆ ŚWIADOMA, ostateczne wypełnienie Klątwy.

Nicość była jedyną ulgą na męczarnie maligny życia, jedyną wodą na pożar tęsknot, jedynym toporem na stugłową hydrę bólu. — W zwykłych strachach i ohydach pośmiertnych nie odczuwałam tragizmu ni grozy. — Myślałam o mrowieniu się robactwa w zimnej zgniliźnie swego trupa, o odpadaniu ciała od kości, o obnażaniu się szkieletu z pod ruiny tkanek, z takim chłodem, jak o każdej innej zwierzęcej lub roślinnej padlinie, jak o innych biegach rzeczy. — I to było właśnie dla mnie wtedy najstraszniejsze, że ta cuchnąca, zwolna roztapiająca się padlina, że te gnijące w oczodołach powieki i źrenice, zęby świtające z pod warg odpadłych, — że ta cała scenerya znikomości była bezsilna jako argument nicości. — NIE BYŁO UNICESTWIENIA! W oczach nieuleczalnie chorych płonął Duch jak w krzaku gorejącym. — Twarze trupów wymowniej niż oblicza żywych przemawiały do mnie językiem Wieczności, — Demon odlatający zostawiał na swej ziemskiej masce stempel indywidualności niezniszczalnej i rozwiewał w mym umyśle wszelkie złudzenie Niebytu. — Śmierć była poradzającym skurczem cielesnej KOSZENILI, — która życiem przypłaca wydanie płodu; —

była końcem prologu tylko, NARODZENIEM. — Za jej groźnemi bramami rozciągała się bezbrzeżna droga awatarów, obciążona tem samem co na ziemi przeznaczeniem, — tą samą dla mnie klątwą wiekuistą. — Na myśl o nowej, niepojmowalnie przeraźliwej kaźni, która mnie tam czeka, oblewał mnie pot lodowaty, — i jak ów więzień inkwizycyi toledańskiej, o którym pisze Poe, chwycona między płomieniste ściany życia — i otchłań śmierci, rojącą się od szeptów i rąk katowskich, — padałam twarzą na ziemię, rzężąc w rozpaczy bez wyjścia, bez ratunku. —

Było jeszcze tych zaułków wiele, dzień wlókł się za dniem, przynosząc tylko rozmaitość obłędów, fatamorganowych architektur myśli, pozlepianych żądzą. — Z kilkudziesięciu sześcianów, naklejonych fragmentami wspomnień i wiedzy, tworzyłam, jak dziecko w dzień deszczowy, coraz inne obrazy, — zawsze z pragnieniem zatrzymania się na jednym z nich, jak na niezmiennym wzorze, — i zawsze w końcu rozrzucając luźną i bezładną kompozycyę, by ledz na jej strzępach, jak w kurzu potarganych pajęczyn. — Usiłowałam nawet wzbudzić w sobie bezinteresowną miłość dla świata, — z chytrością utajonej myśli, że go w ten sposób zdobędę. — Lecz świat, doświadczona zalotnica, czyta w oczach pożądliwości — i używając jej hypokryzyi dla swych praktycznych celów, — chroni się potem za nią jak za szańcem — z milczącą drwiną dla oszukanych oszustów.

W tym nieprzerwanym pędzie myślenia była niekiedy bezmyślność całogodzinnego dzwonienia zepsutych zegarów, majaczenie histeryczne, gadulstwo niektórych konających. — Chwile pustki mózgowej witałam z ulgą, jak ustanie rwania w zębie. — Płacz zmordowania porywał mnie na widok lecącego z szaro rozpienionej głębi nowego bałwana myśli. — I nic mnie przed tą katuszą rozpasanego mózgu nie mogło uchronić, — najgwałtowniejszy ruch,

ani osłabiające kąpiele, ni głośne powtarzanie liczb i liter. — Samotność była mi środkiem pobudzającym, cisza rozjuszała mój niepokój, — w próżni pękały moje żyły, — czaszkę mi rozsadzał zwodniczy nadmiar buchających sił.

Bezsilna od męki, bierna ofiara swej własnej tortury, rzucałam się na leże jęcząc — i pozostawałam tak bez końca, tracąc poczucie czasu i przestrzeni, — bo oto, naprzód, złączonym szturmem, uderzał we mnie hufiec szyderczych naigrawań. — Na księżycem ubielonej ścianie przesuwały się obrazy jak latarni magicznej, — a każdy był parodyą jednej z kart mego życia, jej wiernem odbiciem, urągającem samozachowawczej idealizacyi dni późniejszych, których zbytnia ohyda szukała ulgi bodaj w złudzeniu rajów utraconych. I wszystkie te obrazy mówiły: NĘDZA. — Potem ukazywałam się sama sobie, i wzrok mój zatapiał się w tej twarzy i w liniach tego ciała, by zgadnąć z nich, jak z nieodcyfrowanego symbolu, SŁOWO, które mnie stworzyło, znaczenie mych dziejów i treści. — A symbol ten mówił: NĘDZA. — Potem rozstępowały się ściany mej czaszki i otaczał mnie kraj mego ducha. — Oglądałam w nim bezdenne otchłanie wiedzy, w samej sobie zgubionej — i bezbrzeżne pustynie ciemności. — Widziałam kraj górski, dziki, życiu niedostępny, z lodowatemi jeziorami pod strażą zębatych skał, z bazyliszkowemi szelestami na suchych porostach urwisk, — z ponurym szumem wodospadów, u których twór żaden nie ugasi pragnienia, bo są zbyt rwące i szalonym pędem ofiarności wypłaszają z dłoni rzucony w nią nadmiar, — z rysami piorunowemi na lodowych szczytach i z kościotrupami gemz odważnych, które znalazły śmierć w tym kraju śmierci. — I każda ściana skalna, i każdy szum potoku mówiły: NĘDZA. — A gdy się zawarły wrota milczącego piekła, ujrzałam się niewidzialna wśród ogromu świata, jak punkt nieruchomy próżni wśród fal powietrznych, rozkołysanych i gnących się pod

tryumfalnym pochodem wszechżyciowej pieśni. — Olbrzymi ten śpiew wypełniał całą przestrzeń stworzoną, porywał z sobą wichurą wszystkie pyły bytu, grzmiał pod niebiosa jak rapsod bohaterski, — ze strzelającemi w rozpędzie sztandarami szedł potężnym, miarowym krokiem przez gorejące bramy Jutra. — Szedł od dni w słońcu, których nie widział żaden twór tkankowy, — przez gigantyczne puszcze i mamutowe stada, — przez dzień Ptaka i dzień białych na wiecznych lodach wyjących, ostatnich niedźwiedzi — do dnia wielkiego Deszczu Gwiazd. — Szedł niewstrzymany, bez odwracania głowy, pijany świstem chorągwi i potęgą swego pochodu, ciskając na siebie po drodze górskie olbrzymy, wyginając pokłady ziemi jak blachy — i porywając w swój odwieczny hymn płomienie ziemskich trzęsawisk, grające liście ludzkich dusz. — I w hymnie tym nie słyszałam swego głosu. — Żaden nerw mój nie łączył się z łańcuchem tego pochodu. — Szedł przeze mnie jak przez porwać się nie dający, ani rozdeptać punkt międzyrzeczowej próżni, — i śpiew jego mówił dla mnie: JAM JEST KTÓRY, JEST, A TY — KTÓREJ NIEMA.

I znów na księżycem ubielonej ścianie ukazywała się moja własna twarz, — dwoje bezświetlnych, mrocznie chłonnych oczu pożerało me spojrzenie jak chciwe przepaście, usta czerniły się w szkielecim rysunku lic zapadłych, — i z głuchą tajemniczą melancholią zdawała się mówić ta czaszka trupia: NĘDZA. — Zamykałam powieki, by odpędzić widziadło, — lecz światłość miesięczna przebijała ściany głowy i oświetlała upiorną pustynię, sfałdowane morze piasków, a w ich skrętach i załamach tłumy stworzeń nagich, wynędzniałych, z oczyma płonącemi obłędem, niezdolne do jęku i ruchu, konające w głodowem osłupieniu, — lub rozdzierające się z dzikiem wyciem, wpite we własne, krwią broczące rany, — lub tknięte zarazą, sine od zgnilizny, — lub zgrzytające w takt epileptycznego tańca, —

lub z potępieńczym śmiechem odgrzebujące kościotrupy dni dawnych, tak jak one z głodu pomarłych. — I tłumy te wołały: NĘDZA. — Na księżycem ubielonej ścianie przesuwały się obrazy jak latarni magicznej, — a każdy był odbiciem jednej z kart mego życia, każdy był historyą innego głodu, innego daremnego poszukiwania chleba życia — i pożerania w jego braku rzeczy martwych i plugawych, wszelakich odpadków i kałów, szkła, trucizn i kamieni; — a potem obłędy wstrętu, szał potępieńczy, bratobójcza nienawiść dla świata, który jak ja nie umierał — potrafił jeść i pić, być sytym i spokojnym, pracowitym i potrzebnym, wesołym i budzącym zazdrość, — dla świata, który zdawał się mówić do mnie: — JAM JEST, KTÓRY JEST, A TY — KTÓREJ NIEMA. NIEDORODZONYM BIADA!!!

Rozumiałam nareszcie. To był klucz tajemnicy, przyczyna samotności, otchłań dzieląca mnie od ludzi i świata, zagadka niewspółmierności z ziemią i jej dziećmi, wiecznego rozdźwięku i głodu, krzywd okropnych i bez winowajcy, tego systemu okaleczania, którego byłam ofiarą od narodzin. I już do końca trwać musi katusza źle spojonych z sobą funkcyj i narządów, ten cały bezład luźnych kół i sprężyn, które w rękach życia, gruborękiego maszynisty, mogą tylko łamać się, krzywić i kaleczyć. — I nikt ich w naturalną całość nie połączy, bo niewiadomy nikomu plan i cel ich układu. — I nie zdołam tego uczynić ja sama, bo jeszcze mniej wiem od tamtych, którzy na podstawie różnic bodaj potrafiliby przynajmniej sformułować, czego nie wiedzą. — Nieudana próba! poroniony płód!

I już wiedziałam, co mi pozostaje do czynienia, jak się ocalić przed obłędem samotności. Mocny jest sznur u okna i umiem wiązać pętlicę. — Otworzyłam oczy — bezmiar księżycowej pustki zadrżał w czujnem milczeniu. — Wstałam i stąpając sztywno skierowałam się ku źródłu

jasności. — Nagle stanęłam jak wryta. Wprost mnie, mrocznie wypływając z blasku, prostował się w groźnej czerni szatański upiór mego DUCHA. — W posępnym obłoku twarzy złowieszczo rozświecone oczy, czoło zamknięte na siedm pieczęci i nieubłagana niemość ust wzgardliwych wraziły się w mą ziemską miazgę drżeniem zwierzęcej trwogi, zgrozą zapadającego wyroku. — Padłam na ziemię rzężąc. — Nade mną huczał łoskot klątwy:

W WIEKUISTOŚĆ.

13. XI. 1901. — 31. III. 1902.

Marya D. Komornicka.

Z utworów Kazimiery Zawistowskiej.



DLA MARYI J.

Rycerskie i wysmukłe masz kontury ciała,
Jakobyś starych mistrzów żywym była tworem,
A woniejesz tak stepem, łąkami i borem,
Pieśnią wichrów, jak sosna w słońcu rozgorzała.

Dusza ci się w kurhannych dumach rozkochała,
W białych kościach świecących nad czarnym ugorem,
W sennym jęku żórawim u studni wieczorem —
I w tęsknicy się stepów obłąkała cała.

Lecz nocą, gdy miesiąca wzejdzie sierp z opali
I wonieją wiśniowe rozkwiecone sady,
Śnisz pod oknem nucone miłosne balady

I młodego rycerza w szyszaku ze stali,
I w zwartych jego ramion tulona obręczy,
Sen prześniwasz swój cudny, sen pierwszy młodzieńczy.

DLA ZOFII J.

Twoja dusza wygnanki ma królewskie lice.
Czerw' Bezczynu krwi jasnej wytacza jej soki,
Nuda w pustyń zmartwiałe przenosi opoki,
Gdzie pogasłych nadziei martwe lśnią źrenice.

A wokoło mkną życia wezbrane potoki,
Niosąc zgony i srebrne odrodzeń kotwice,
Białe krzyże Chrystusa, Syzyfów krwawice,
Tyrs bachantek, idei błękitnej obłoki.

Lecz twa dusza wygnanką jest w królewskiej szacie,
Śledzić dano jej szaniec w wojennym rozgwarze,
Ale walczyć niewolno przy żadnym sztandarze.

Więc czując, że majestat jest dla niej przekleństwem,
Kona zwolna, tej lilii strawiona męczeństwem,
Co samotna rozkwitła w gotyckiej komnacie.

LATO.

Jak stół biesiadny żeńcom podany,
Ziemia w przededniu wielkiego żniwa.
Złotą symfonię słońce dogrywa,
Strun mu tysiącem rozchwiane łany,

Wian zbóż, szafirem chabrow dziergany,
Zwichrzonych kłosów złocista grzywa,
Struną mu miodna hreczana niwa,
Mleczny gościniec skrzydłem pszczół tkany

A po ugorach stoją dziewanny,
Cicho wpatrzone w szmat nieba siny.
Niby kapłanki białej Marzanny,

Kwiatem wyrosłe z gruzów gontyny,
W pieśń zasłuchane oną przedwieczną —
Polną i zbożną — kwietną — słoneczną...

ZMIERZCH.

Wmgieł szarudze się wlecze i pełza powoli
Przez sczerniałe ścierniska, zżęte sianokosy,
Przez wierzb sennych opadłe rozplecione włosy,
Przez kurhany drzemiące w rozoranej roli.

Jak ptak zmęczon, opadnie i dziwnie zespoli
Z tęsknicami jesieni tęskne duszy losy,
Razem zaklnie je w dzwonów cmentarnych odgłosy, —
I śpiewać jak piastunka będą pieśń złej doli.

Pójdę znaną ścieżyną, dziś szarą od mroków,
Pod ciężką, od mgieł wilgną oponą obłoków,
Pójdę rozwianych szukać wróżb białych stokroci,

Czterolistnych koniczy, pocałunków żarów,
Pójdę szukać, wśród chłodem wiejących oparów,
Czy się kędyś zbłąkana skra słońca nie złoci.

SPADŁE LIŚCIE.

Na srebrne stawu zwierciadło lecą —
I świecą złotem — i miedzią świecą.
I lecą trwożne, jak błędne duchy,
Jak serc porwanych krwawe okruchy.

Przez wiatr rozsiane serc krwawych strzępy
Między pobrzeżne szuwarów kępy...
Jakby łzy lecą... jakby ból kwiatów —
Jak pocałunki słane z zaświatów.

I lecą... lecą... a gdy na fali
Mglisty się pierścień świateł rozpali,
To się w tej smętnej pławią jasności,
Niby korowód cmentarnych gości...

Na srebrne stawu zwierciadło lecą,
I świecą złotem, i jak krew świecą.

ŚNIEG.

Loty kwiatów rozwitych na mistycznej łące —
Oderwanych od łodyg, ściętych kwiatów pęki.
Uskrzydlonych gwiazd taniec — leciuchny i miękki,
Lotne gwiazdy srebrzyste, motyle goniące. —

Lecą... gwiazdy, motyle i kwiaty iskrzące.
Lecą... spadły... Siew biały z pod anielskiej ręki.
Jak dziewiczej orkiestry przytłumione dźwięki,
Grają bielą barw tonów pyły wirujące.

Tak grają, że się duszę chce rozewrzyć całą,
I tą bielą się osnuć, w tę kaskadę białą
Nurzać duszę, i mleczną srebrzyć ją ponową,

By dziewiczą się stała, kryształną alkową —
A wówczas na jej szybie lustrzanej wykwitną
Kwiaty marzeń młodzieńcze z koroną błękitną...

PANAGIA.

Naiwną ręką mistrza przed laty
W ołtarz cerkiewny sztywnie wtłoczona. —
Młode jej skronie gniecie korona,
Młodą pierś gniotą dostojne szaty.

Gdyby z tła złoceń zdjąć Świętą-Maty,
Toby w skrach słońca szła ozłocona
I, jak wieśniaczka z synkiem u łona,
Przędłaby kądziel u progu chaty.

A mgieł przędziwa z nad modrej strugi
W zwójby się pasem rozsnuły długi,
I wszystkie świtu-zorzy uśmiechy

Do jejby cichej przybiegły strzechy,
Aby rozsypać puchy lipowe
Na bezkoronną przędącej głowę. —

CMENTARZ.

Twardo posnęli, i nie wyjdą w pole,
Choć dzwonią sierpy wśród złotej kurzawy,
A dziewki, idąc wzdłuż świetlanej ławy,
Wian dożynkowy przynoszą na czole.

Posnęli w krzyżów trójramiennych kole,
Wśród jagód krasy, miętą wonnej trawy,
Gdzie gwiezdnooki kwitnie mlecz złotawy
I pachną kwiaty w cmentarnianym dole.

Krasną opończę i pojas czerwony
Włożono gazdom na ostatnie święto.
Nad nimi trawy pachną rutą, miętą,

Dymy się z chałup wloką na zagony,
I patrzy na nich poprzez Carskie Wrota
Przeczysta Maty, Byzantyńska. złota.

AGNESA.

Pan na jej duszę jak na harfę złotą
Dłonie położył — i rzekł: Moją będzie,
Białą jak owe najbielsze łabędzie,
Gdy się w wód modrych kryształy oplotą.

Niechaj gołębich swych skrzydeł prostotą
Przed mego tronu wzbije się krawędzie
I tam niech śpiewa jak ziemi orędzie,
Bo dla mnie harfą jest jej dusza złotą.

Więc miłująca i umiłowana,
Jak w gloryę słońca, szła w ogień dla Pana.
Przez skry płomienne przeszła żarnych stosów

Do rozzłoconych różanych niebiosów,
I skroń dziecięcą u stóp zgięła Pana
Ta miłująca i umiłowana.

TERESA.

Jeszcze cierpień, o Panie! Me dłonie wzniesione
Naznacz gwoździ męczennych purpurowym kwiatem,
Daj krwią broczyć pod świętym ran twoich stygmatem,
Spal pragnieniem ust twoich me usta spragnione.

Głód męczeństw mnie pożera, głodem męczeństw płonę!
Więc Ty dobry, Ty wielki, Ty bądź moim katem,
I ciało moje rozkrwaw krwi Twojej szkarłatem,
Wbij w skronie me bezsenne Twych cierni koronę.

Kochać! cierpieć! i umrzeć! ach, skonać dla Ciebie!
Tobie ponieść mej duszy płomienne pożogi,
Jej żarem wszystkie gwiazdy mlecznej roztlić drogi,

I jak wstęgę ognistą rzucić ją w Twem niebie,
I widzieć, jak te łuny krwawo rozgorzałe
Przyćmią Tobie oblicze Magdaleny białe. —

MAGDALENA.

O, nie patrz na mnie!.. Jam pełna lęku...
Z amforą wonnych olei w ręku,
Idę pomazać twe stopy znojne,
Niosę im nardu wonie upojne,
Żar pocałunków i łez mych strugi...
I klęcząc warkocz rozplatam długi,
I z stóp twych kornie biorę na włosy
Łez moich zdroje i oliw rosy.

O, nie patrz na mnie... Długo-m czekała,
Długo płomienna byłam i biała!..
Lecz teraz odwróć te słodkie oczy,
Bo trąd występku ciało mi toczy.
W proch mi skroń zetrzyj stopy białemi,
Bom najgrzeszniejsza między grzesznemi!..
Bom jako owa oblubienica,
Co, w snach już widząc miłego lica,
W przededniu jasnym dnia godowego
Zbiegłszy z wyżyny pałacu swego,
Na żer służalczym pachołom dała
Królewską krasę swojego ciała!..

Lecz nie odtrącaj!.. Jam twoje ręce
W snach widywała i w przeczuć męce...
I drżąc w brutalnych ramion oplocie,
Duszę miewałam w łzach i tęsknocie!..
I w skrach ogniowych, w szału purpurze
Jak gołąb' byłam o białem piórze!..

. . . .

Wiem... przyjdą inne — już się wybiela,
Straż najprzedniejszych cór Izraela.
I niosą kwiatów barwistych snopy
Pod twe tułacze wędrowne stopy...
Idą ku tobie w zwartym szeregu,
Idą ku tobie w róż białych śniegu!..
Nie mnie iść z niemi — po wieczne czasy
Popiołem zsypię raj mojej krasy —
I w ślad stóp twoich pójdę pokutna
Jako służebna cicha i smutna!..

. . . .

O Rabbi... Rabbi... ja w prochu leżę,
I z tobą pójdę... i w ciebie wierzę.
I kładę usta i włosy moje
Pod opylonych stóp twoich znoje...
O Rabbi... Rabbi...

. . . .

„Wstań od stóp moich, zmazan grzech ciała.
Boś nieskończenie umiłowała —
I odtąd będziesz z śniegu i woni
Ów kwiat na drzewie wybranych skroni.
Idź... i oleje pochowaj wonne —
Na namaszczenie dla mnie pozgonne.“

. . . .

ZWIASTOWANIE.

Zdrowaś, Maryjo! W blasków powodzi
Goniec niebieski w twe wrota wchodzi —
I Oblubieniec płaszczem purpury,
Okrywa białość Syońskiej córy.

Zdrowaś, Maryjo! o lutnio w śnieniu!..
Rozgraj twą duszę na łask promieniu,
Bij wonnościami jak cedr w świątyni,
Bo pan w twej duszy złoty siew czyni!

Zdrowaś, Maryjo! W blasków powodzi
Moc Najwyższego w twe łono wchodzi,
I pierś dziewicza pod lilią białą
Kwiat duszy swojej przemienia w ciało.

Zdrowaś, Maryjo! Owoc żywota
Ty jako arka poniesiesz złota,

I z dziewiczego wykwitnie łona
Ożywcza słodycz winnego grona!..

Zdrowaś, Maryjo! W blasków powodzi
Goniec niebieski w twe wrota wchodzi
I na twe skronie owite złotem
Mży rozpylonym słońca nalotem.
. . . .

BETLEEM.

Jaśń gwiazdy złotej na nieboskłonie,
Światłokrąg blasku w różach przedświtu,
I lud tak rozgran w pieśniach zachwytu,
Jak modro-srebrne Kedronu tonie.

U stóp twych — Magów pokłonne skronie,
W ciszy rozmodleń morza i lądy,
Trzód białe runa, juczne wielbłądy,
Ambry i nardu błękitne wonie...

U stóp twych ziemia — lecz w aureoli
Jaśni gwiaździstej wstaje powoli
Czarny cień krzyża w krwawej purpurze,

Na żarnych piasków rozpięty górze.
Czarne złowrogie hańby ramiona,
A na nich dusza... twej duszy... kona...

WIZYA.

O wizyo, biała wizyo! O białe konwoje
Archaniołów, niosących w słodkiej kantylenie
Swojej pani dostojnej korne pozdrowienie!
A Pani Wszechlitosna w rąk liliowych dwoje

Garnie kwiatem rozwite Dusz wybranych roje,
Duszek krasą bieluchne umaja odzienie
I słodko zasłuchana w harf przyćmione brzmienie
Patrzy w rajskie ogrojce, kędy przez podwoje

Runa jagniąt bieleją. A w kwietnej dąbrowie
Chodzą z lutnimi śpiewnemi biali Aniołowie
I drogę dla Jej stopek w złote sypią palmy.

A gdy idzie, gną harfy rozegrane w psalmy,
Gną harfy pod Jej stopy, i kwiaty, i blaski —
O ave, Wszechlitosna! ave, pełna łaski!..

KSIENI.

Na marginesach sztywnych psałterzy
Ksieni szlak zdobny okrasza złotem,
Strzelistych lilij barwi oplotem,
Jasnością skrzydeł anielskich śnieży.

Na marginesach sztywnych psałterzy
Dostojnych Magów zgrzybiałe ręce
Pieszczą różane ciałko dziecięce,
Roześmiane oczom jak owoc świeży!

Na marginesach sztywnych psałterzy
Uczona Ksieni skroń spiera białą
I usta wtula w różane ciało,

Roześmiane oczom jak owoc świeży.
I po złoconych kart pergaminie
Bolesne srebro — łez... ciężkich... płynie...


VITA SOMNIVM
BREVE

Katedra.

URYWEK.

Wolniejszy teraz od opętania zadum, zabezpieczając się przed bezczynnością środkiem hygieny duchowej, rzucił się ponownie na katedrę, pokusił się o jej odczytanie. Tekst kamienny, o którego zrozumienie chodziło, był nietyle do odcyfrowania trudnym, ile kłopotliwym wskutek motywów wtrąconych, wskutek powtarzań, wskutek zdań zaginionych lub uszkodzonych; — aby wszystko powiedzieć — także wskutek pewnego bezładu, zrozumiałego zresztą, gdy sobie uprzytomnimy, że dzieło to było dokonywane, zmieniane i rozszerzane przez różnych artystów, w okresie czasu więcej niż dwóchsetletnim. Obraźnicy XIII-go wieku niezawsze liczyli się byli z ideami już wyrażonemi przez poprzedników i imali się ich nanowo, wypowiadali je w swym osobistym języku, zdwajali

np. znaki pór roku i zodyaku. — Snycerze XII-go wieku wyrzeźbili na fasadzie królewskiej kalendarz kamienny; rzeźbiarze wieku XIII-go wyryli również drugi, w prawej ościeży portyku Północnego, — usprawiedliwiając powtórzenie jednej i tej samej sceny w jednym i tym samym kościele tym zapewne faktem, że zodyak i pory roku, z punktu widzenia symbolicznego, mogą mieć wielorakie znaczenie. Wedle Tertuliana, dostrzegano, w tym kręgu mrących i odradzających się lat, obraz Zmartwychwstania w dniu końca świata. Podług innych wersyj, Słońce w otoczeniu swych dwunastu znaków byłoby symbolem Słońca Sprawiedliwości i jego dwunastu Apostołów. — Ze swej strony, ksiądz Bulteau dostrzega w tych almanachach granitowych tłómaczenie słów św. Pawła, oświadczającego Hebreom, że: „ten Jezus, który był wczoraj, jest i dziś, i będzie po wieki wieków;“ — podczas gdy ksiądz Clerval daje to prostsze wyjaśnienie: „że wszelki czas jest Chrystusa i powinien Go chwalić.“

Ale to tylko szczegół, — myślał Durtal; — taką podwójność zużytkowań łatwo sprawdzić w całości samej katedry.

Naogół, dzieło architektoniczne w Chartres dzieli się zewnętrznie na trzy wielkie części, zawyrokowane przez trzy wielkie portyki: — portyk Zachodni, zwany drzwiami Królewskiemi, stanowiący wejście uroczyste przybytku, między obu wieżami; — portyk Północny, przylegający do biskupstwa, poza nową dzwonnicą; i portyk Południowy, po boku starej wieżycy. Otóż, motywy portyku Królewskiego i portyku Południowego są jednorodne: jeden i drugi święcą tryumf Słowa, z tą różnicą, że w Południowym Chrystus Pan jest uwielbiony nietylko sam przez się, jak w Zachodnim, lecz jeszcze w osobie swych wybranych i świętych. Jeżeli do tych dwu motywów, dających się połączyć w jeden, mianowicie: Zbawiciela ubó-

stwionego we własnej osobie i w osobie swych świętych, — dodamy panegiryk Dziewicy, głoszony przez portyk Północny, to dojdziemy do: poematu opiewającego chwałę Matki i Syna, sławiącego racyę bytu samego Kościoła.

Zgłębiając zbliska waryanty portyku Zachodniego i Południowego, spostrzegamy, że choć tak w jednym jak w drugim Jezus tym samym ruchem błogosławi ziemię, że choć jeden i drugi ograniczają się prawie wyłącznie do odtwarzania Ewangelii, zostawiając tłómaczenie Starego Testamentu ościeżom Północnym, — niemniej jednak oba różnią się między sobą i wyodrębniają się jasno pośród portyków innych kościołów.

W przeciwieństwie do rytuałów mistycznych, zachowywanych prawie wszędzie, — w Notre-Dame paryskiej, w Bourges, w Amiens — że przytoczymy tylko trzy przykłady, — sąd ostateczny, zdobiący wejście główne tych bazylik, został tutaj, w Chartres, usunięty na tympanon drzwi Południowych.

To samo z drzewem Jessego. — W Amiens, w Reims, w katedrze Rouen'skiej, wznosi się ono w portyku Królewskim; tutaj rozrasta się na Północy; — i ileż innych jeszcze przestawień dałoby się zakarbować! — Lecz co niemniej jest dziwnem, — to fakt, że w Chartres nie zachowano skrupulatnie równoległości scen, tak często spotykanej na stronach wewnętrznej i zewnętrznej tejże ściany, — scen rzeźbionych z jednej — a malowanych na szkle z drugiej strony. Tak np., drzewo genealogiczne Chrystusa posadzono we wnętrznem oszkleniu portyku Królewskiego, podczas gdy jego rozgałęzienie wyciąga się rzeźbą na ścianach zewnętrznych Północnego. — Jednakże, choć niekiedy motywy prawej i lewej strony tejże karty nie odpowiadają sobie ściśle, — mimo to często zastępują się i uzupełniają. — Np. Sąd Ostateczny nie rozwija się od zewnątrz fasady królewskiej, lecz za to rozpromienia się wewnętrznie, w wielkiej różycy, wy-

ciętej w tymże murze. — Niema tu zatem kumulacyi, lecz jest uzupełnienie; — rzecz zaczęta w jednej gwarze i zakończona w drugiej.

Wreszcie, co się wybija po nad te wszystkie niezgodności lub zespoły, — to myśl władcza poematu, rozłożona gdyby refren po każdej z tych strof kamiennych, — myśl, że katedra należy do Matki Naszej, że kościół pozostaje wierny swemu wezwaniu, oddany swej patronce. Dziewica jest tu wszędzie Panią. Zajmuje całe wnętrze i nawet nazewnątrz, — w owych dwu portykach, Zachodnim i Południowym, których jej nie oddano, — zjawia się to w jakimś kącie nade drzwiami, to w głowicach, to nad przyczółkiem w powietrzu. — Obraźnicy wszystkich czasów powtarzali pozdrowienie anielskie sztuki, pobożny ten szereg nigdy nie został przerwany. — Bazylika w Chartres jest prawdziwem lennem Pani Naszej.

Koniec końców, rzekł sobie Durtal, mimo odstępstwa niektórych tekstów, katedra jest czytelna.

Zawiera ona tłómaczenie Starego i Nowego Testamentu, — co więcej, szczepi na Piśmie Świętem tradycye apokryfów, tyczących się Dziewicy i św. Józefa, — żywoty świętych, zebrane w Legendzie Złotej Jakóba de Voragine i monografie Niebian dyecezyi Chartres'eńskiej. — Jest ona olbrzymim słownikiem średniowiecznej wiedzy o Bogu, o Dziewicy i Wybranych. To też Didron ma prawie słuszność, twierdząc, że jest ona przerysem owych wielkich encyklopedyj, które stworzył wiek XIII-ty; tylko teza, wsparta na słusznem spostrzeżeniu, w rozwinię-

ciu wykrzywia się i staje niedokładną. Didron w końcu przychodzi do wyobrażenia, że bazylika ta jest po prostu przekładem „Speculum Universale,“ „Zwierciadła Świata,“ Wincentego de Beauvais, — że jest przedewszystkiem, podobnie jak zbiór powyższy, skrótem życia praktycznego i komentarzem rasy ludzkiej po przez wieki.

Faktem jest — myślał Durtal, który poszedł do swej biblioteki po „Ikonografię chrześciańską“ tego autora, — że dając mu się prowadzić, należałoby te karty kamienne przewracać w sposób następujący: otworzyć je na rozdziale Północnym, by je zamknąć na akapitach Południowych. — Wówczas, według niego, znajdziemy opowiadanie: naprzód Genezy, kosmogonii biblijnej, stworzenia mężczyzny i kobiety, Edenu, — następnie, po wygnaniu pierwszej pary, opowieść jej okupu i utrapień.

Tym sposobem — zapewnia autor — : „snycerz skorzystał ze sposobności, by nauczyć mieszkańców Beauce'y sposobów pracy ręcznej i umysłowej. — Zatem, na prawo od upadku Adama, rzeźbi on ku wiecznemu zbudowaniu wszystkich oczu kalendarz kamienny ze wszystkiemi robotami polnemi, — potem katechizm rękodzielniczy robot miejskich, wreszcie, dla zajęć intelektualnych: podręcznik sztuk wyzwolonych.“

I tak pouczony, żyje człowiek z pokolenia w pokolenie aż do końca świata, — oznaczonego przez obraz znajdujący się na Południu.

Ten zbiór rzeźbowy zawierałby zatem memoryał historyi natury i wiedzy, glosaryusz moralności i sztuki, biografię istoty człowieczej, panoramę całego świata. Byłby zatem naprawdę obrazem „Zwierciadła Świata,“ wydaniem kamiennem dzieła Wincentego de Beauvais.

Bieda tylko, że, naprzód: „Speculum Universale“ tego Dominikanina jest młodsze o lat parę od budowy ka-

tedry; następnie: że Didron w swojej tezie nie troszczy się ani trochę o wartości rzeźb i ich odległości. Jakiemuś posążkowi, pogrążonemu w sznurze zwornika, przypisuje taką samą wagę jak wielkim posągom, które występują dobitnie, towarzysząc wypukło-obrazom Zbawiciela i Jego Matki. Możnaby nawet twierdzić, że te ostatnie właśnie omija; tak przemilcza cały portyk Zachodni, który żadną miarą nie dał się wcielić w jego systemat.

W gruncie, idee tego archeologa kuleją. Podporządkowuje on rzeczy zasadnicze przydatkom i dochodzi do pewnego racyonalizmu, wręcz niezgodnego z mistyką owych czasów. — Spotwarza Wieki Średnie, obniżając strefę boskości aż do poziomu ziemskiego, oddając człowiekowi, co się należy Bogu. — Modlitwa rzeźby, śpiewana przez całe wieki wiary, staje się we wstępie jego dzieła już tylko encyklopedyą jakichtambądź wiadomostek praktycznych i moralnych.

— Rozpatrzmyż to zbliska — ciągnął Durtal — który dla wypalenia papierosa zszedł na plac. — Ten portyk Królewski — żuł po drodze — jest wejściem fasady honorowej, którędy przedostawali się królowie. — Jest on także pierwszym rozdziałem księgi — i sam przez się streszcza gmach cały!

A jednak niezwykłe to jest — te wnioski poprzedzające przesłanki, to streszczenie umieszczone na początku dzieła, podczas gdy, wedle porządnej logiki, powinnoby się znajdować w absydzie, na końcu.

Ostatecznie, — myślał, — odłożywszy na bok te kwestye, fasada tak pojęta zajmuje w tej bazylice miejsce drugiej z Ksiąg Mądrości w Biblii. — Odpowiada ona Psałterzowi, który jest w pewnej mierze skrótem, sumą wszystkich ksiąg Starego Testamentu — i, co za tem idzie, — proroczem memento całej religii objawionej.

Podobnie część Zachodnia katedry, z różnicą, że ta jest streszczeniem już nie Starego, lecz Nowego Pisma, wyciągiem Ewangelii, zgęszczeniem ksiąg św. Jana i synoptyk wszelakich.

A budując ją, wiek XII-ty uczynił jeszcze więcej. Dołączył nowe szczegóły do tej chwały Chrystusa, przeprowadził go od urodzenia, poprzez Biblię aż do śmierci i po za nią — aż do apoteozy, pojętej według Apokalipsy; uzupełnił Pismo apokryfami, opowiadając nam historyę św. Joachima i św. Anny, zwierzając nam niejeden epizod małżeństwa Maryi i Józefa, wydobyty z ewangelii Narodzenia Najświętszej Panny i z protoewangelii Jakóba Mlodszego.

Zresztą, z tych legendaryuszów czerpały wszystkie ówczesne świątynie, i żaden kościół nie będzie zrozumiały bez wzięcia ich pod rachubę.

Ta mieszanina prawdziwych Ewangelii i baśni nie jest ostatecznie niczem dziwnem. Kościół, odmawiając pewności kanonicznej i pochodzenia boskiego ewangeliom Dzieciństwa, Narodzenia, św. Tomasza Żyda, Nikodema, protoewangelii Jakóba młodszego, historyi Józefa, — nie myślał jednak odrzucać ich ryczałtowo, zaliczać do śmieci, kłamstw i złudzeń.—Mimo ich niektóre, conajmniej śmieszne, anegdoty, mogą się jednak w tych tekstach znajdować wskazówki dokładne, opowieści autentyczne, których Ewangeliści, tak powściągliwi w udzielaniu wiadomości, nie uznali za właściwe do nadmienienia.

Średnie Wieki zatem nie popadały bynajmniej w herezyę, przyznając tym księgom czysto ludzkim wagę fikcyj prawdopodobnych i wdzięk nabożnej pamięci.

— Ogółem — ciągnął Durtal, doszedlszy do wrót pomiędzy wieżami, przed portyk Królewski Zachodni, — ogółem, ten olbrzymi palimpsest, ze wszystkiemi jego

719 figurami, rozwikłać łatwo, jeżeli się przyjmie klucz użyty przez księdza Bulteau w jego monografii katedry.

Idąc od nowej dzwonnicy wzdłuż fasady aż do dzwonnicy starej, przebiega się historyę Zbawiciela, opowiedzianą przez dwieście blisko figur, rozproszonych po głowicach. Sięga ona przodków Chrystusa, zapowiada biografię Anny i Joachima, w mikroskopijnych obrazkach tłómaczy apokryfy. — Przez uszanowanie może dla Ksiąg natchnionych, czołga się wzdłuż murów, zdrabnia się, by nie występować zbyt widocznie, — wzmiankuje jakby pokryjomu, w ciekawej mimice, o rozpaczy biednego Joachima, gdy pisarz świątyni, zwany Ruben, wyrzuca mu bezdzietność i w imieniu Boga, który mu nie pobłogosławił, odrzuca jego ofiarę. I Joachim rozbolały opuszcza żonę i usuwa się płacząc nad dotykającą go klątwą, gdy wtem anioł mu się zjawia, pociesza go, każe mu połączyć się z żoną, która za jego sprawą urodzi córkę.

Potem kolej na Annę, jęczącą samotnie nad swą bezpłodnością i wdowieństwem. I ją także nawiedza anioł, i radzi jej iść naprzeciw męża, którego spotyka u Drzwi Złotych. Rzucają się sobie na szyję, wracają razem do domu i Anna powija Maryę, którą poświęcają Panu.

Mijają lata; nadeszła pora zrękowin Dziewicy. Arcykapłan powołuje wszystkich dorosłych a bezżennych domu Dawidowego do przybycia przed ołtarz z różdżką w ręku. — I aby się dowiedzieć, z którym z tych powołanych ma być zaręczona Marya, arcykapłan Abiathar zasięga rady

Najwyższego, który powtarza przepowiednie Izajasza, potwierdzając, że z gałęzi Jessego wystrzeli kwiecie, na którem spocznie Duch.

I oto różdżka jednego z nich, Józefa cieśli, natychmiast rozkwita, a gołębica, zstąpiwszy z nieba, gnieździ się na niej.

Maryę zatem oddają Józefowi i odbywa się ślub. Mesyasz się rodzi, Herod morduje Niewiniątka, i tu urywa się ewangelia Narodzenia, ustępując głosu Pismom Świętym, które ciągną rzecz o Jezusie i prowadzą Go aż do Jego ostatniego objawienia, po śmierci.

Sceny te służą za szlak u spodu wielkiej stronnicy, ciągnącej się między obu wieżycami, po nad trojgiem drzwi.

Tam znajdują się obrazy mające tłum czarować najjaśniejszemi, najdotykalniejszemi zjawami; tam promienieje główny temat portyku, ten, który ucieleśnia Ewangelię, który streszcza cel samego Kościoła.

Na lewo — Wniebowstąpienie Zbawiciela, wznoszącego się tryumfalnie w obłoki, wyobrażone przez pasmo falujące, które na sposób bizantyński podtrzymują dwaj aniołowie, podczas gdy na dole apostołowie zadzierają głowy, chłonąc to Wstępowanie, które im wyciągniętemi ku niebu palcami wskazują inne, zstępujące, unoszące się ponad nimi anioły.

A wygięta rama dwułucza zawiera zodyak i almanach kamienny.

Na prawo — tryumf Najświętszej Panny, okadzanej przez dwu archaniołów, siedzącej z berłem w ręku na tronie, w towarzystwie Dziecięcia, błogosławiącego świat. — Dalej, na dole, streszczenie jej życia: Pozdrowienie, Nawiedzenie, Narodzenie, Przybycie Pasterzy, Przedstawienie Jezusa arcykapłanowi. — A zwornik skręcający się wężo-

wo i prostujący się nad Matką Boską w kształt mitry — zdobią dwa sznury: jeden, rojny od archaniołów z trybularzami, ze skrzydłami wygniatanemi w kratkę, łuszczonemi w dachówkę — drugi, wypełniony postaciami siedmiu umiejętności wyzwolonych, symbolizowanych każda przez dwa posążki, z których pierwszy przedstawia jej alegoryę, zaś drugi osobistość starożytną, która była jej twórcą lub niedościgłym mistrzem. — Jest to ten sam system ekspresyi co w kościele Laon'skim, zobrazowana parafraza teologii scholastycznej, przekład snycerski tekstu Alberta Wielkiego, który, wyliczając doskonałości Dziewicy, twierdzi, iż posiadała bezwzględną znajomość następujących siedmiu sztuk: gramatyki, retoryki, dyalektyki, arytmetyki, geometryi, astronomii i muzyki, — czyli całą umiejętność Wieków Średnich.

Nareszcie, w pośrodku, portyk centralny, zawierający temat, dokoła którego krążą annale tamtych ościeży — : Chwałę Zbawiciela, tak jak ją w Pathmos pojął Jan święty, księgę końcową Biblii, Apokalipsę rozwartą na czele bazyliki, ponad wejściem uroczystem do katedry.

Jezus siedzi, z nimbem krzyżowym dokoła głowy, w lnianej szacie, przybrany płaszczem, spadającym kaskadą gęstych fałdów, z bosemi stopami, wspartemi o niski stołek, — symbol ziemi wedle Izajasza. — Jedną ręką błogosławi świat, — w drugiej dzierży księgę zamkniętą na siedm pieczęci. Dokoła Niego, w otaczającym go owalu, Tetramorf, — cztery zwierzęta ewangieliczne, o skrzydłach łuskowanych: człowiek pierzasty, lew, orzeł i wół, symbole św. Mateusza, św. Marka, św. Jana i św. Łukasza.

Poniżej dwunastu apostołów podnosi w górę zwitki i księgi.

A dla uzupełnienia sceny Apokalipsy — w sznurach zworników dwunastu aniołów i dwudziestu czterech starców, których nam opisuje św. Jan, odzianych biało i uwień-

czonych złotem, gra na narzędziach muzycznych, — śpiewa w uwielbieniu wiekuistem — [które kilka dusz, wyosobnionych w obojętności naszych czasów, podjęło na nowo] — chwałę Najwyższego, i chyli się kornie, gdy, na gorące i uroczyste modły ziemi, zwierzęta ewangeliczne, głusząc swym głosem łoskot piorunów, odpowiadają słowem jedynem, koncentrującem w swych czterech literach, streszczającem w swych dwu sylabach, obowiązki człowieka względem Boga, — pokornem i miłującem, posłusznem Amen.

Tekst został przez obraźników ściśle odtworzony, z wyjątkiem Tetramorfu, gdyż tu brak jednego szczegółu: zwierzęta nie są pocentkowane temi tysiącami oczu, o których mówi Prorok.

Streśćmy: obraz ten, podzielony jak tryptyk, zawiera: w skrzydle lewem — Wniebowstąpienie, obramowane kształtami zodyaku; — w środku — tryumf Jezusa wedle słów Ucznia; — na skrzydle prawem — tryumf Maryi z towarzyszeniem niektórych jej atrybutów.

A całość stanowi program urzeczywistniony przez architekta: Chwałę Słowa. — I rzeczywiście „są w niej“ — mówi w swem treściwem dziełku o Chartres ks. Clerval, — „sceny Jego życia, które przygotowały Jego chwałę; — jest właściwe wstąpienie do chwały, i jest wieczne uwielbienie przez aniołów, świętych i najświętszą Pannę.“

Z punktu widzenia faktury, dzieło to w swym głównym motywie jest jasne i wspaniałe, w mniejszych zaś ciemne i rozbite. Płycina Maryi jest uszkodzona i, równie jak ścianka Wniebowstąpienia, osobliwie zatarta i prostacka, — o wiele niższa od obrazu środkowego, który więzi najbardziej żyjącego, najsilniej przykuwającego z Chrystusów.

Istotnie, nigdzie, w całem średniowiecznem rzeźbiarstwie, Odkupiciel nie objawia się melancholijniej i miłosier-

niej, w postaci pełniejszej powagi. Oglądany z profilu, z włosami spływającemi na plecy, przedzielonemi płasko nad czołem, — z nosem cokolwiek zadartym, z ustami wydatnemi, okrytemi gęstym wąsem, z brodą krótką i skręconą, z długą szyją, — sprawia on, mimo sztywność układu, wrażenie Chrystusa nie bizantyńskiego, takiego, jak go malowali i rzeźbili artyści owych czasów, — lecz Chrystusa Prymitywów, powstałego we Flandryi, rodem z Holandyi, którą trąci, — i której to smak, w typie mniej czystym, znachodzi się później, ku końcowi wieku XV-go, w obrazie Cornelis'a Van Oostzaanen z muzeum Kassel'skiego.

I stoi, prawie smutny, w swym tryumfie, niezdumiony, błogosławiący ze wzruszoną rezygnacyą ten pochód grzeszników, który od 700 lat ogląda go ciekawie, bez miłości, idąc placem; i wszyscy odwracają się doń plecami, nie troszcząc się zbytnio o Zbawcę, tak mało podobnego do znanych im wizerunków, — nie uznając Go inaczej niż z baranią głową i mdłemi rysami, — na podobieństwo — bądźmy szczerzy — owego pięknisia z katedry w Amiens, przed którym omdlewają ludzie rozkochani w łatwem pięknie.

Po nad tym Chrystusem otwierają się trzy okna ślepe od zewnątrz — i — po nad niemi — wielka martwa róża, podobna do zgasłego oka, zapalająca się, podobnie jak szyby okien, tylko od wewnątrz, płonąca tam jasnemi ogniami i blademi szafirami w oprawach kamiennych; wreszcie, nad różycą ciągnie się galerya królów Francyi, ponad któremi szczyt gmachu wznosi swój trójkąt między obu wieżami.

A obie dzwonnice ciskają w niebo swe strzały; — stara wycięta w miękkim wapniaku, łuszczkowana, wytryska jednym rzutem, wydłuża się w gasidło i ostrzem swem rzuca w chmury dym modlitw; — nowa, przezro-

cza jak koronka, rznięta jak klejnot, w girlandach z liści i latorośli winnych, wstępuje ku górze z powolną zalotnością, starając się sprostać modlitwą pogodną, miłemi uśmiechami duchowemu wzlotowi i pokornemu starszej błaganiu — i rozbroić Ojca radosnym szczebiotem dziecięcym.

Ale, wracając do portyku Królewskiego — ciągnął w myśli Durtal — mimo całą ważność jego wielkiej karty, głoszącej wieczny tryumf Słowa, zajęcie artystów zwraca się nieodparcie do parteru budowy, gdzie w przestrzeni objętej podstawami obu wieżyc, wzdłuż muru i w wyciosaniu trojga drzwi, wystrzela dziewiętnaście kolosalnych posągów z kamienia.

Najpiękniejsze rzeźby świata znajdują się z pewnością tutaj. — Składają się na nie: siedmiu królów, siedmiu proroków lub świętych, i pięć królowych. Posągi te wznosiły się dawniej w liczbie dwudziestu czterech, z nich pięć zniknęło bez śladu.

Wszystkie mają aureole, z wyjątkiem trzech pierwszych, stojących w pobliżu dzwonnicy nowej, i wszystkie są osłonione przewiewnemi baldachimami, wykreślającemi się w chatki i kapliczki, w dworki i mostki, — w całe miasto miniaturowe, Syon dziecięcy, lilipucią Jeruzalem niebieską.

Wszystkie stoją wyprostowane, na kolumnach giloszowanych, na cokołach rżniętych w migdał, w ostrze brylantu, w łuskę ananasową, wydłutowanych w arabeski, w skówki ząbkowane, w skałkę piorunową, żłobionych

w szachownicę, której kwadraty przyległe byłyby naprzemian to puste, to pełne, — wykładane rodzajem mozaiki i forniru, — wywołujące, wraz ze szlakami szyb w kościele, wspomnienia złotnictwa maurytańskiego, zdradzające pochodzenie kształtów, przywiezionych ze Wschodu w czasie wojen Krzyżowych.

Pierwsze jednak trzy posągi lewej ościeży, sąsiadujące z dzwonnicą nową nie wznoszą się na ornamentach zrabowanych niewiernym: — tłoczą one nogami niewytłómaczone twory jakieś.

Jeden z nich, król, któremu głowę przetrąconą zastąpiono głową królowej, depce człowieka, oplecionego przez węże; — inny znów monarcha przygniata kobietę, która jedną dłonią chwyta ogon płazu, a drugą głaszcze sploty swoich włosów; — trzecia wreszcie, królowa, uwieńczona prostą obręczą złotą, z wydatnym brzuchem osoby brzemiennej, z przyjemną lecz pospolitą twarzą klucznicy, — ma za piedestał dwa smoki, koczkodona, ropuchę, psa i bazyliszka z mordą małpią.

Co mają oznaczać te rebusy? Nikt nie odgadnie, tak, jak zresztą nikt nie zna imion pozostałych szesnastu posągów, wyciągniętych pod sznur wzdłuż portyku.

Jedni upatrują w nich przodków Mesyasza, lecz domysłu tego nie wspiera dowód żaden; drudzy rozróżniają w nich bohaterów Starego Testamentu, zmieszanych z dobrodziejami Kościoła, lecz przypuszczenie to jest również złudne.

Faktem jest, że choć wszyscy ci ludzie trzymają w ręku berła i zwitki, banderole i eukologi, to jednak żaden z nich nie ujawnia któregobądź z atrybutów indywidualnych, służących do wyróżniania ich w świętej nomenklaturze Wieków Średnich.

Co najwyżej ochrzcićby można mianem Daniela

figurę bez głowy, gdyż pod nią wije się niewyraźny smok, symbol dyabła, którego prorok ten zwyciężył w Babilonie.

Zachwycające przed innemi są posągi królowych.

Pierwsza, owa królewska jejmość, z brzuchem wypukłym, jest sobie zwyczajna. Skrajna przeciwległa, u drugiego końca fasady, przy starej dzwonnicy, ma twarz przetrąconą w połowie, a pozostała cząstka nie pociąga niczem. — Lecz pozostałe trzy, stojące przy głównej ościeży, pod wejściowem sklepieniem, są niesłychane!

Pierwsza, długa, wyciągnięta, cała idąca w wysokość, ma czoło obwiedzione koroną, welon, włosy lekko karbowane po bokach przedziału i spadające warkoczami na ramiona, nos nieco zadarty, odrobinę gminny, usta przezorne i stanowcze, brodę mocną.

Oblicze to już niemłode. Ciało pod wielkim płaszczem z szerokiemi rękawami sztywne, zamknięte w futerale sukni litej, z pod której nie występuje żadna oznaka kobiecości.

Prosta jest, bezpłciowa, płaska; kibić jej wymyka się z opasania franciszkańskim sznurem z węzłami.

Spogląda, nie widząc, schyliwszy nieco głowę, baczna niewiedzieć na co. — Czy doszła do doskonałego wyrzeczenia się wszech rzeczy? Żyjeż istnieniem Jednościowem, po za światami, po za czasem? — Można to przypuścić, zważywszy, że mimo oznaki monarsze i wystawną okazałość stroju, zachowuje układ skupiony i surowy

wyraz zakonnicy. Zalatuje od niej raczej klasztorem niż Dworem.

Zaczem przychodzi pytanie, kto ją szyldwachem postawił u tych wrót — i czemu, wierna znanemu jej tylko hasłu, dalekim swym wzrokiem, we dnie i w nocy, nieruchomo wypatruje kogoś, co od siedmiuset lat się nie zjawia?

Wydaje się ona symbolem Adwentu, w schylonej nieco postaci zasłuchanego w płynące od ziemi, utyskliwe błagania człowieka; śpiewają w niej wiekuiste jakieś „Roraty"; mogłaby to więc być królowa ze Starego Testamentu, umarła dawno przed narodzeniem Mesyasza, którego przyjście głosiła może?

Że trzyma książkę, więc ks. Bulteau poddaje myśl, czy nie jest to posąg św. Radegondy. — Ale księżniczek kanonizowanych i trzymających księgi jest wiele; — jednakże układ tej królowej, jej wycieńczone rysy, jej wzrok zgubiony w przestrzeni snów wewnętrznych, odpowiadają dość dokładnie żonie Klotaryusza, która się zamknęła w klasztorze.

Ale w takim razie na cóżby czekała? — Na powrót króla, którego się obawiała, gdyż chciał ją wyrwać z jej opactwa w Poitiers i znów na tronie posadzić? — W braku wszelkich wiadomości, każde domniemanie musi zostać płonnem.

Drugi posąg przedstawia również niewiastę monarszą z książką w ręku. Ta jest młodsza, nie ma płaszcza ani welonu; pierś jej wzdętą opina szczelnie stanik bardzo obcisły i obciągnięty, przylegający jak mokre płótno, falujący drobnemi fałdami, zmarszczkami, — stanik, podobny do karlowingiańskiego *roque*'a, z zapięciem na boku. — Włosy jej, rozdzielone nad czołem, zakrywają uszy, spadają w splotach uwstężonych i zakończonych w trzaskawkę.

Twarz to samowolna i szczwana — nieco wyniosła. Patrzy nazewnątrz, piękność jej jest bardziej ziemska i świadoma siebie. — Święta Klotylda?.. pyta na traf ks. Bulteau.

Wiadomem jest, że ta wybrana niezawsze była wzorem łagodności, i tem, co się nazywa osobą wygodną. — Przed upokorzeniem i karą zaznaczyła się w historyi mściwością bez odruchów miłosierdzia i żądzą odwetów. — Byłaby to więc Klotylda z przed pokuty, — królowa, nim została świętą?

Jestże to z pewnością ona? — Dano jej to imię z powodu, że inny, podobny posąg z tejże epoki, należący niegdyś do kościoła Najświętszej Panny w Corbeil, został ochrzczony tem mianem.

Lecz już dowiedziono, że posąg ów wyobrażał królowę Sabę. Staliżbyśmy przed tą monarchinią? — Czemuż jednak ma ona aureolę, skoro nie jest wpisana w Księgę Żywota?

Bardzo być może, iż ani żoną Klodoweusza, ani przyjaciółką Salomona nie jest ta dziwna księżna, — bardziej od swych siostr cielesna, a zarazem bardziej widmowa, — gdyż czas sponiewierał jej oblicze, zczernił naskórek, splugawił usta, podziobał jej policzek jakby gradem, stoczył nos, dziurawiąc go w asa treflowego, i obrazem śmierci okrył jej tak żyjące lica.

Co do trzeciej, ta wyciąga się wątłem wrzecionem, wiotka smukłością gromnicy, o rękojeści wyrobionej w deseń, wyciśniętej, rytej w samym wosku. — Wystrzela w górę, przepysznie odziana suknią sztywną, żłobkowaną, zarysowaną we włókna jak łodygi selerów. — Stanik ma lamowany, z haftem. Brzuch otacza drogocenna zawiązka, węzłowata, luźna; głowa w koronie; ręce obie obłamane: jedna spoczywała na piersi, druga trzymała berło, z którego został szczątek.

I ta śmieje się, niewiniątko figlarne, urocze. Dwoj-

giem szeroko rozwartych oczu, o brwiach wysoko wzniesionych, przypatruje się zwiedzającym. Nigdy geniusz człowieka nie urobił w podobny sposób twarzy wyrazistszej. To arcydzieło wdzięku dziecięcego i świętej prostoty.

Wśród zadumanej architektury XII-go wieku, w tym tłumie rzeźb poważnie skupionych, symbolizujących niejako naiwną miłość owej epoki, dręczonej trwogą wiecznego piekła, — zdaje się ona stać u drzwi Pana jak litościwy Anioł Przebaczeń. — Dla pełnych lęku dusz nałogowych, które nie odważają się już, po tylu stałych upadkach, przestąpić progu kościoła, ma ona dziwną uprzejmość, odgania ich żale, zwycięża chęć cofnięcia się, poufnością swego śmiechu ucisza kurcze strachu.

Jest ona starszą siostrą Marnotrawnego Syna, tą, o której nie wspomina św. Łukasz, lecz która, jeżeli istniała, musiała bronić nieobecnego i nalegać, by ojciec zarżnął tłustego cielca na jego powrót.

Chartres nie widzi jej w tem świetle pobłażliwem; wedle podania lokalnego, ma to być Berta Wielkostopa; lecz twierdzenie to nie opiera się na żadnym argumencie, — a przeczy mu wręcz otocz nimbu nad posągiem: — znak ten świętości nie mógłby połyskać głową matki Karola Wielkiego, której imienia nie znają hagiologowie Kościoła Tryumfującego.

Byłaby zatem, zgodnie z tezą archeologów, upatrujących, w panegiryi rzeźbionej portyku, przodków Chrystusa, — księżniczką Starego Testamentu; — ale którą? — Łzy — jak trafnie zauważył Hello, — częste są w Piśmie, ale śmiech tak rzadki, — że śmiech Sary, niemogącej pohamować wesołości, na zwiastowanie Anioła, że mimo swą wielką starość pocznie syna, został sławny. — Daremniebyśmy w księgach Dawnego Przymierza szukali osoby, do której zastosowaćby się dała niewinna radość tej królowej.

Faktem jest, że na zawsze tajemniczą pozostanie ta istota anielska, powiewna, odczuwająca zapewne przeczyste rozkosze duszy spływającej w Boga, a przytem tak dostępna, uczynna, że zostawia nam złudzenie zbawczego gestu, miraż błogosławieństwa widzialnego dla pożądających. W istocie, — przedramię prawe jest złamane w kostce i ręki już niema; lecz ta ręka, gdy jej się szuka, zdaje się jeszcze istnieć w stanie odbłysku, cienia; — tworzą ją bardzo wyraźnie: lekkie wzdęcie piersi, naśladujące dłoń, — oraz fałdy stanika, rysujące dokładnie cztery smukłe palce i duży palec, wzniesione dla wykreślenia nad nami znaku Krzyża.

Co za przedziwną zwiastunką Serdecznej Matki jest ta królewska Strażniczka progu, ta Monarchini, zachęcająca zbłąkanych do powrotu na łono Kościoła, do wejścia w drzwi, których strzeże, — i będąca sama jednym z symbolów Syna! — zawołał Durtal, obejmując jednym rzutem oka te niewiasty tak różne: pierwszą, raczej zakonnicę niż królowę, chylącą nieco głowę; drugą, wyłącznie królowę z czołem podniesionem, i trzecią, święcie figlarną, ani wyprostowaną, ani pochyloną, lecz w postawie naturalnej, miarkującą wyniosłość królowej pokornym i radosnym układem świętej.

Dałoby się tu może rozróżnić, — myślał, — w pierwszej obraz życia kontemplacyjnego, w drugiej ideę życia czynnego; a ta ostatnia wcielałaby obadwa — tak jak Ruth w Piśmie?

Posągi Proroków, z żydowskiemi na głowach krymkami w pasy, i posągi Królów, dzierżących mszały i berła, są także niezrozumiałe; jeden z nich, w arkadzie środkowej, w kącie drzwi na prawo, oddzielony przez jakiegoś innego monarchę od rzekomej Berty, interesował żywiej Durtala, gdyż był podobny do Verlaine'a. Ta sama głowa, włochatsza coprawda, lecz równie dziwna, ta sama czaszka wyboista, ta sama nieco spłaszczona maska, te

same włosy rozczochrane, ten sam wyraz pospolity i dobroduszny.

Podanie ochrzciło ten wizerunek mianem św. Judy; i wielce suggestywnem jest podobieństwo rysów między tym apostołem najbardziej przez chrześcian zaniedbanym, do którego się tak mało modlono w ciągu wieków, że pewnego dnia wpadnięto na pomysł wzywania go w wypadkach beznadziejnych, w sprawach straconych, z powodu, jakoby mniej od innych u Boga wyczerpał kredytu, — a poetą, tak zupełnie nieznanym czy tak głupio wyklętym przez tych samych katolików, którym przynosił jedyny od czasów średniowiecznych wykwit poezyi mistycznej.

Nie mieli szczęścia, — ani pierwszy w Świętości, ani drugi w Poezyi, — zakończył Durtal i cofnął się dla łatwiejszego objęcia fasady w całości.

Stała niesłychana, w swych dłutowaniach podobnych do flory szronu na szybach, w swych obrusach kościelnych, w rokietach misternie oczkowanych, w gipiurach pajęczych biegnących aż do pierwszego piętra i obramiających przezroczo wielkie motywy portyków. Poczem wzbijała się w górę, pustelnicza, powściągliwa w ozdobach, cyklopiczna, z kolosalnem okiem swej martwej róży, między dwoma wieżycami, — jedną wyoknioną, czarno inkrustowaną jak portyk, — drugą, nagą jak piętro występujące nad portykiem.

Ale co przeważało, co pochłaniało Durtala, — były to mimo wszystko posągi królowych.

W końcu przestawał już troszczyć się o resztę i na-

pawał się wyłącznie boską wymową ich chudości, rozważał je jako długie łodygi, wpuszczone w rznięte cylindry kamienne i rozkwitające pąkami twarzy, rozsiewające zapachy dziewicze, aromaty naiwne. — A Chrystus błogosławiący świat, wzruszony i smętny, wychylał się ze swego tronu, nad niemi, by wciągać w siebie tkliwą wonność, wybiegającą z tych smukłych dusz-kielichów.

I Durtal rozmyślał, jakiby nieprzeparty nekromanta zdołał wywołać ducha tych królewskich Furtyanek, zmusić je do mówienia, dać nam być świadkiem rozmowy, którą prowadzą może, gdy, cofając się pod sklepienie, zamykają się u siebie, wieczorem, za firanką mroku?

Co też mówią między sobą, one, które widziały św. Bernarda, św. Ludwika, św. Ferdynanda, św. Fulberta, św. Iwona, Biankę Kastylską, tylu Wybranych, przeciągających przed ich wzrokiem w gwiaździste ciemności nawy? Czy rozmawiają o śmierci swych towarzyszek, owych pięciu rzeźb, które nazawsze zniknęły z ich areopagu? — Czy słuchają, poprzez skrzydła drzwi zamkniętych, jęków beznadziejnego wichru psalmów i ryku wielkich wód organu? — Czy słyszą bezduszne wykrzykniki turystów, naśmiewających się z ich sztywnej długości? — Czy czują, tak, jak wielu świętych, swąd grzechu, zaduch bagnisty dusz, które się o nie ocierają? W takim razie niepodobna byłoby na nie oczu podnieść. — Lecz Durtal mimo to patrzał, nie mogąc się od nich oderwać, więziony trwałym czarem ich zagadki; — ostatecznie, myślał dalej, pod pozorami rzeczywistości są to twory pozaziemskie. — Nie mają ciał, ich dusze mieszkają same w drogocennej pochwie sukien; są one w doskonałej zgodzie z bazyliką, która także wyzwala się ze swych głazów i w polocie ekstazy wzbija się nad ziemią.

Tutaj, w Chartres, znajdują się arcydzieła budownictwa i snycerstwa mistycznego. Najbardziej nadludzka,

najbardziej po wszystkie czasy wniebowzięta sztuka rozkwitła w tym płaskim kraju Beauce'y.

A teraz, rozważywszy całość fasady, zbliżał się znowu, by ją zbadać w jej najmniejszych przydatkach, w jej drobnych szczegółach, rozpatrywał zbliska strój Monarchiń — i stwierdzał, co następuje: żadna draperya nie miała podobnej; jedne spadały bez nagłych załamów, drobno fałdziście marszcząc się w rozedrganie fal wodnych; inne schodziły w liniach równoległych, w karbach ścisłych, nieco wypukłych, podobnych do lasek dzięglu; — a twardy materyał poddawał się wymaganiom artystow, stawał się giętkim w strojnych krepach, w bawełniankach i tkaninach z czystego lnu, — cięższym w brokateli i złotogłowiu; wszystko było wyodrębnione; naszyjniki cyzelowane ziarno po ziarnie, — węzły pasów dałyby się rozwiązać, tak swobodnie spleciono ich taśmy; naramienniki i korony były wiercone i kute, wysadzane drogiemi kamieniami, ujętemi w oprawę, jakby przez specyalistów, złotników.

A często cokoł, posąg i baldachim były wycięte z jednej sztuki, w tej samej bryle! — cóż to byli za ludzie, zdolni do rzeźbienia dzieł podobnych?

Zapewne żyli w klasztorach, bowiem kulturę sztuki uprawiano wtedy w zagrodach Boga. I jaśnieli podówczas w Ile de France, w Orleańszczyźnie, w Maine, w Anjou, w Berry, — gdyż znajdujemy w tych prowincyach rzeźby tego rodzaju; ale wyznać trzeba, że wszystkie one są niższe od Chartres'eńskich. W Bourges np., analogiczni Prorocy i podobne Królowe marzą w jednej z tych cudownych ościeży bocznych, kędy narzuca się wspomnienie koniczyny arabskiej. — W Angers posągi te są uszkodzone, prawie zniszczone, lecz mimo to łatwo skonstatować, że są zmniejszone, czysto ludzkie. Nie są to już Niebianki o ciele dziewiczo uwysmuklonem, — lecz zwyczajne Królowe; — w Mans, gdzie gdzie dochowały się w lepszym stanie, — daremnie usi-

łują wydostać się ze swych prostych futerałów; są mimo to skrócone, odnerwione, zubożone, prawie pospolite. Nigdzie nie jest to dusza rzeźbiona, jak w Chartres; i jeżeli z fasadą tutejszą porównamy fasadę katedry w Mans, pojętą tak jak Chartres'eńska, — z chwałą Chrystusa błogosławiącego, siedzącego wśród skrzydlatych zwierząt Tetramorfu, — to jakże wielkie sprawdzimy obniżenie w poziomie boskości! — Wszystko tam zwężone i dychawiczne. Jezus, źle obciosany, wygląda prawie srogo. Te portyki zdobili widać nie mistrzowie niezrównani z Chartres, lecz ich uczniowie bez geniuszu.

Byłaż to kompania owych obraźników, owych stowarzyszonych boskiego dzieła, wędrujących od kraju do kraju, z mularzami, kwatermistrzami Boga, i zorganizowanych przez mnichów? — Przychodziliż z opactwa Benedyktynów w Tiron, założonego przy targu, w Chartres, przez Opata św. Bernarda, którego imię zapisało się między dobrodziejami Kościoła w Nekrologii Najświętszej Panny? — Któż to wiedzieć może? Pracowali pokornie, bezimiennie.

I co za dusze mieli ci artyści! Wiadomo bowiem, że pracowali tylko w stanie łaski. — Przy wznoszeniu tej przepysznej bazyliki, czystość była wymagana nawet od robotników.

Niepodobna byłoby w to uwierzyć, gdyby nie świadczyły dokumenty autentyczne, dowody pewne.

Mamy pisma ówczesne, wciągnięte do roczników Benedyktyńskich: — list Opata z Saint-Pierre-sur-Dive, odnaleziony przez p. Leopolda Delisle, w rękopiśmie 929, w zbiorach francuskich Biblioteki Narodowej; — księgę łacińską cudów Najświętszej Panny, odkrytą w Bibliotece Watykańskiej i przetłómaczoną na francuski przez Jehan'a le Marchant, poetę z XIII-go wieku. — Opowiadają one jednogłośnie, w jaki to sposób, po zniszczeniu przez pożary, została odbudowana świątynia Dziewicy Czarnej.

To, co zdarzyło się wówczas dosięga szczytności. — Była to wyprawa Krzyżowa, jakiej świat nie widział. — Nie chodziło już o wyrwanie Grobu Świętego z rąk Niewiernych, o walczenie na polu bitwy przeciw wojskom, przeciw ludziom; — chodziło o zdobycie Zbawiciela w jego okopach, o przypuszczenie szturmu do Nieba, o pokonanie go miłością i umartwieniem; i Niebo uznało się zwyciężonem; Aniołowi poddali się z uśmiechem; Bóg kapitulował i, w radości porażki, na oścież roztworzył skarbiec swych łask do złupienia. — Był to także, pod wodzą Ducha Świętego, na warsztatach i rusztowaniach, bój z materyą, całego ludu, chcącego, bądź co bądź, uratować Dziewicę, bezdomną jak w dniu narodzin Jej Syna.

Żłobek Betleemski był już tylko wzgórkiem popiołu. — Marya zniewolona do błądzenia, tułała się pod biczem wichury, po lodowatych równinach Beauce'y. — Miałyż się, po dwunastuset latach, powtórzyć dzieje rodzin bez litości, gospód niegościnnych, izb wszędzie pełnych?

Kochano wtedy we Francyi Madonnę, jak się kocha swą rodzicielkę przyrodzoną, swą matkę prawdziwą. — Na wieść, że wygnana przez pożar, tuła się, szukając schroniska, naród cały, poruszony, staje we łzach; i nietylko w kraju Chartres'eńskim, lecz i w Orleańszczyźnie, Normandyi, Bretanii, w Ile de France, na Północy — lud przerywa roboty, rzuca domy i biegnie Jej na pomoc; bogaci znoszą pieniądze i klejnoty, ciągną razem z biednemi i eskortują wozy ze zbożem, oliwą, winem, drzewem, wapnem, — wszystkiem, co może służyć za pożywienie robotnikom lub za materyał do budowy kościoła.

Była to wędrówka nieprzerwana, samorodny exodus ludu. — Wszystkie drogi były zapchane pielgrzymami, mężczyznami i kobietami, ciągnącemi bez różnicy płci i wieku drzewa z korzeniami, zwożącemi stosy belek, pchającemi stękliwe bryczki chorych i kalek, którzy stanowili świętą falangę weteranów cierpienia, niezwyciężonych legionistów bólu, tych, którzy w blokadzie niebieskiej Jeruzalem mieli tworzyć aryergardę i odsieczą modlitw przychodzić w pomoc szturmującym.

Żadne przeszkody, ani rozpadliny i trzęsawiska, ani lasy bezdrożne i rzeki bez brodu, — nie zdołały zahamować impulsu ciągnących tłumów — i — pewnego dnia — ujrzano je w Chartres, wylewające się ze wszystkich stron horyzontu.

I zaczęło się oblężenie; podczas gdy chorzy nakreślali pierwsze równoległe modłów, — zdrowi rozpinali namioty; obozowisko wyciągnęło się na całe mile wokoło. Na wozach zapalono gromnice — i w Beauce co wieczór odtąd płonęło pole gwiazd.

Co się wydaje nieprawdopodobnem, a co jednak udowadniają wszystkie ówczesne dokumenty, — to fakt, że owe hordy starców i dzieci, kobiet i mężczyzn od pierwszej chwili ujęły się w karność; a przecie należeli oni do wszystkich klas społecznych, byli między niemi rycerze i wielkie panie; lecz umiłowanie Boga było tak silne, że usunęło odległości i zniosło granice; panowie zaprzęgli się z pachołkami do noszów i nabożnie spełniali trud zwierząt pociągowych; patrycyuszki pomagały chłopkom w zarabianiu wapna i kucharzyły z niemi, — wszyscy żyli w niebywałem porzuceniu przesądów, wszyscy zgodzili się na rolę robotników, maszyn, bark i rąk, i oddali się bez szemrania pod rozkazy architektów, którzy, opuściwszy klasztory, stanęli na czele dzieła.

Nie widziano nigdy organizacyi umiejętniejszej a prost-

szej. — Szafarze kłasztorni, stawszy się w pewnej mierze zawiadowcami tego wojska, czuwali nad rozdawnictwem żywności, hygieną obozu i zdrowotnością biwaków. Mężczyźni, kobiety byli już tylko uległemi narzędziami w ręku dowódzców, których wybrali sami i którzy ze swej strony stali pod komendą pułku mnichów, poddanych, z kolei, istocie nadzwyczajnej, nieznanemu geniuszowi, który, stworzywszy plan katedry, kierował wykonaniem całości.

Musiała naprawdę być zdumiewającą dusza tych tłumów, aby podobny wynik osiągnąć; — praca tak mozolna, tak skromna, jak rozczynianie wapna i furmaństwo, była przez każdego, szlachcica czy chłopa, uważana nietylko jako akt wyrzeczenia i pokuty, lecz i jako zaszczyt, — i nikt się nie poważył dotknąć materyałów Dziewicy, póki się uprzednio nie pogodził z wrogiem i nie oczyścił spowiedzią. — Wahających się w naprawieniu win i przystępowaniu do sakramentów odrywano od roboty, wypędzano jako twory plugawe, — a czynili to ich towarzysze, własne ich nawet rodziny.

Dzień w dzień równo ze świtem rozpoczyna się robota, wyznaczona przez nadzorców. Jedni kopią fundamenta, uprzątają rumowisko, rozrzucają gruz; — drudzy przenoszą się tłumnie do łomów w Berchère-l'Évêque, o ośm kilometrów od Chartres, i tam odkuwają olbrzymie bryły kamienia, tak ciężkie, że nieraz tysiąca robotników za mało do wydobycia ich z pokładu i wdźwignięcia na szczyt wzgórza, z którego się miał wzbić przyszły kościół.

A gdy zmordowani śmiertelnie, pognieceni, zatrzy-

mują się milczącem stadem,—wówczas odzywa się głos modlitw i wzbija śpiew psalmów; — niektórzy jęczą nad grzechami, błagają Najświętszą Pannę o litość, biją się w piersi, łkają w objęciach księży, którzy ich pocieszają.

W niedzielę rozwijają się procesye z chorągwiami na czele, i wrzawa hymnów bucha w szpalerach płomiennych, które zdaleka tworzą się z gromnic; słucha na klęczkach lud cały; relikwie z wielką pompą okazywane są chorym...

Przez ten czas, tarany modłów, katapulty błagań wstrząsają szańcami Boskiego Grodu; siły żywe wojska jednoczą się, uderzają w jeden punkt dla zdobycia placu szturmem.

I wtedy to, zwyciężony przez tyle pokory, przez tyle posłuszeństwa, zmiażdżony tym ogromem miłości, Jezus się poddaje, składa swą Władzę w ręce Matki — i zewsząd wybuchają cuda. — Klan chorych i kalek staje wkrótce na nogach; ślepi widzą, dotknięci puchliną wodną tęchną, paralitycy maszerują, chorzy na serce skaczą.

Opowiadania o tych cudach, powtarzających się codziennie i poprzedzających nawet niekiedy przybycie pielgrzymów do Chartres, — zachowały się w rękopiśmie Watykańskiem.

Tu — mieszkańcy Château-Landon'u ciągną wóz z pszenicą. Przybywszy do Chantereine spostrzegają, że wyczerpały im się zapasy żywności, i proszą o chleb nędzarzy znajdujących się w podobnym niedostatku. — Najświętsza Panna przychodzi im z pomocą i chleb nędzy się rozmnaża. — Tam znowu,

ludzie z Gâtinais ciągną wóz pełny kamieni. — Upadają ze zmęczenia i, by wytchnąć chwilę, zatrzymują się w Puiset; wieśniacy przychodzą do nich i ofiarują się ich zastąpić, ale ci odmawiają. — Wtedy chłopi z Puiset przynoszą miarę wina, przelewają je w beczkę i kładą ją na wóz. Tym razem pielgrzymi przyjmują datek i, nieco wypoczęci, puszczają się w dalszą drogę. Lecz oto mieszkańcy wsi przywołują ich z powrotem i pokazują, że wypróżniona miara napełniła się sama winem wybornem. — Wszyscy piją i chorzy są uzdrowieni.

Gdzieindziej, mieszkańcowi Corbeville-sur-Euse, ładującemu wóz drzewem budulcowem, ucięto siekierą trzy palce, i biedak wydaje straszne krzyki. — Towarzysze mu radzą odciąć całkiem palce, wiszące na samej skórze, lecz ksiądz prowadzący ich do Chartres sprzeciwia się tej operacyi. — Wzywają pomocy Maryi i rana znika, na ręce ani śladu przejścia.

Tam znowu, Bretończycy zbłądzili nocą wśród równin Beauce'y i spostrzegają znienacka ogniste światła naprowadzające ich na właściwę drogę: to Najświętsza Panna, we własnej Osobie, po nieszporach w sobotę wieczorem, zstępuje do swego prawie ukończonego kościoła i rozpromienia go olśniewającą jasnością.

I cudów tych stronnice i stronnice, bez końca. — O! teraz łatwo zrozumieć, — myślał Durtal, — czemu ten przybytek tak pełen Jej obecności; czuje się w nim jeszcze Jej wdzięczność za przywiązanie naszych ojców... Nie chce teraz okazywać zbytniej wzgardy, patrzy przez palce...

Ale, doprawdy, inaczej już dzisiaj budują świątynie! — Pomyśleć tylko o Sacré-Coeur paryskiem, o tym ciężkim i martwym budynku, wystawionym przez ludzi, którzy wypisali czerwono swe nazwiska na każdym kamieniu! — Jakże Bóg może się zadowolić kościołem, którego mury są ciosańcem próżności, zcementowanym przez pychę, — i na

którego ścianach nazwiska znanych przemysłowców wystawiono w miejscach najwidoczniejszych, jak reklamy! — Tak łatwo przecie było zbudować kościół mniej wystawny i mniej szpetny i Boga nie wprowadzać do pomnika grzechu. — O, dobroduszne tłumy, zwożące przed laty wśród modlitw te kamienie! — imby na myśl nie przyszło wyzyskiwać Miłość, sprzęgać ją z potrzebami pychy i z głodem zysku!

przeł. M. K. J. K. Huysmans.

Napróżno.

O sztuko, o straszna, tyś jeszcze
nie objawiła się cała.
Wielbiliśmy ciebie napróżno.

O sławo, przechodzisz — i inne
czoła całujesz po drodze.
I szliśmy za tobą napróżno.

Kochanko nieznana, — zamłodo,
zawcześnie zeszłaś do grobu.
Czekaliśmy ciebie napróżno.

I gdzieżeście, gdzie wy, o kwiaty
dziwne i wonie nieznane?
Szukamy, szukamy napróżno.

Nikt z ludzi cierpiących na świecie
pociechy od nas nie doznał.
Płakaliśmy z nimi napróżno.

I nikt z uciśnionych na ziemi
nie został przez nas pomszczony.
Myśmy się burzyli napróżno.

Cierpienia dość siły nie miały,
by Tajemnicę pokonać.
Cierpieliśmy, ale napróżno.

Zostanie tu po nas jałowy,
kręty ślad naszej wędrówki —
i zniknie. Żyjemy napróżno.

Przed nami, ukryta w ciemności,
Śmierć bez pochodni się czai — —
...Sławo! Umrzemy napróżno.

PRZEŁOŻYŁA
Anna Bronisławska.

Gabryel d'Annunzio.



Na wyżynach.

Spojrzawszy na sztukę z wysokości orlego lotu, zobaczylibyśmy potężny łańcuch gór, uwypuklony na niezmierzonym szarym stepie życiowym. Pośrodku łańcucha wystrzeliły w niebo szeregi nadchmurnych szczytów, a po bokach stopniowo obniża się on, przechodząc od nagich turni do łagodnie pozaginanych pagórków, gubiących się niepostrzeżenie w jednostajnej masie otaczającej równiny. Boki łańcucha mało różnią się od nizin: tak samo są na nich uprawne pola, niemal takie samo życie rozwija się, tylko powietrze jakieś inne — czystsze, bardziej przezrocze, i niekiedy wstrząsa niem potężny halny wiatr, powstający gdzieś w niebiosach nad głowami najwyższych turni. Im dalej posuwasz się w kierunku wielkich szczytów, tem powietrze coraz rzadsze, a grunt bardziej ska-

listy i poprzerzynany zawrotnemi przepaściami. — Iść coraz trudniej, coraz niebezpieczniej, a mimo to jakaś nieprzeparta siła ciągnie cię do tych wyżyn i do tych przepaści. — Idziesz, bo tak chce twoje przeznaczenie. — Ale biada ci, jeśliś zbyt słaby i zachwiejesz się pod zawrotnem tchnieniem otchłani, albo osunie ci się noga ze stromej granitowej skały. Stoczysz się po wszystkich graniach i wyrwach i nie legniesz aż na dole — w nizinach — w miękkiem i cuchnącem błocie.

Nielicznym tylko dano stąpać po nagich szczytach, a między nimi zaledwie najśmielsi wybrańcy mogą wedrzeć się na najwyższe pojedyńcze turnie. — Bo między turniami są przerażające wysokością i nadzwyczajną stromością ścian swoich. Szczyty ich często obłoki przykrywają, i nie widzisz, co w nich się mieści, wiesz jeno, że wirch to musi być potężny, skoro obłokiem się nakrył, boć obłoki są daleko od ziemi. — Prawda, i maleńkie pagórki okrywają się niekiedy mgłami, ale mgła to nie obłok niebieski — mgła jest tworem przyziemnym, ciężkim, wilgotnym — to tylko nieudolna parodya podsłonecznego obłoku.

Olbrzymia większość ludzi, przebywających stale na nizinach, nie rozumie, po co wdzierać się na te zawrotne wysokości, po co kaleczyć się i narażać na niebezpieczeństwa. — Czyż nie lepiej spokojnie siedzieć tu na dole? — Prawda, że bagniska niekiedy cuchną, że widzisz dokoła siebie jeno maleńki kawałek gruntu; ale też nie potrzebujesz przechodzić nad przepaściami i oddychać ich mrożącem krew w żyłach tchnieniem. Klimat też tu łagodniejszy — niema ani burz wściekłych w swoim rozmachu, ani mrozów jednym podmuchem zabijających słabe istoty, ani upałów mózg w czaszce wysuszających.

A zresztą — powiadają oni — wszak my lubimy w dni świąteczne, dla odpoczynku po codziennej pracy, robić małe spacery na okoliczne pagórki; widoki ztamtąd są bardzo przyjemne, a niekiedy nawet ogromnie zabawne. Spacer taki działa przytem nader korzystnie na trawienie, człowiek po powrocie nabiera więcej sił do skutecznej pracy nad przerabianiem rodzimego błota i energiczniej może topić w niem swoich współzawodników.

Tak! — my bynajmniej nie występujemy przeciwko rozsądnej turystyce, nie każcie nam jeno podziwiać i naśladować owych amatorów karkołomnych, podobłocznych wycieczek: to dobre dla próżniaków i darmozjadów. — My, ludzie uczciwej pracy na ojczystym śmietniku, nie mamy czasu na tego rodzaju rozrywki. — — Lubimy ładne albo zabawne widoki, ale czyż z owych okrzyczanych szczytów może być widać więcej, niż z tych tu pagórków, o bokach lekko pochyłych i porośniętych przyjemną, miękką trawką?

Gdy wyjdę na taki swojski pagórek, nietylko mam „malowniczy“ widok na otaczające pięknie uprawne pola, lecz także (a to niekiedy jeszcze więcej warte) mogę zajrzeć przez dach do domu sąsiada i (dyskretnie) zobaczyć jego żonę w uściskach lokaja, albo podpatrzyć, jak on — mój sąsiad — z lubością rozciąga się na ciepłym gnojowniku domowego ogniska, zapewniając później, że łoże jego jest nieskazitelnej białości marmuru. — I dużo, dużo takich niezmiernie ciekawych i pouczających rzeczy dowiedzieć się mogę.

Spacery na pagórki nietylko działają dobrze na trawienie, lecz uczą znajomości życia: — z góry widzimy takie rzeczy, jakich, przebywając stale w nizinach, nigdy nie moglibyśmy zobaczyć.

Jeno nie należy zapominać, że wszystkiego winniśmy używać w miarę. Jeśli zamiast spaceru zrobię forsowną

wycieczkę, będzie to niewątpliwie szkodliwe dla żołądka, a może nawet serca, że pominę już dotkliwą stratę czasu i energii, które daleko korzystniej mogą być użyte, — np. w fabrykach szuwaksu, tak skutecznie używanego do mazania na czarno tego wszystkiego, czego nie rozumiemy.

Owe zaś szerokie horyzonty są tylko złudzeniem. Cóż wy ztamtąd widzicie? Obłoki, a na dole jednostajną masę szarej ziemi, bo wszak nie powiecie mi, że z tak znacznej wysokości dokładnie widzieć można wszystkie brudy i śmiesznostki w domu mego sąsiada; nawet nic zabawnego nie widać. — Po co więc chodzić na szczyty?

To są słowa nędzarzy ducha i mrówek. — Przejdźcie nad niemi w milczeniu, wy silni! A niech was nie zraża nagość i skalistość szczytów; — ich nagość to nieskalane dziewictwo duszy ziemi, wyrzuconej na powierzchnię przez parcie jakichś przedwiecznie potężnych sił wnętrznych.

W łonie pramatki ziemi zerwał się huragan potęgi, szalony skurcz wstrząsnął całem jej jestestwem i pękła skorupa, dając drogę olbrzymim ognistym tworom wnętrza. — I oto wytryski odwiecznej duszy ziemi pojawiły się w postaci niebosiężnych szczytów.

Stoją nagie i nieurodzajne, bo wszystkie stworzenia powierzchniowe za nędzne i za słabe są na to, aby skruszyć skałę i czerpać pokarm z żywego ognia duszy.

Stoją samotne w swej potędze, bo nic z niemi równać się nie może.

Same dla siebie!

Jeno wichry w słońcu się rodzące nad niemi przelatują, jeno orły na nich odpoczywają.

Jeśliś silny i nie padniesz pod nieskończonem tchnieniem wieczności, idź — wdzieraj się na one wyżyny. Stąpaj śmiałą nogą nad zawrotnemi urwiskami, jeleniemi sko-

kami przerzucaj się przez przepaście, wspinaj się po stromych granitowych skałach, zostawiając na kamieniach żywe kawały własnego ciała.

A im wyżej będziesz, tem wyraźniej poczujesz, żeś nie dalej, jeno bliżej prajedynej duszy ziemi. — Gdyś był na dole, zdało ci się, że, idąc w górę, oddalisz się od niej. — Nieprawda. — Na nizinach przykrywa ją zbyt gruby pokład kurzu i błota; — tutaj dopiero odsłoni ci się w całym majestacie swojej nagości. — Im dalej jesteś od nizin, tym-eś bliżej ognistego wnętrza ziemi.

Idź więc, wytężaj wszystkie siły, bo ten odwieczny ogień to najprawdziwsza twoja ojczyzna. To matka, która zrodziła cię, a dzisiaj przyzywa dla czułej pieszczoty.

Otoś uwierzył tym wołaniom. A wiesz, po coś wezwany? — Ona pragnie twej krwi gorącej, pragnie, abyś zapłodnił ją w kazirodczym uścisku.

Porwie cię w ramiona, przyciśnie do płomiennego łona, wstrząśnie duszę piekielnie rozkosznym dreszczem płodzenia i, nasyciwszy się, strąci cię w bezdeń kamienną.

A nie będziesz miał mocy podnieść się, bo cała moc i siła twoja w niej pozostały.

Ty zginiesz! a z łona jej — odwiecznej duszy ziemi — wystrzeli jasny płomienny słup ognia — dziecię twe.— Na chwilę roztoczy krąg jasności nad szumiącym światem i na wieki zgaśnie w cieniach, które były przed początkiem.

Zadrżałeś, jak wątły liść osiczyny. Zamarło ci w piersiach serce od bezmiernego przerażenia.

Ale teraz już nie wrócisz się, teraz pójdziesz, i spełni się to wszystko, co napisano w księgach przeznaczeń chaosu.

Patrz, oto podniebny wichr halny wraca z nizin na rodzinne wirchy, uchwyć go za obłoczne włosy wlokące się po skałach, a polecisz na najwyższe szczyty, dokąd przenigdy stopą nie doszedłbyś. Bo powiedziano jest: na szczytach jeno orły siadać będą i ci, co podobni orłom z wichrami przylecą, — a nie może szczyt pokalany być stopą, która nigdy od pyłu ziemnego nie oderwała się.

Leć więc — leć! z wichrami, z orłami. A nic to, że przebytą drogę krwią serdeczną naznaczysz.

Jan Hempel.

Z utworów Emila Van Arenbergh'a.



DO OCEANU.

Posępny Oceanie! jeśli człowiek wtórzy
Czasem pieśnią ulotną twych skarg wiecznych burzy,
Czy myślisz, że łkań twoich nikt z nas nie ma w sobie
I że rozpacz jest tajnią, w twych fal skrytą grobie!
Orkany ludzkie wszędy z twemi walczyć mogą
Swych szałów, rozbić, żałob bezmyślnością srogą;
Głosy otchłani dziko i z serc naszych krzyczą,
Gorycz twa jest tą sumą łez naszych goryczą.
Jako nam, tak i tobie Bóg rzekł: „Cierp!“ — i musisz!
Żywcem zamknął cię w trumnę głębin, gdzie się dusisz,
I dla tego to toń twa, gdzie trup trupa żenie,
Wyrzucając je, sobie bierze ich rzężenie!

O bracie Oceanie, z naszej tyś jest gliny!
Co wyjesz wiekuiście przez ziemskie dziedziny
I co Bóg odpowiada twej wściekłej topieli,
To w przepastnych serc głębiach i myśmy słyszeli;
Bo i my mamy w sobie jedynie bezdenie,
Człowiek zna większe bunty, niż twe śród skał wrzenie,
I, jak ty, żyjąc przez to, co śmiercią jest rzeczy,
Cierpi boleść, na którą żaden lek nie leczy!
Jako lampa grobowa śród krypty głębokiej
Jednaką światłość miota na wszystkie wkrąg zwłoki,
Dusza i ty — jednakiej ból znosicie mocy:
Oboje się toczycie śród grozy i nocy,
Obojga fala trupy w swej goryczy tai,
Zawsze w pianach broni się wściekłej wichrów zgrai.
A gdy rozbita spada, mrąc już w brzegów cieśni,
To — aby trysnąć wyżej i jęknąć boleśniej!
Oceanie, — nieszczęsny, wzniosły Oceanie!
Szarpiesz się, a źdźbła liche cicho śpią na łanie,
Ból — twą slawą, twem pięknem, twem prawem, twym [królem!
Dusze cię zrozumiały, bo twoj ból — ich bólem:
Gdybyś nie był bez granic, nie znałbyś skarg, żali!..
Jeśli w niebo wciąż grzmocą szały twojej fali,
Jeśli oboje z duszą, wiecznie, bez powodu,
Jęczycie śród lazurów cichego obwodu,
Ach! to — że wciąż szukacie swych źródlisk odwiecznych,
Kędy opadną skrzydła ziemskich wichrów sprzecznych,
Kędy fale obojga, w toni tajemniczej
Morza bez raf, przepaści, zbędą się goryczy.

WEZUWIUSZ.

Wezuwiusz, jak w zwierciedle błękitnem, odbija
W morzu swój kask złocisty z długą dymów chmurą;
W czarnym tym pióropuszu lśni jak kraśne pióro
Tryskającej wciąż lawy płomienista żmija.

Poeta jest jak wulkan, samotny bohater:
Tam w dole tłum się bawi u fal śpiewnej toni,
W powietrzu pełnem światła, miękkich tchnień i woni,
I pyta, na co komu ten jałowy krater.

On — z rykiem w niebo wznosi czoło rozorane;
Wiecznie krwawiącą czuje na swym boku ranę,
Czuje, że mu do samej ona sięga głębi.

Lecz nagle, otworzywszy się w mroku, co pierzcha,
I rozdarłszy pierś, gdzie się żar i popiół kłębi,
Dumnie rozpala słońce, gdy wkoło się zmierzcha.

DE PROFUNDIS.

Na dnie otchłani, zkąd w mroku bez końca
Jęk wieczny bije przez czasów przestrzenie,
Ocean żywych wije się, roztrąca,
A wiatr unosi w próżnię jego wrzenie.

Od spadających weń w tył fal tysiąca
Ten przypływ ludzki wzrasta niezwalczenie;
Z opadłej fali nowa fala grzmiąca
Wstaje — i wyżej w mroczne tryska cienie!

A gdy na stoki przepaści ponure,
Pieniąc się, rzężąc, ludzkość drze się w górę,
Jak fala morska, co wzbiera zdaleka,—

Tam, nad urwiskiem, w świtów różaności,
Na krzyżu, zbudzon jękami ciemności,
Chrystus objęcia otwiera — i czeka!

WYRZUT SUMIENIA.

Kain pierzchał — a głosy biły z nieb sklepienia,
Przerażając mu serce, wciąż wrażliwsze w męce;
Czuł w wietrze, co mu zewsząd niósł zgonów rzężenia,
Niezbłagane, pchające ku wygnaniu ręce.

Pierzchał — a łkania, klątwy i szyderstwa gwarnie
Ścigały go we wrzeniu mórz, puszcz tajemniczem;
Pierzchał — słuchając trwożnie, jak chmur dzikie psiarnie
Warczały nad nim w górze pod piorunów biczem.

Pierzchał — i twarz skrył nagle w bojaźni straszliwszej,
Gdy słońce, przestrzeń całą mordem zczerwieniwszy,
Runęło krwawą głową w głąb' mroków potoku;

Zdało się, że strop niebios, zbryzgany śladami
Zbrodni, znowu Kaina krwią ofiary plami...
— I wyklęty znów pierzchał, krwawy cały w zmroku.

ŚREDNIOWIECZE.

W komnacie, przed ogniskiem, co błyska z komina
I drgającemi plamy sprzęt miedziany plami,
Kasztelanka, w marzeniach tonąc, zapomina
O swej harfie, kądzieli i skrzyni z książkami.

Marzy o swym baronie, co odszedł za morze
Bić niewiernych, — niechaj go patron święty broni!
Ona, biedna, czeka go — i w tej zmroku porze
Błądzi okiem po śnieżnej, księżycowej błoni.

Wtem trwożnie chart jej smukły zawył na uwięzi,
A ona w szumach wiatru, co w kominie pląsa,
Słyszy, jak się Nieczysty z modlitw jej natrząsa...

Potem rzężenie krótkie... I tam, na gałęzi,
Gdy ona tu do Boga łka o litość w zgrozie,
Chłop, powieszony wczoraj, tańczy na powrozie.

WSPOMNIENIE.

O wiosno! pierwsza schadzko! chwilo nad chwilami!
— Na starym moście z głazów, co już wpół się wali
Pod naciskiem traw, chwastów, — zwykle się schadzali,
I zwali to: „u siebie," czując się tam sami.

Wietrzyk, jak oni, dyszał słodkiemi woniami;
Oni, marząc, patrzyli na bieg rzecznej fali,
Migocącej pod słońcem blaskami opali,
I na dno, które światłość w złote punkty plami...

Rozmawiali pocichu, nie słysząc się wzajem:
Wszystko znaczyło: „kocham" — i brzmiało im rajem.
W ich sercach rozświtowe były to świegoty.

Dziś — on marzy sam (ona odeszła jak wiosna),
Że już kochać nie będzie, że pył wonny, złoty
Jego duszy jej nóżka starła bezlitosna.

ZAWSZE.

Podczas gdy ty, chwilowe zagoiwszy rany,
Wesoło pędzić będziesz dni jasne, łaskawsze,
Ja pójdę sam, unosząc w duszy skołatanej
Pierwszej mojej miłości zwłoki coraz krwawsze.

Lecz jako ów rozbitek, miotan przez orkany,
Rzuca krzyk w niebo głuche, od gromów jaskrawsze,
Zanim zniknie w pomroce nocy niezbadanej, —
Gdy ty mówisz mi: nigdy! — jeszcze wołam: zawsze!

Ja tak kocham, i chociaż odchodzę bez żali,
Choć nic już z mego serca w twego nie drga fali:
Nie zgasi w mej świątyni ognia burza sroga:

Zwieje popiół, a płomień roznieci znów jasny!
— Ponieważ mi stworzyłaś duszę z duszy własnej,
Usta nasze na ustach spotkają się Boga.

SONET LISTOPADOWY.

Zmrok jesienny ma ciszę solenną kościoła;
Tuż pod księżycem, Wenus, we mgle kadzidelnej,
Błyska, jak przed monstrancyą płomyk nieśmiertelny;
Coś wielkiego, słodkiego coś kona dokoła.

Drzewa, podobne mnichom u zwłok czuwającym,
Mrąc same, rzężą psalmy ledwie dosłyszalne;
Chude ich pnie się wznoszą, jak ręce błagalne,
Liście bez szmeru lecą, jak łzy, deszczem drżącym.

Podczas gdy z widnokręgu, szerząc swe zasłony,
Noc wstaje i otula bezgranicze śpiące,
Niby całun trumienny, gwiazdami łzawiony,

Tam w dali, niebo, tracąc duszę swoją, słońce,
Jak trup świetlny, powoli zlewa się, rozkłada...
— I już nad barwnem ciałem krążą kruków stada.

STABAT.

Jezus konał. Na drzewie zelżywem rozbity,
Rozwartemi ramiony siał wkrąg przebaczenie,
A gdy, padając duchem, krzyk rzucił w błękity,
Wielkie drgnienie rozdarło ziemię aż po rdzenie.

I noc, niby grób czarny, jęła chłonąć w cienie
Trup słońca, upowity w płomieniste świty;
A męczennik opuszczon i sam nieskończenie,
Uczuł, że serce jego mrze w sercu kobiety.

O Boże, wówczas, gdy ci grom wypadał z ręki,
Gdy w Chrystusie sam czułeś bliżkiej śmierci męki,
Co tryumf miała odnieść nad tobą nietrwały,

Rzec-że możesz, co w zbawczej na twych szalach treści
Zaważyło potężniej brzemieniem boleści:
Krew Syna, czy łzy Matki bólem skamieniałej?

SONET.

O serce me, znużone zwątpień, pragnień bojem,
Los nie zdołał cię ugiąć, znękał cię jedynie;
Ukryj wyniośle ból swój przed ciekawych rojem,
Jak zwierz ranny, co w gąszcz się chowa — i tam ginie.

Niech żywi, pod żelazną ręką Fatalności,
Wyją, jęczą, śpiewają, w torach dróg się tłoczą;
Ty — nad ich próżne gwary, boleści, radości —
Wznieś swe wielkie milczenie, pogodę przezroczą.

I zamknij odtąd dumnej samotni swej progi
Wszystkiemu, co mąciło ci mir: bądź podobne,
Z bieli dziewiczej, ciszy i światłości błogiej,

Szczytom gór, co — w słoneczne, śnieżne kaski zdobne —
Wianie Boga jedynie czują wkrąg wierzchołów,
I — ciche tam — burz wycia mają u padołów!

ROZBITEK.

Dziś, gdy zdala od szczęsnych zatonąwszy lądów,
Jestem już tylko trupem, wleczonym przez fale,
Unoszę swe milczenie przez grzmiące ich żale,
Swój mir wieczny — śród wiecznych uraganu prądów.

Cóż z tego, że port żaden nie czeka mię w gości
Za raf murem, za gorzkiej bezdni tajemnicą!
Śmiech nicości wykrzywia martwe moje lico —
I wnet się już rozpłynę w mórz nieskończoności.

A podczas gdy nade mną chmurne wód roztocze
Zwarły swych płynnych mroków zwoje nieprzezrocze,
— Tam w górze, na powierzchni, gdzie dnia blask się śmieje

Korabie rącze biegną, skrzydlone w marzenia,
I, ku skarbom wybrzeży dążąc bez wytchnienia,
Pod wszystkiemi niebiosy ścigają nadzieję.

PRZEŁOŻYŁ Miriam.

TAJEMNICA.

Zazwyczaj mieszamy z sobą dwa wyrazy, które nie oznaczają dwu podobieństw, lecz właśnie dwa przeciwieństwa. Oto te dwa wyrazy, których mieszanie niszczy światłość:

Pierwszym jest: NIEPOJMOWALNE.

Drugim jest: NIEPOMYŚLALNE.

Niepojmowalne jest ponad Inteligencyą; niepomyślalne popod Inteligencyą.

Niepojmowalne — to Tajemnica.

Niepomyślalne — to Absurd.

Niepojmowalne, za wielkie dla nas, nie może wejść w całości do naszej Inteligencyi, z powodu swych rozmiarów, a nadewszystko, jeżeli mówimy o Nieskończoności, z powodu, że przechodzi wszelkie rozmiary.

Niepomyślalne, przeciwnie, nie może wejść do naszego Ducha, gdyż Duch nasz jest za wielki, to jest, za prawdziwy dla niego. Niepomyślalnego nie możemy uchwycić, gdyż jest pozbawione Prawdy, a Duch nasz stworzony jest dla ujmowania Prawdy, przynajmniej do pewnych granic.

Inteligencya nasza jest Siłą, dającą się stosować do Bytu.

Gdy chodzi o Byt absolutny, Przeogromny, Nieskończony, powołaniem naszej Inteligencyi jest szczytna Abdykacya, która, zamiast być stanem zamarcia, ograniczenia, umniejszenia, jest, przeciwnie, najpłodniejszym, najczynniejszym, najżywotniejszym Aktem, do jakiego Duch nasz jest zdolny.

Inteligencya jest Siłą działającą w pewnym zakresie. Poniżej tego zakresu niema ona nic do czynienia, i to jest obszar niepomyślalnego. Powyżej zaś sięga obszaru zastrzeżonego — obszaru rzeczy Niepojmowalnych.

Niepojmowalne — to rzecz, której się nie ogarnia.

Niepomyślalne — to rzecz, w której czytać niepodobna.

Etymologia tych dwóch wyrazów ustala po mistrzowsku ich różnice.

Niepojmowalnem — jest to, co się nie da pojąć, objąć.*)

Niepomyślalnem — jest to, co się nie da pomyśleć, co wzrokowi Ducha nie okazuje żadnych cech, żadnego charakteru. **)

Człowiek, gdy się zbuntuje przeciw Niepojmowalnemu, wpada zazwyczaj w niepomyślalne. Jest to kara prawie niezawodna.

Inteligencya opierająca się Niepojmowalnemu dostępuje tej klęski i upokorzenia, że zgina się i korzy przed niepomyślalnem.

Kto odrzuca Tajemnicę, wpada w Zabobon.

Otóż Zabobon jest Ducha wrogiem i mordercą.

Tajemnica jest przyjacielem Inteligencyi, żywi ją i utrzymuje. Potęguje ją, zamiast miażdżyć. Zaś Zabobon miażdży ją, zamiast potęgować.

---

*) Po francusku: incomprehensible, *(non comprehendere)*, to, co się nie da okrążyć.

**) Po francusku: inintelligible, *(non legere intus.)*

Niepojmowalne to Tajemnica. Leży ono poza Inteligencyą. Niepomyślalne — to Nonsens i leży poprzed Inteligencyą.

W zakresach niepomyślalnego przedmiot nie dorównywa Inteligencyi.

W zakresach Niepojmowalnego Inteligencya nie dorównywa przedmiotowi.

Człowiek niezawsze kroczy po równi, gdzie Inteligencya widzi jasno i prowadzi spokojnie. To pochyla się on ku czeluściom niepomyślalnego, — to wzbija się ku szczytom Niepojmowalnego.

Odurzenie otwiera mu przepaście, w których Inteligencya się zatraca.

Ekstaza porywa go ku szczytom, gdzie Inteligencya abdykuje w chwale.

Tajemnica odpowiada jednej z najgłębszych potrzeb natury ludzkiej, potrzebie Uwielbiania.

Człowiek nie uwielbia tego, co pojmuje całkowicie, i jest w swojem prawie, gdyż to, co pojmuje całkowicie, nie jest Nieskończonością, a Uwielbienie szuka Nieskończoności jak Busola szuka Bieguna.

Człowiek jest spragniony Tajemnicy, gdyż jest spragniony Nieskończoności. Pragnienie to Bezmiaru pcha dusze wyższe na drogę, która kresu nie ma. Idą one ku odkryciom, ze szczytną pewnością, że wszystkiego nigdy nie odkryją. Przedmiotem poszukiwań ich jest Nieskończoność, która przewyższa wszelkie odkrycia. Powiększa ona pragnienie, zaspokajając je współcześnie.

„Ni głodu, ni przesytu!“ woła św. Augustyn, i dodaje: „Nie wiem, jakiem imieniem nazwać stan, którego pożądam; ale Bóg potrafi zadowolić tych, którzy nie mogą się już nawet wyrazić, jeżeli tylko wierzą i ufają!“

Św. Augustyn ma słuszność. Ni głodu, ni przesytu! Oto istotne pożądanie człowieka. Gdyby rozumiał wszyst-

ko, doznałby przesytu! Gdyby nic nie rozumiał, doznawałby głodu.

Prawda, to wznosząca, to zapuszczająca zasłony, chroni go od głodu — Objawieniem i od przesytu — Tajemnicą.

Eliasz na szczycie Horebu widział Burzę, Trzęsienie ziemi, Piorun.

Ale gdy wionęło tchnienie ciche, Eliasz ukrył w płaszczu głowę: poznał zbliżenie się Pana, obecność Tajemnicy.

Serafiny, które Izajaszowi ukazały się przed tronem Pana, zasłaniały Twarze skrzydłami. — Miały po sześcioro skrzydeł, rozdzielających między sobą czynność wzbijania się i zasłaniania. — Ich lot, ich osłanianie, używały tego samego czynnika, tego samego narzędzia — skrzydeł! wszędzie skrzydeł, zawsze skrzydeł. Do lotu służyło dwoje, do osłaniania czworo. Skrzydła, które ich porywały w bezdnie Światłości, były im także ochroną. Osłony skrzydlate są osłonami pełnemi chwały, jak lot, który im towarzyszy. By latać i osłaniać się, trzeba im było skrzydeł — i nic innego, prócz skrzydeł.

O Światłości Nieznana, przy której łuny zachodzącego słońca są plamami, podobnie jak przepychy zórz wschodowych!

O Światłości Nieznana, Tyś jest zaspokojeniem pragnień bezmownych!

Są chwile, w których Milczenie nawet cofa się, — jak cofnęła się Mowa. Milczenie wówczas przyzywa łzy na pomoc swojej słabości.

O Światłości bez cienia, o Swiatłości Niepokalana! Tyś jest zaspokojeniem pragnienia bezmownego! Tyś jest zaspokojeniem Milczenia, które wzywa łzy na ratunek! Tyś jest zaspokojeniem łez, przychodzących z pomocą Milczeniu!

Bez Ciebie, czemże byłby człowiek? Czemżeby się stał człowiek, zmuszony do opłakanego krążenia w swych zakresach ograniczonych?

O Światłości Bezbłędna, Tyś jest Obietnicą i Tyś jest Wyzwoleniem!

O Światłości Wiekuista, usiłując pomyśleć Ciebie, przekraczamy świat i światy; wylatujemy ponad gwiazdy; pożeramy Przestrzeń; pożeramy Bezmiar, by znaleźć Cię po za nim. Słońca, mgławice są dla nas tem, czem źdźbła trawy dla Araba, gdy wsiada na konia, gdy rzuca się w cwał, szukając Pustyni, gdy gna, płomienny i gwałtowny, spragniony samotności i porywu.

Takiem jest Pożądanie, gdy miota się na swój Łup Nieskończony. Takiem jest Pożądanie, i jest dobre. Czeka je chwała śmierci z pragnienia na piasku Pustyni, razem z biegunem bez tchu, przed dotarciem do kresu pogoni; — a pragnienie, które da mu śmierć, za jednym zamachem da mu i życie: gdyż ono zwie się — Pożądaniem.

Jest ono nienasycone — i ubóstwia to, co jest poza niem.

Ale, o Światłości Wiekuista, zamieszkująca niebo niebios, Ty mieszkasz także w centrze centrów i we wnętrzu wnętrz.

Przybytek Twój jest podniosły. Przybytek Twój jest głęboki.

POGARDA SZTUKI.

Są uczucia, dla których ludzie żyją i umierają, uczucia, brane przez nich poważnie. W ich liczbie jest np. uczucie rodzinne, uczucie szanowne, lecz bardzo często znieprawione, i którego znieprawienie wytwarza potworności, mrowiące się przed naszemi oczyma.

Są uczucia inne, któremi ludzie zdają się pogardzać. Oto co nazywam wzgardą dla danego uczucia: oddawanie mu się, bez brania go poważnie.

Są ludzie nieznający Podziwu, niewiedzący o nim. Właściwie nie odrzucają go nawet, gdyż byłoby niesprawiedliwie mówić, że umarli odrzucają życie. — Są mu obcy, a on oddalił się od nich. I nie o tych mówić pragnę.

Mówię o tych, którzy podziwiają i uwłaczają swemu podziwowi.

Ci nie są całkiem niewrażliwi na piękno, ale wrażliwość ich jest zniewagą, gdyż nie jest istotną. Powiedzieć im, przeczytać, pokazać coś szczytnego, — będą wzruszeni: może, i bardzo nawet często, wzruszenie ich przejawi się zewnętrznie, hałaśliwie, niespokojnie, z pewną ostentacyjnością, wedle zwyczaju osób i rzeczy, niepewnych swego trwania.

Ale nazajutrz z tego wszystkiego ani śladu. Interesa przeszły tędy, podziw nie zostawił nawet ruiny dla oznaczenia swego przelotu. Nie zostawił nawet zupełnej pustki, nie zostawił prostego zapomnienia, — zostawił rodzaj zapomnienia nie wyłączającego pamięci i wyrażającego się słowami:

„Słyszałem tego artystę; sprawił mi przyjemność.“

Człowiek, który wczoraj podziwiał, mówi nazajutrz, że mu zrobiono przyjemność. — Byłże więc jego podziw kłamstwem? Bynajmniej. Oto co zaszło:

Człowiek ten jest przekonany, że prawda, piękno i harmonia są kaprysami, którerni człowiek poważnie myślący pobawić się może w chwilach wolnych od intere-

sów. — Ale rzeczywistością dla niego jest rzemiosło, któremu się oddaje.

Wczoraj wieczór podziwiał, — znaczy to, że załatwił swoje interesa, odetchnął po dziennym trudzie, zechciał udzielić kilka chwil przepadłych rzeczom wiecznym.

Ale spróbujcie nazajutrz poradzić mu wprowadzenie w życie prawd, które wczoraj wstrząsnęły i odświeżyły jego duszę: weźmie was za waryata. Może słuchając płakał. Nie myślcie dla tego, że zmieni tryb życia. Płakał, bo to nie obowiązuje do niczego: ten człowiek gardzi łzami. Człowiek ten był na widowisku; zgadzał się na niedolę bohaterki, smakował nawet w tej niedoli, dla kilku powodów bardzo głębokich. Lecz gdyby nazajutrz znalazł w rzeczywistości nieszczęsne stworzenie z widowiska, nie spojrzałby na nie, gdyż teraz nie czas na śmiech lub łzy, teraz czas na interesa.

Ta przeraźliwa sprzeczność człowieka na widowisku z tymże człowiekiem w życiu jest rozciąglejsza, niż się wam zdaje.

Ile razy mówicie mu o prawdzie i pięknie, ile razy mówicie mu o rzeczach wiecznych, tyle razy czuje się on w teatrze.

Ile razy mówicie mu o rzeczach niewidzialnych, tyle razy czuje się w teatrze. Gdyż rzeczy niewidzialne wydają mu się nierzeczywistemi, wydają mu się dekoracyami sceny, na którą go wasza mowa wprowadza. Ale wiedzcie o tem: człowiek ten opuści widowisko, i gdybyście go jutro zagadnęli o fakta wymagane przez prawdę, gdybyście mu przełożyli robienie chleba z promieni słonecznych, wedle praw stworzenia, — roześmiałby się tylko, tak, jakby się rozśmiał, gdybyście go zachęcali do poświęcenia

życia nieszczęśliwym, którymi się bawił w Porte-Saint-Martin. — Oklaskiwał te nędze, gdyż, jak wiecie, niedola zyskuje poklask; ale nie zobowiązywał się przyjść jej z pomocą.

Wszelki człowiek mieści w sobie pewną liczbę ludzi, i każdy z tych ludzi jest odmiennego zdania. — W danej jednostce może się spotkać uczony, artysta, filozof, ojciec rodziny, pracownik, — i każda z tych osobistości rozpatruje rzeczy w sposób inny od sposobu sąsiada. — Ponieważ zaś osoby te są pełne umiarkowania, więc żyją pod jednym dachem, we względnej zgodzie.

Dzielą się między sobą godzinami dnia. Niekiedy zjawia się artysta, wtedy znika ojciec rodziny. To znów kolej na ojca rodziny, a wtedy artysta bierze nogi za pas.— Jeżeli między lokatorami tej jednostki zbiorowej znajdzie się chrześcianin, i jeżeli chrześcianin ten nie zaznaczy się jako prawda żywotna wyższa od sąsiadów, — wtedy następuje owo to zjawisko ohydne, śmieszne, bezsensowne, przepełniające nasze domy i ulice: nieszczęsny chrześcianin zostaje rzucony na łup bestyom we własnym swoim domu. Jeżeli nie nawróci artysty, współmieszkającego z nim w jednym człowieku, to chrześcianin i artysta wypowiedzą sobie w jego sercu wojnę bezgłosą, tem głębszą, że odzianą w szaty hańbiącego pokoju. Gdy przemówi chrześcianin,— powie, że pewne rzeczy są prawdziwe. Gdy głos zabierze artysta, orzecze, że pewne rzeczy są piękne — i te dwa rodzaje rzeczy staną w sprzeczności. — W sercu spustoszonem człowieka, chrześcianin skruszy bożyszcza, które czci artysta; po cofnięciu się chrześcianina, artysta, w chwili swej kolejnej władzy, polepi czerepy bożka i chwalić go będzie czas jakiś. Chrześcianin potępi artystę, jako wroga prawdy wyznawanej przez człowieka. Artysta wzgardzi chrześ-

cianinem jako nieprzyjacielem piękna, które człowiek ten uwielbia — i walka tych dwu osobistości będzie jeszcze dłuższa, jałowsza, bezużyteczniejsza, mozolniejsza, jeżeli pomiędzy tych dwu, w toż serce wśliźnie się światowiec. Światowiec będzie usiłował pogodzić artystę z chrześciańskim jegomością. Będzie im radził wzajemne ustępstwa. Wyznaczy im ich działy. Ustanowi się ich sędzią i prawodawstwem swem pogorszy jeszcze sprawę, — póki wreszcie wyższa moc nie zjawi się ze światłem.

Jednem z uczuć najczęstszych u artystów jest — pogarda Sztuki.

Jednem z uczuć najczęstszych u krytyków jest — pogarda Sztuki.

Gardzić Sztuką nazywa się zezwalać jej na Kłamstwo.

Artysta gardzi Sztuką, gdy dąży do celu innego, niż realizacya prawdy. Krytyk gardzi Sztuką, gdy toleruje w niej ideał fałszywy.

Codziennie słyszymy to powiedzenie bezduszne, w zastosowaniu do takiego czy innego błędu, o ile błąd ten został wyrażony językiem błyskotliwym:

„To poezya.“

Gdy człowiek przeciętny, mówiąc o kłamstwie, wyrzekł te słowa: *To poezya,* — zdaje mu się, że rozgrzeszył kłamcę. Przeciwnie, potępił go tylko raz jeszcze, gdyż jeżeli kłamca kłamie *poetycznie,* to zmusza do kłamstwa mowę w jej formie najpodnioślejszej.

Poezya znaczy: tworzenie.

Kłamstwo dosięgające poezyi znieważa Świątynię.

Człowiek przeciętny pragnie pochlebić bezrządowi innego człowieka, mówiąc: „To artysta.“

Jeżeli mowa o istotnym artyście, to bezrząd jego jest potwornością. Muzyki esencyą jest matematyka, — wiersz odnajduje swą harmonię w trudnościach swoich praw.

Artysta powinien żyć w surowości rządu; uwielbienie winno się zbliżać do niego tylko ze czcią; uwielbienie bez czci jest najokrutniejszą zniewagą.

PRZEŁ. M. K. Ernest Hello.

Refreny.

I.

Czasem w mej duszy drżąca gra melodya cicha,
Jak w wnętrzu starych skrzypiec lub w muszli kielichu —
Długie szmery — — to morze tak nocą oddycha,
Księżyc je bladem światłem całuje pocichu — — —
Czasem w mej duszy drżąca gra melodya cicha.

Czasem w mej duszy dziko grzmią krzykliwe tony
Jakiejś orkiestry szału i wściekłej rozpaczy — —
A twardy temat bólu prowadzą puzony,
A wielki bęben huczy, niby śmiech puhaczy.

Czasem — za to — w mej duszy niewysłowna męka
Ciężkiego śmiertelnego milczenia panuje — —
Na powietrzu krzyk zastygł lutni, która pęka,
W krwawe niebo się wbiły skamieniałe tuje,
Ponad zmartwiałą ziemią głucha płynie męka.

II.

Na strzelisty turni szczyt — hen pod nieba duch mnie wzbił —
Lecz ztąd widzę kłęby chmur — ztąd słyszę jak grzmoty rechocą,
Czekam, rychło zlecę w dół, gdy mnie wiatr wyczerpie z sił,
A jeśli mam stać tu — to poco?

Patrzę — tam fałszywy bóg, skowan z czasu ciężkich brył,
Miażdży korny tłum u nóg, a podlą panuje przemocą —
Runąć nań lawiną skał! roztłuc go w kawały — w pył! —
I wznosząc już dłoń staję — poco?

Widzę — tam proroków chór niesie w piersiach święty głos,
Śpiewa ludziom rozkosz snów i raje, co w słońcach się złocą,
Ich zaś pieśniom wtórzy krzyk, jęki rannych i świst kos —
Ach — poco śpiewacie im — poco?

Nie do ludzi — — wam iść w mrok, gdzie nie widać wokół nic,
Gdzie daleki wicher dmie, gdzie — hen — krwawe gwiazdy migocą —
Czuć jak śmierć przybliża się, czuć jak życie spływa z lic —
Śmierć pytać i życie — tyś poco?

Kazimierz Wroczyński.

Dom „pod tonącą gwiazdą.“

Jestem synem protestanckiego proboszcza z obwodu turczańskiego. Wczesne me dzieciństwo było takie szczęśliwe, ach, tak nieskończenie szczęśliwe! Rodzice moi, ich przyjaciele, ba, wszyscy mieszkańcy naszej małej parafii ubóstwiali mię poprostu. Miałem niezwykłe, świetne zdolności. Mogę rzec to dzisiaj bez samochwalstwa; toć, niestety, muszę zaraz dodać, że cudowne to utalentowanie było, jak u wielu dzieci, tylko przedwczesną jakąś dojrzałością, nieproporcyonalnem do mego wieku rozwinięciem władz umysłowych. Ach, to było pierwszem mojem nieszczęściem, bo, gdy doszedłem do lat, w których uzdolnienie me skutecznie miało się okazać, spadły wszystkie obiecujące pierwiastki do zupełnie zwykłego poziomu, a zdumionym rodzicom, zwłaszcza zaś ojcu, wydało

się nawet, że poniżej zwykłego. Ojciec mój był z owych idylicznych patryotów doby minionej, jakich mieliście i w Czechach również. Ja, jedyne jego dziecię, byłem też jedyną jego nadzieją; to też w zapale zachodził tak daleko, że uważał mię poprostu za jakiegoś predestynowanego zbawiciela, który dla biednego narodu słowackiego cudów kiedyś dokona. W błąd ten wprowadziła go prawdopodobnie owa moja dojrzałość przedwczesna. Bezwiednie zasiewał w myśl moją złudy czarowne, rozbudzał dążenia do czegoś, co się nigdy urzeczywistnić nie mogło, i w ten sposób stał się powodem wielu przejść gorzkich w mem życiu późniejszem. Ale niedość tego, że biedak i siebie i mnie oszukiwał i, acz bez winy, wiódł mię na manowce, niedość, że wymagał ode mnie rzeczy, których dokonać nie było w mej mocy; w końcu, gdym się nie stawał tem, czego się spodziewał, zaczął być surowym, chmurnym, niesprawiedliwym, srogim nawet, zwłaszcza po zgonie mej zmarłej wcześnie matki. Ta, chociaż sama czuła się również zawiedzioną, brała mię przynajmniej niekiedy w obronę; z jej śmiercią wszakże skończyło się me szczęście dziecięce i, mogę powiedzieć, szczęście całego życia mego, bo odtąd ziemska wędrówka stała mi się nieprzerwanem pasmem udręczeń i goryczy.“

Umilkł na chwilę, potem smutnie mówił dalej, jak gdyby w jakiemś znużeniu: „Być członkiem tego ujarzmionego, niewolniczego narodu słowackiego, czuć jego poniżenie, to jak gdyby urodzić się pod klątwą, ciężką klątwą! Mieć w piersiach serce, które zdoła się burzyć, i widzieć, jak ci pozostali tępo dolę swą znoszą, nie rozpacz-że to nad rozpacze? Nad synem tej ziemi słowackiej, który nie chce i nie może stać się odstępcą, ciąży coś jakby wyrok fatum starożytnego. Nie oddycha on jak inni ludzie, znajduje piolun w każdym kąsku, truciznę w każdej kropli wody! Jeżeli ma w sobie moc tytaniczną,

miłość niezmierną, duch jego przez stałe walki i burzenie się przeciwko temu przeznaczeniu może wzrość aż do niebios, duma doda mu skrzydeł a miłość będzie mu zdrojem natchnienia i zapału. Ja wszakże nie miałem tej mocy, ja miałem tylko miłość. I dzisiaj zdaje mi się nawet, żem właściwie nie miał ani tej wielkiej miłości; miałem może więcej nienawiści ku wrogom, niż miłości dla swego narodu, ukochałem widać bardziej swoją nienawiść, aniżeli ten swój naród! Oto teraz, po tylu, tylu latach, gdym już postarzał się nieledwie, gdy, przeżywszy całe prawie życie poza krajem, wspominam raczej okolicę, w której zbiegły mi lata dziecięce, aniżeli swój naród, dzisiaj — powtarzam — sam już nie wiem, czy mi co jeszcze z tej mniemanej miłości pozostało; wszystko tam w oddali, w tych górach, jest mi takie obce, takie uczuciom moim dalekie — ale co mi zostało, co nigdy we mnie nie wygaśnie, to ta płomienna nienawiść, paląca jak piekło, nienawiść ku temu turańskiemu madziarów plemieniu, które zagrabiło mi ojczyznę, wolność, powietrze, spokój — i wszystko, co człowiekowi drogiem i świętem być może. Ta dzika niegdyś horda huńska, która, bez przymieszki krwi słowiańskiej i rumuńskiej, nawet powierzchowności nie miałaby europejskiej, nie straciła ani źdźbła ze swej azyatyckiej chytrości — i tą udało jej się oszukać świat cały. Włada dzisiaj, lecz przez moc, nie przez powagę prawa. Wstydzić się trzeba za aryjską Europę, że się tym turańskim kuglarzom tak na lep brać daje. Ale aryjska Europa jest już tak zmateryalizowana, że pozbyła się swego aryjskiego idealizmu i szlachetności prawie doszczętnie. Kłania się jednemu tylko, obok mamona, bożyszczu: p o w o d z e n i u. A ci Turańczycy osięgali zawsze powodzenie podstępem, obłudą, intrygami, nigdy zaś jakiemś rycerskiem przedsięwzięciem lub walką bohaterską, jak to sobie i innym wmawiają. Słowianie, zwłaszcza zachodni,

inne wiedli boje — a jakąż im to korzyść przyniosło? Nie umieli snuć intryg po dworach królów, i Europa nic nie wie o ich bohaterstwach, nie zajmują nikogo, bo nie mieli powodzenia. Ach, ta Europa! Nie kocham ani Francyi, ani Anglii, ani Włoch, ani Rosyi. Z małych narodów mam szacunek dla jednej może Norwegii. Te wasze Czechy dzisiejsze... Nie, żadnej we mnie nie budzą sympatyi. Znam pańskich rodaków, wiem, do czego byli zdolni u nas... Oh, ta ludzkość! Smutne, zaiste, zjawisko!“

Oczy pałały mu gorączkowo. Ująłem go za rękę, policzyłem puls.

— Nie mów pan z takiem uniesieniem, — rzekłem mu, — masz pan niewesołą słuszność, ale nie będę pana słuchał, jeżeli się pan nie uspokoisz.

— Tak, tak, — uśmiechnął się, — rozumiem. Chodzi o moje zdrowie, prawda? Naturalnie, przecież to skarb!.. Będę, zatem spokojny. I po co właściwie mówiłem o tem wszystkiem? Ach, tak, chciałem panu opowiedzieć o sobie. Zdumiewająca to, jak chętnie człowiek o sobie mówi, jak gdyby nie miał czegoś lepszego do opowiadania! I właściwie nie ma, bo ci jego bliźni są zupełnie tacy sami, jak on. Ale nie bawmy się w głębokie rozmyślania. A więc — oto moje życie. Nie bój się pan, załatwię się z niem krótko, aczkolwiek dziesięć tomów mógłbym o tem napisać, mógłby to być cały nowy Gil Blas! Gil Blasem jest każdy, kto z popędu wewnętrznego lub pod wpływem okoliczności porzuca dobrowolnie zakąt rodzinny dla pogoni za szczęściem innem, mniej wyraźnem, niż znalezienie zarobku na kęs chleba. — Tak więc, posłano mię do do szkół, gdzie nie okazywałem postępów. Temu nie był winien jedynie brak wybitnego uzdolnienia; inni bez niezwykłych zdolności uczyli się jednak i z lepszym rezultatem. Miałem wielką i nieszczęśliwą wadę, tkwiącą w podstawach mej istoty i charakteru: nie mogłem wyrzec się

marzenia. Nie mogę do dziś. Zdarzało mi się często, że pośród tego, co ludzie zwykle nazywają „życiem rzeczywistem,“ a co naodwrót jest życiem sztucznem, pracowicie zestawianem z samych płytkich potrzeb, konwencyj, kłamstw, podłości, oraz ustępstw z tego, co w nas lepsze i szlachetniejsze, — zdarzało mi się tedy, że, pośród tych poważnie branych banalności, nagle uderzała mię nicość i zbyteczność wszystkiego, za czem ludzie się uganiają, o co się żrą, jak psy o kość, i opanowywał mię taki wstręt, że z rozkoszą byłbym się unicestwił, lub przynajmniej uciekł gdzieś daleko, gdzie niemasz takich stosunków. Już w szkołach średnich, zdumiewałem ludzi tem, co brano u mnie za dziwactwo i upór. Gotowałem się np. bardzo sumiennie i pilnie do egzaminów, jako inni, z zamiarem, że zdam je dobrze. Skoro wszakże ujrzałem przed sobą tych zarozumiałych bakalarzy, którzy po inkwizytorsku, ze śmiesznie poważnemi minami, zadawali pytania, jak gdyby chcąc wpędzić mię w pułapkę, wstrętną nagle stawała mi się nawet nauka, o którą chodziło, a niekiedy zaczynał trząść mną gniew, bo miałem uczucie, że wyschłe te dusze profanują przedmioty, których dotkną. Homer, w ręku takiego czepiającego się słówek pedanta, który o poezyi najsłabszego nie miał pojęcia, robił na mnie wrażenie róży w łapach oskubującej ją małpy. Historya, pakująca nam do głowy obumarłe anegdoty, wstręt budziła we mnie oddawna, bo wzburzała mi do głębi całą istotę, gdy, śpiewając hymny na cześć helleńskiego bohaterstwa, bojującego z najezdnikami perskiemi, o udręczeniach ludu słowackiego nic wiedzieć nie chciała, a wychwalając rzymską miłość wolności, każdy swobodniejszy nasz odruch jako bunt karała i zbrodnię! Zdumiewająca, ile nienawiści płomiennej wejść może do takiego wątłego, wpółdziecinnego jeszcze serca!.. Tak więc, podczas gdy zadawano mi pytania, patrzałem, dajmy na to, na promień słońca, złoty,

drżący, wkradający się z wolnej przestrzeni do nudnej, zacieśnionej sali szkolnej, słuchałem świegotu wróbli na dworze — i myśl wnet napełniała mi się marzeniami i tęsknotami! W tem ciasnem więzieniu zduszonego żywota porywało mię nagle palące pragnienie wolności i przestrzeni. Słoneczny ten promień wyczarowywał mi naraz przed oczyma bezbrzeżną jakąś krainę, drzewa się tam kołysały, wody tam ciekły, nie było tam żadnych przepisów ani reguł! Co mnie obchodziły wszystkie te kłamstwa, które w nas pchano, wszystkie więzy i granice woli? Nie potrzeba mi było żadnych ustrojów i urządzeń społecznych — — miałem swoją duszę i swego Boga. Jakiż byłem szalony, że żyłem tutaj i poddawałem się jarzmu! Czyliż niema gdzieś za szumnemi wałami morskiemi szczęsnych wysp, gdzie można jeszcze żyć, jako ptaki żyją, tak święcie i wolno? O, tam uciec, daleko, daleko, porzucić wszystko za sobą, nie brać z sobą ze wszystkiego, com kiedy słyszal, nic prócz owych słów ewangelii, które w głąb' duszy mi się wryły, i prócz tych starych pieśni, które w śmiertelnem swem udręczeniu słowacki lud nasz w górach śpiewa!.. Nic więcej nie potrzeba, przynajmniej mnie, a chodziło przecież tylko o mnie. Inni niech sobie żyją, jak im się spodoba... Tak marzyłem w tej dusznej szkolnej sali, i na pytania, które mi zadawano, nie odpowiadałem wcale, ba, nawet ich nie słyszałem. A gdy mnie karcono, miałem na ustach uśmiech tak wzgardliwy, że doprowadzałem ich do ostateczności!.. Widzisz pan, taki byłem w szkołach! Cóż więc mogło być ze mnie potem?.. A swej ucieczki na wyspy szczęśliwe do skutku nie doprowadzałem i powracałem zachmurzony z miasta do domu, do ojca, ze świadomością swej przed nim winy!.. Znosiłem potem, zadumany i milczący, jego wyrzuty i gwałtowne niekiedy obelgi. Ach, z biegiem lat smuciłem go coraz bardziej! Z kolei rzeczy,

wstąpiłem z czasem w stadyum drobiazgowych roztrząsań w dziedzinie religii. Naprzód rozumowałem o tem gorliwie z ojcem, potem samotnie w ciężkich zatapiałem się rozmyślaniach, wreszcie jąłem majaczyć gorączkowo. W sporach z ojcem chodziło z początku o napaści na różne wyznania (z jakąż trudnością znosił najmniejszy atak na swoje własne!), potem o nienawiść ku tym, którzy mając moc i wpływ, wywracają na nice pierwotne pojęcia i zasady chrześciańskie, dalej nastąpiły napaści na chrześciaństwo samo, w końcu spiorunowałem ojca pewnego dnia otwartem wyznaniem, że nie wierzę w żadnego Boga. Żałuję do dziś, żem go tak nadaremnie zasmucił. Na nieszczęście, był taki gwałtowny! Gdybym w nim spostrzegł najlżejszy ślad boleści nad mym błędem, byłby mnie z pewnością wzruszył, byłbym swe przekonanie jakbądź ukrył, byłbym je może nawet odwołał, bo w gruncie rzeczy byłem miękki i bynajmniej nie tak zacięty i namiętny jak on. Że ludzie tak rzadko i tak trudno mogą się nawzajem zrozumieć! Gdybyśmy byli obaj spokojnie mówili, zauważylibyśmy może ze zdumieniem, że ta napozór nieprzebyta otchłań między nami bynajmniej tak bezdenną nie zieje głębią, jak nam się zdawało! Ów mój ateizm był wówczas raczej buntem przeciwko zbyt po ludzku ukształtowanemu wyobrażeniu Boga. Ale miejsce rozmów zajęły teraz wyłącznie rozdrażnione sceny, z których jedna, najgwałtowniejsza, skończyła się tem, że mię ojciec z rodzinnego domu wygnał — z przekleństwem!

Słowa ostatnie wymówił Rojko prawie szeptem, i zdało mi się, że oczy mu zwilgły.

— Nieszczęśliwy! — wyrwało mi się mimowoli.

— Tak, — odrzekł, — bardzo nieszczęśliwy, ale jeszcze nieszczęśliwszym był on. Smutek mój był głęboki. Nie wierzyłem w skuteczność klątwy, ale czułem, czem d l a n i e g o ona być musiała! Wiedziałem, że miał uczu-

cie, iż mnie zabił, wiedziałem, iż dusza jego była złamana, a istność cała jak obumarła. A co było moim grzechem? Żem nie zdołał patrzeć, jak patrzał on, i żem mu rzekł, co myślałem!

— I nie pogodziliście się nigdy? — spytałem.

— Nie, — odrzekł cicho. — Gdy mnie wygnał, odszedłem. Pisałem do niego, nie odpowiedział. Po roku doszła mnie wieść, że umarł. Nie zostawił mi ani słówka pożegnania.

— Boże mój! — wyjąkałem ze współczuciem. Usta zadrgały mu lekko, ale udał, że nie słyszał mego westchnienia.

— Ponieważ ojciec nie wydziedziczył mnie formalnie, — ciągnął dalej po chwili, — nikt nie zatrzymał mi drobnego po nim spadku; zaraz po jego śmierci zacząłem odbierać procenta, a po jakimś roku wypłacono mi cały ten skromny kapitalik. Tymczasem wszakże zadłużyłem się już tak bardzo na jego rachunek, że zostały mi tylko nieznaczne resztki. Miałem z początku, po śmierci ojca, jakieś skrupuły, uczucie moje buntowało się przeciwko temu, aby przyjmować puściznę po człowieku, który mnie nienawidził. Ale byłem w wielkim niedostatku, a pieniądze pochodziły zresztą w większej części od mej matki, która mnie przecież nie przeklęła, ani wydziedziczyła; pokonałem więc swoją niechęć i swoją drażliwość, jak to się zazwyczaj dzieje, gdy spojrzymy w oblicze grożącej nędzy. Żem żył w niedostatku, nie powinno pana to dziwić! Ze wszystkiego, co opowiedziałem, mogłeś pan już sam wywnioskować, że jestem z tych, którzy nie wiedzą, co właściwie z życiem swem począć. Ile-m zniósł zaraz po wypędzeniu z domu ojcowskiego, niemiło byłoby mnie przypominać sobie, panu słuchać. Możesz pan sam to sobie wyobrazić, wiedząc, że brak mi było wszelkich praktycznych wiadomości, potrzebnych do zarabiania na życie.

Tego, co się nazywa powołaniem, również nie miałem, chyba jedno: zdawało mi się, że mam wielkie zdolności do sztuki aktorskiej. Sądzę nawet, że nie myliłem się tak zupełnie i że, gdybym się był urodził kimkolwiek, byle nie Słowakiem, mógłbym był w tem z pewnością znaleźć wyraźny cel żywota... Dziś jest mi to już obojętne, gdy wszystko, wszystko, całe życie leży poza mną w ruinie, w gruzach i szczątkach. Przez to, że teatr słowacki nie istnieje, ginął mi z przed oczu ten określony cel i kierunek. Uderzyłem znów czołem o żelazną kratę wokół ujarzmionego narodu, któremu nie wolno rozwijać się swobodnie, o twardy jak skała mur swego wrogiego przeznaczenia. Z języków obcych znałem najlepiej niemiecki, wmuszano nam wówczas niemczyznę bardziej niż ten dyalekt turański, którym dręczą nas dzisiaj. Po niemiecku wszakże grać mi się nie chciało, nienawidziłem z natury wszystko, co niemieckie. Po długiej walce wewnętrznej, zdecydowałem się na to jednak i wyjechałem do Niemiec. Okazało się wszakże, iż chociaż płynnie mówię po niemiecku, lecz z niemożliwym na scenie akcentem.

— Szkoda pana, — rzekli mi, — ogromna szkoda, ale wzbudzałbyś pan śmiech. — Wzbudzać śmiech, najsmutniejsza to chyba dola. Pocieszali mnie, że może z czasem zdołam pokonać tę przeszkodę. Chwyciłem się tej nadziei. Wstąpiłem do jakiejś trupy wędrownej. Ach, tam był początek straszliwego wytrzeźwiania się z zapałów artystycznych. Potem dostałem się wreszcie do stałego, pokątnego teatrzyku, ale i tam dawano mi najnieznaczniejsze jedynie role. Rozwój był w takich warunkach niemożliwy. Walczyłem wytrwale, ale w końcu znękały mię doszczętnie te bezowocne wysiłki, opanował mnie wstręt do tych mizernych zakulisowych stosunków, do tych pogardy godnych ludzi, i zgoryczony rozwianiem się złudzeń, sam już bez wiary w siebie, dręczony równie porażką jak tajnym wy-

rzutem odstępstwa, porzuciłem swe jedyne powolanie i, przeklinając Niemcy, gdziem drugiej ojczyzny znaleźć nie zdołał, uciekłem — zupełnie odpowiednie to słowo — do Francyi. O tutejszym pobycie opowiem panu niewiele. Los rzucał mną jak piłką, rozpaczliwie wprost dobijałem się jakiegobądź kawałka chleba. Chwilami chwytałem się brzegu, i znów tonąłem beznadziejnie. Przeprawiłem się do Anglii i długo tam żyłem, a właściwie omal z głodu nie marłem. Ztamtąd przeznaczenie zaniosło mię na lat kilka do Meksyku. Wreszcie powróciłem znowu tutaj i dobiłem się pozycyi, w której mię pan dziś widzisz. A cały ten okres mego życia wypełniały ciągłe utopie, same utopie, za ktoremi pędziłem, do których rwałem się, niestety, nadaremnie! I dziś jednak jeszcze, nie buntuję się przeciw nim — i kocham je nawet. Utopie? Czemu utopie? Wszystkie te moje plany i dążenia były ostatecznie możebne i zdolne do życia, a jeśli waliły się w gruzy, to tylko dla tego, żem nie brał w rachubę ludzkiej złości, zawiści lub obojętności nieprzyjaznej. Niewątpliwie, własna moja słabość i brak wytrwałości zawiniły również dużo. Naprzód wpędził mię w zagubę zapał dla sztuki, potem żądza sławy, a w końcu marzenia o wielkiem bogactwie, które miałem nadzieję urzeczywistnić za oceanem. Widziałem siebie, jak, niby nowy Monte-Christo, mszczę się na katach swego narodu, jak naród ten słowacki wszelkiemi środkami, moralnemi i materyalnemi, podnoszę i wywyższam. Chimery i ułudy! Gruz tych walących się i zapadających marzeń zasypal mi całą duszę i uczynił z życia mego jałową pustynię... Ale nie, nie, to sprawiła tylko ta wina moja, o, ta moja wina, ta moja wina...

Umilkł nagle, głowa ciężko opadła mu na piersi, całe ciało drżało mu febrycznie, a oczy miał śmiertelnie smutne. Milczeliśmy obaj długą chwilę. Bałem się przemówić, aby nie wyglądało, że przez ciekawość chcę się cze-

goś dowiedzieć o tej winie, o której z tak szczerze i głęboko patetycznym napomknął akcentem. Rojko podniósł wreszcie powoli głowę, oczy jego błądziły po drzewach, zkąd wesołe szły ku nam ptaków świegoty.

— Wiesz pan teraz wszystko, — rzekł dość spokojnie, jak gdyby burza w jego wnętrzu uciszyła się prawie zupełnie. — Wiesz pan wszystko w zarysie. Na szczegóły książkaby cała nie starczyła. Czegóż-em nie przeżył w tych różnych obcych ziemiach! Czem byłem i czem nie byłem! Nawet czemś w rodzaju kamerdynera u pewnego arystokraty przez czas jakiś. Stało się to w trakcie i skutkiem dążenia do wielkiego celu, którego, podobnie jak wszystkich innych, nie dosiągłem. Widzisz pan, z jakiem mówię zaufaniem, skoro i to panu wyznaję, że znalazłem się prawie w liberyi, ja, zapaleniec wolności, pragnący łamać pęta swoje i innych! Co za skok — pomyślisz sobie pan zapewne, nie znając szczegółów — z podniebnej drogi artysty, pałającego żądzą nieśmiertelnej sławy, do przedpokoju, między lokajstwo nieledwie... I niezaprzeczenie jest w tem trocha prawdy, ale niech dyabli porwą wszystko, co mnie to może dziś obchodzić! Minąłem się ze wszystkiemi powołaniami, powodzenie zawsze plecami odwracało się do mnie. Jako prawdziwy *raté* i *déclassé*, jak tu ludzie mówią, należę tedy do najsmutniejszych objawów cywilizacyi dzisiejszej, w której zawsze, od pierwszych lat życia, instynktem czułem coś wrogiego mi i zgubnego. Czy uwierzysz pan wszakże, iż mnie to wszystko już dziś nawet nie boli? Powiedziałem panu, że jestem obecnie małym urzędniczkiem w pewnym zakładzie przemysłowym. Nie mrę z głodu, ani z zimna, i nie chodzę w łachmanach. Tysiące ludzi lepszych ode mnie nie mają tych wygód. Mogę umrzeć spokojnie i normalnie. Czegóż mógłbym pragnąć nadto? Chyba prędszego końca. Niedawno, przed samem dostaniem się do wasze-

go szpitala, uczułem się chorym. Choć śmierć jest mi obojętna, mechanicznie szukałem ulgi w cierpieniu, i dano mi w zakładzie adres lekarza, opiekującego się z urzędu personelem naszym. W drodze do niego spotkał mnie przykry wypadek z tym omnibusem.

Przestał mówić, pobladł i znowu zaczął trząść się jak w febrze.

— Panu gorzej, — zawołałem, — mówiłeś pan zadługo, zmęczyłeś się i rozdrażniłeś! Wyrzucam sobie, żem temu nie zapobiegł. Pójdźmy, poprowadzę pana, trzeba się położyć do łóżka. Sen pana pokrzepi.

Wstał posłusznie i dał się odprowadzić.

Po kilku dniach, tak dalece przyszedł do siebie, że gotował się opuścić szpital. Byliśmy teraz już tak blizkimi znajomymi, że zwierzyłem mu się z uśmiechem, iż widziałem go u św. Juliana, iż za nim szedłem i w tak zabawny sposób go zagadnąłem. Nie pamiętał już o tem spotkaniu.

— A co pana tak we mnie zajęło? — dziwił się.

— Już to samo, że mieszkasz pan w domu, który mi się wydał tak tajemniczym i do którego tak bardzo pragnąłem się dostać.

— To będzie teraz bardzo łatwe, — odpowiedział z uśmiechem. — Jestem pewny, że nie zapomnisz pan o mnie z chwilą, gdy wyjdę za drzwi szpitala, i że odwiedzisz mnie nieraz. Zresztą, nie znajdziesz pan zapewne w tym domu nic nadzwyczajnego. Sam znam zaledwie powierzchownie swych najbliższych sąsiadów. Są i tam prawdopodobnie ludzie zajmujący, jak w każdym innym domu. Ostatecznie, każdy człowiek jest zajmujący, o tyle, rzecz prosta, o ile dotrzemy do głębi, do najwłaśniejszego jego wnętrza. Ale czy to wogóle jest możliwe, nawet gdyby nic przed nami nie ukrywał? Toć nawet sami siebie nie widzimy prawie nigdy bez zasłon czy to fantazyi

naszej, czy złudzeń dobrowolnych, czy względności dla własnego „ja.“ A więc, jakkolwiek będzie, odwiedź mnie pan niezadługo, chociażby gwoli mym sąsiadom.

— Przedewszystkiem przyjdę gwoli panu, — rzekłem otwarcie, — i gwoli zdrowiu pańskiemu, które powróciło wprawdzie, ale dlugo jeszcze pewnem nie będzie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i rozeszliśmy się.

W kilka dni potem, udałem się w drogę do domu „pod tonącą gwiazdą,“ aby odszukać Rojka. Przez czas, gdym go nie widział, był w mym duchu ciągle obecny. Czułem smutek jakiś nieokreślony, będący niewątpliwie następstwem wszystkiego, co mi opowiedział. Sam on wydawał mi się tonącą, nawpół zatoniętą gwiazdą, statkiem zgruchotanym o skaliska żywota. Wywierał na mnie wpływ tak silny, że się temu aż dziwiłem. I nie to, co o nim wiedziałem, działało na mnie tak potężnie, lecz to, co slusznie lub niesłusznie o nim przeczuwałem. W człowieku tym, zdało mi się, były głębie, które tail i które mnie nęciły. Zresztą, drgała we mnie struna wielce jemu pokrewna. Pod banalną powierzchnią naszego trzeźwego życia społecznego czułem tak mocno prądy jakieś przepastne, bezdenne, tajemniczo ukryte oczom niepoświęconym. Był-że Rojko z liczby wtajemniczonych? Wywarł na mnie to wrażenie, mimo iż nie wymknęło mu się najmniejsze, najoddaleńsze co do tego napomknienie. Czy okaże mi się kiedyś, jakim jest w rzeczywistości, i czy poda mi rękę, aby mnie powieść ku progom wielkich, odwiecznych, pozornie zanikłych, ale w istocie wiecznie trwających misteryów? Ale z drugiej strony, toć pesymizm jego przeczył pojęciu, jakie sobie w ten sposób o nim wytworzyłem. Kto tak blizko stał prawdy, ten nie mógłby być zupełnym pesymistą, jak nie może być ciemnym, kogo światło przeniknie. Pesymizm jest tylko przygnębieniem, tęskliwym niepokojem, które nas ogarniają, gdy poznajemy nicość rze-

czy nam blizkich, a nie widzimy jeszcze jasno tego, co jest za niemi, za zjawiskami przemijającemi, i co się nigdy nie zmienia. Jest to choroba przejściowa. — Tak rozmyślając, doszedłem do wybrzeża Augustynów. Miało się już pod wieczór. Paryż w tym półzmroku błękitniał cały i olśniewał wspaniałą malowniczością swych *avenues,* pełnych ruchu i gwaru, swych pięknych szpalerów drzew na wybrzeżach, swego widnokręgu tak niezwykle ubarwionego. Na wybrzeżu antykwaryusze składali już swe stare książki do skrzynek. U jednej z tych kamiennych balustrad, zkąd książki zabierano, spostrzegłem Rojka. Prawdopodobnie wracał dopiero do domu ze swojej fabryki. Stał wsparty o balustradę, ale nie patrzał na rzekę, po której statki się uwijały, i która pięknym, ciemnozielonym, głębokim toczyła się nurtem, z obrazem miasta-olbrzyma, zwierciedlącym się w jej falach. Wołałem na Rojka, pozdrawiałem go zdaleka, machałem kapeluszem, on wszakże nie widział mnie, ani słyszał. Twarz jego była drętwo nieruchoma, wyglądał jak człowiek w głębokiem omdleniu, lub raczej w stężałości śmiertelnej, ale oczy szeroko rozwarte jarzyły się ogniem dziwnie gorączkowym. Nawet w chorobie, nawet podczas kryzysu nie widziałem go takim. Stałem już chwilę obok niego, zagadywałem go kilkakrotnie, potrząsałem go za rękę, ale nie dostałem ani odpowiedzi, ani spojrzenia. Wreszcie wydało mi się, że zaczyna budzić się powoli z tego niezwykłego stanu ciała i ducha. Twarz ożywiła się i normalniejszego nabrała wyrazu, tylko oczy świadczyły jeszcze, że myśli jego przebywały gdzieindziej daleko, Bóg sam wiedział gdzie. Na pytania moje, także poniekąd dziwne, bo było mi, jakbym się zaraził jego ekstazą, odpowiadał na traf niezrozumiałemi słowy. Była to jak gdyby rozmowa za pomocą hieroglifów. Minęła jeszcze długa chwila, zanim zaczęliśmy rozmawiać, jak ludzie o zdrowym rozsądku.

— Szedłem właśnie odwiedzić pana, — rzekłem, jeszcze ciągle badając mu z oczu, co się we wnętrzu jego działo.

— Więc pójdźmy, pójdźmy! — odpowiedział tonem zwykłej grzeczności, próbując przystosować się szybko do obojętnej, powszedniej sytuacyi.

— Rzecz prosta, — dodałem, — o ile nie wybierałeś się pan właśnie gdziekolwiek indziej. W takim razie odprowadziłbym pana tylko i wpadłbym do pana innego dnia.

— Nie, nie, — upewniał, — nie wybierałem się nigdzie, miałem właśnie iść wprost do domu. Gdy wtem przemówili znowu do mnie po długim czasie — o n i.

— Kto taki? — spytałem ze zdumieniem.

Milczał chwilę.

— Nie zrozumiałbyś mnie pan zapewne, — rzekł potem powoli. — Nie, nie zrozumiałbyś pan napewno. Powiedziałbyś mi, albo przynajmniej pomyślałbyś sobie, żem waryat. Znam takie sądy. Pan jesteś „uczony,“ stoisz na wyżynach wiedzy dzisiejszej — czy dobrze powtórzyłem ten wyszarzany frazes? — a dla tej wiedzy, która tak niesłychane zrobiła postępy, wszystko jest waryacyą, czego się nie wie i nie rozumie.

Powiedział to bez goryczy, i w tonie jego nie było nic obraźliwego.

— A cóż, — rzekłem mu z uśmiechem, — cóż gdybym się przyznał, że wprawdzie niegdyś wierzyłem ślepo tej wiedzy, ale że nagle przeświadczenie moje o jej doskonałości chwiać się zaczęło?

— Byłżebyś pan może także nieco waryatem? — spytał również z uśmiechem, ale tak zagadkowym, że mi się zrobiło niewyraźnie; nie wiem, dla czego, ale uczułem lekki dreszcz przebiegający mi ciało. Albo zatrwożyło mię to jego przypuszczenie, albo też dojrzałem we wzroku je-

go i uśmiechu coś, co zbudziło we mnie myśl, że mówię z człowiekiem, stojącym nad czy pod normą tak zwanego zdrowego rozsądku, który zdefiniować nie jest rzeczą łatwą. Szliśmy chwilę obok siebie w milczeniu.

— Czy zarzucał już panu kto waryacyę? — spytałem nieśmiało.

— Tak, niejeden, już oddawna. Wówczas, gdy jeszcze odzywałem się niekiedy. Teraz milczę zazwyczaj, i ludzie biorą mnie raczej za filozofa, według starej sentencyi.

— A czemżeś pan się naraził na surowy ten zarzut?

— Czem? Hm, powiem to panu. Niekiedy cudzemi słowy łatwiej określić swój stan duchowy, niżli własnemi. Znasz pan wielkiego, tak absolutnie nieznanego Wiliama Blake'a. Był to podobno także waryat. Dla niego wyobraźnia była pochodzenia boskiego, a więc czemś pierwiastkowem. Mawiał o sobie, że zdolność wyobraźni pielęgnuje i rozwija do tego stopnia, iż staje się ona wizyonerstwem, prostem widzeniem, objawieniem. Otóż coś podobnego czynię i ja. Nie mam jego geniuszu, nie umiem oddać tego, co widzę (nazywa się to tworzeniem), i skutkiem tego z widzenia mego nie powstają wielkie poemata i wizyonerskie rysunki, jak u Blake'a. Rozszerza ono tylko mój widnokrąg, patrzę nieco głębiej we wszechświat, niżbym mógł w innym stanie.

— Ale i to nie jest dane każdemu, — zauważyłem.

— W każdym człowieku, — odpowiedział, — istnieją zasadnicze zarodki innych jeszcze zmysłów prócz tych pięciu, najbardziej rozwiniętych, znanych każdemu i za jedyne uważanych. Ale zamało na te zarodki zwracamy uwagi, zwłaszcza dzisiaj, w materyalistycznym, barbarzyńskim prądzie epoki, który nas unosi i który, zresztą, zawsze unosił większość ludzi. Jak pan widzisz, nie chcę być niesprawiedliwym względem naszej doby i nie należę do tych, którzy ciągle tylko wzdychają za przeszłością. Prag-

nąłbym jedynie, by geniusz aryjski, wybitnie spirytualistyczny znowu wziął w nas górę. Są oznaki, że pomału tak się dzieje. Skarby mądrości indyjskiej, w idealnym swym altruizmie i w nieogarnionej wzniosłości pojęć abstrakcyjnych, odnowią zapewne od podstaw naszą kulturę. Hindusom nie została tajną żadna głębina ducha, żadna subtelność psychiczna nie uszła ich uwadze... Ale oddalam się od swego przedmiotu. Chodzi o moją waryacyę. A więc, odkryłem w sobie pewien zmysł ukryty — używam takiej nazwy, ponieważ inaczej nazwać tego nie potrafię — i przez tę władzę, lub, jeśli pan wolisz, przez ten stan swego nie cielesnego, lecz transcendentnego „ja" zdolen jestem wchodzić w stosunek czy styczność z istotami innemi, niżeśmy na przykład my sami, albo zwierzęta czy rośliny, rozumieć je, jak gdybym je widział i słyszał oczyma i uszyma, jednem słowem, zupełnie świadomie odczuwać jakichś mieszkańców nie naszej ziemi, lecz, dajmy na to, innych ciał niebieskich.

Zamilkł, jak gdyby czekając na moją o tych rzeczach uwagę. Byłem dziwnie poruszony. Miał nade mną magiczną jakąś władzę, — póki mówił, byłem zupełnie przekonany o słuszności słów jego; wątpliwosci budziły się we mnie, dopiero gdy umilkł. Nie wiedziałem, co mu powiedzieć.

— Zajmujesz się pan astronomią? — spytałem wymijająco.

— Ani trochy, — odpowiedział spokojnie. — Nie myśl pan czasem, że czytałem Flammariona i że buduję sobie światy według jego badań czy fantazyj. Nie wiem, ile może być prawdy w tem, co twierdzi o Wenerze lub Marsie. Ale sądzę, że ani teleskop, ani matematyka, ani chemia nie rozwiążą tajemnicy zagadek gwiezdnych. Astronomią się nie zajmuję, brak mi do tego podstawy nauk pomocniczych, ale gwiazdy miłuję jak poganin. Pojęcie

gwiazd u pogan było, mimo wszelkie niewiadomości i błędy, zapewne bliższe prawdy, aniżeli trzeźwe i suche formuły naszych astronomów. Wiedzieć, ile słupków ma kwiat, jak się nazywa po łacinie, gdzie rośnie, i t. d., nie starczy jeszcze do wyjaśnienia istoty roślinnej, o którą chodzi. Prawda?

— Prawda, — odrzekłem, — ale powiedz mi pan, jakiego rodzaju jest ten pański stosunek z mieszkańcami innych planet? Czy przez wyobraźnię znajdujesz się pan nagle pomiędzy nimi, czy też zjawiają się panu we śnie, czy wreszcie jak promienie wślizgują się panu w oczy?

— Niełatwo będzie wyjaśnić to panu, — odpowiedział, — jest to, jak gdybym miał zdefiniować barwę komuś, kto jej nigdy nie widział. Nie jestem tam, ani tutaj. Fatalność to istnienia naszego cielesnego, że możemy sobie wszystko wyobrażać tylko w związku z miejscem i chwilą, tylko przestrzennie i czasowo. Tymczasem istnienie warunkuje się przedewszystkiem świadomością, nie zaś miejscem, w przestrzeni lub czasie. Otóż, w takich chwilach, jestem tak intensywnie świadom ich istnienia i stosunku ze mną, jak żadnego faktu w przestrzeni, faktu narzucającego mi się przez słuch, wzrok lub dotyk.

— A co, na przykład, mówią do pana? — spytałem, nie mogąc stłumić ani ciekawości, ani niewiary.

— Mógłbyś pan w taki sam sposób zapytać, jakim mówią językiem. Cóż do pana mówią drzewo, skała, słońce? Co do pana mówi zwierzę? Każda z tych rzeczy przemawia bez słów, a pan sobie dopiero tłómaczysz po ludzku i te zjawiska, i ich mowę, ale wiesz dobrze, iż wszystko, co w ten sposób myślisz o nich, wszystko, co im przypisujesz, jest raczej pańskie, niż ich. Tak właśnie i tamci mówią do mnie. Jestem ich świadom tylko, jak drzew lub skał, i tłómaczę sobie wszystko według swego obecnego rodzaju istnienia. Otóż, bywają to niekiedy fakta

niewyslownie przejmujące i ważne, a niekiedy znów drobne i bez znaczenia, jak ten kamyk, na przykład, leżący na naszej drodze. Nam przynajmniej, kamyk ten wydaje się w chwili obecnej czemś zupełnie błahem; znaczy to, że stosunek jego do nas nie ma wielkiej wagi, bo, niestety, mamy na wieki w sobie tylko samych miarę jedyną dla wszystkich rzeczy. Po za tem, cóż nam pomoże cała nasza mądrość, cała wiedza, rozum cały i cała wyobraźnia, gdybyśmy zechcieli dotrzeć do jądra zjawiska i wyraźnie rzec lub dowiedzieć się, co to właściwie j e s t ten kamyk? Dla tego zadawalamy się w koniecznej rezygnacyi próżną nazwą.

— Na teraz dość, — odparłem, — że przynajmniej wiemy, iż to, co się z d a j e, jeszcze n i e j e s t. To wygląda na obietnicę, że kiedyś dowiemy się rzeczy, które dziś przeczuwamy zaledwie, lub których nawet przeczuwać jeszcze nie zdołamy. Ale powiedz mi pan, czy ze świadomością wszyskich tych faktów pozaziemskich nie powstało w panu coś w rodzaju pewniejszego i wyrazistszego poglądu na całość bytu, czy nie wyjaśniły się panu pojęcia wieczności i Boga? Nie stał-że się panu Bóg, którego niegdyś zaparłeś się, ku tak strasznej ojca bolesci, wyobrażeniem dostępniejszem, f a k t e m świadomie odczutym, podobnie jak fakta pozostałe? Myślę, że tak?

— Mylisz się pan ogromnie, — odpowiedział. — Wszystkie fakta nie objaśniają razem ani o źdźbło więcej, niż np. fakt pojedyńczy istnienia zwierząt lub roślin. Cóż z tego, że, aby tak powiedzieć, rozszerzy się inwentarz „n a t u r a e n a t u r a t a e“? Jesteśmy-ż przez to Boga bliżsi, pojmujemy-ż go przez to jaśniej, że np. przy pomocy mikroskopu wiemy o infuzoryach? Murzyn żyjący gdzieś w pustyniach Afryki i nieprzeczuwający, że wogóle istnieje na świecie coś takiego, jak nasza cywilizacya, będzie niewątpliwie zdumiony, olśniony, gdy go pan przy-

wieziesz nagle do Paryża lub do Londynu. Z początku będzie może nawet przerażony, będzie myślał, że znalazł się w krainie potężnych czarodziejów, półbogów, lub, jeśli pan wolisz, całych bogów. Z czasem wszakże przekona się, że wszystko tu jest właściwie jak w jego wsi, tylko w innej formie, bardziej złożonej, doskonalszej i, jeśli pan chcesz, nawet wznioślejszej. Że są i żyją inne jeszcze po za ludźmi istoty, istoty pod wielu względami bardziej rozwinięte, różniące się od nas tak, jak my np. od zwierząt, to zdumieć może człowieka, który się o tym fakcie nagle przekona, a poprzednio nie przeczuwał go nawet; ale do jądra rzeczy, której — wiednie czy bezwiednie — pożąda jedynie, do jądra istotnego poznania, ani o krok go to nie przybliży. Czy widzę jeden kamień spadający na ziemię, czy sto, nie wiem jednako, czem jest ciężar kamienia. Widzisz pan zatem, że mi pojęcie o Bogu, przez ten stosunek ze światami zaziemskiemi, ani o źdźbło jaśniejszem i wyrazistszem się nie stało. Jest Bóg czy Go niema? A jeżeli jest, c z e m jest? Stare, odwieczne pytanie. Gdybyśmy choć wiedzieli napewno, co to jest „być?" Kartezyuszowskie „myślę, więc jestem" — nie daje w tym kierunku dostatecznego rozwiązania. Czy próbowałeś pan kiedy wyobrazić sobie, zamiast tego, co jest, nicość doskonałą: że nie było nigdy świata, nigdy ducha, nigdy materyi, nigdy światła, nigdy ciemności, nigdy nic, nic? Czy zdołasz pan pomyśleć takie zupełne, odwieczne, prapierwotne nic?

Nie odpowiedziałem. Starałem się odczuć świadomie taką nicość bezwzględną. Z początku zdawało mi się, że to nic trudnego, ale naraz uczułem się jakby w ciemności. Miałem rzeczywiste wrażenie jak gdyby jakiegoś zaćmienia się w oczach i obezwładnienia intelektu w mózgu.

(Ciąg dalszy.) Juliusz Zeyer.

...giocoso.

Panno Łucyo!..

W przewspaniałej omdlałości odpoczywają twe wdzięki na szkarłatnej kozetce. Biel karczku, nieskalaność torsu... ani słowa!

Albo tak, panno Łucyo...

Kwiat-pokusa, rozpinasz wabne swe czary na tle purpury, jakby haftując ją tęczami, i poisz aurę wokoło smugami ciepła... promieniejącego... najlubszego... oraz zdrojem woni pysznej, w której rozróżniam vera violetta.

Tak, Lucynko...

Czerpiesz nieco oddechu między turą a turą... Walc bo niebiański łasi się twoim uszkom i nerwom... a kto wie... może mgły tonów przywałęsają się aż... aż do twego serduszka i wskrzeszą jakieś mary niepokojów, jakieś pragnienia słodkie... tak słodkie, że drżysz calutka i radabyś przed wizyami przysłonić oczęta ręką różano-przezroczą... a... a chociażby i wachlarzem...

Ale ja ci nie pozwalam.

Tak jest.

Jak wąż dzierżę cię na uwięzi mym wzrokiem, i wpadasz w tę bezdeń... lecisz, chcesz się otrząść... nie możesz!

Skułem cię temi dwoma złemi źrenicami, które się jarzą do ciebie...

Prze bogi! Daruj gadzinie, że ma ślepie zielone.

To sobie zresztą taki fortelik tylko, którego zażywam, by cię uprzedzić, że teraz ze mną opląsasz salę... że tym podstępem trzy-

mam cię niewolną, zanim przetnę barykady roztańczonych ciał i dotrę do twego podnóżka, gdzie się kornie pochylę, rozjaśniając lica — i gołębiem wejrzeniem rozproszę precz dreszcze takowej invitation a la valse...

I, widzisz, niepośledni, niezwyczajny będzie ten krąg taneczny...

Mnie muzyki niepotrzeba. Ja rzucam ten narkotyk, zatykam duszę przed dźwiękami.

Ja wyobrażam sobie, że tu niema nikogo, że tu głucho... że jesteśmy sami... sa — mi..!

I najtrzeźwiej, z najdotkliwszą świadomością przychodzę do ciebie, by cię poprostu objąć wpół i przygarnąć... Wolno mi, teraz, wobec świata, cywilizacyi, etykiety, etyki, mam, cioć.

To, co drudzy gubią, zahypnotyzowani poszmerem walca, oszołomieni wirem... ja to biorę najzachłanniej dla siebie... Oni popełniają świętokradztwo wielkie, ja... może największe... co?..

Pojrzyj... ty jesteś dla mnie w toalecie domowej, raczej w przygotowaniu do toalety... Tylko, że obnażonych ramion i alabastru piersi nieprzystoi widzieć w niedbałościach poranku!..

Ale —

Gdy się temu obrazkowi da inne ramki, gdy się oblecze jedwab, fular i dżety, — wonczas ta sama nagość, podana przy fanfarze melodyi, otchniona perfumami, zaklęta w cuda balu, chadza w zbożnem słońcu uznania i nieci podziwy.

Owinąłem cię już ramieniem. Chwiejemy się i szykujemy... oddech twój pali się na mej twarzy... i twarz mi gore...

Tu przyszedłby już ostateczny termin na okisłe określenie „płyniemy..." Niestety! ja idę sobie, estetycznie, wygodnie, choć w takt.

Cisnę cię mocno, hamując żwawsze twe pochopy, i zdaję sobie sprawę, że teraz mam Ewę przy swej piersi, że nasycam się nią.

Lecz wbrew lekkomyślnemu zastrzeżeniu, poddaję się zwolna muzyce. Tak, teraz miła mi jej pieszczota. Prawda! inaczej niż tobie, inaczej!..

Bo mnie się serce od niej nie topi, bom daleki od ekstazy, która tobie loty przykleiła chyże.

Pamiętam teraźże najpieczołowiciej, że poza nami miliony dzieje się misteryów, że jest jakiś glob, który uważa za stosowne obracać się także, aczkolwiek biegu jego nie śledzim, że ta kulka ziemista ślizga się, dźwigając nas, w galaretach przestworza, że ten bączek huczy wobok swej osi, przyczyniając się do harmonii sfer, podsłuchanej przez jakiegoś muzykalnego kosmologa.

A w rozgardyaszu tym, mikrokosmosik mój, choć się tuli do

ciebie, nie zapomina, że bierze współudział takoż w owej górnej jeździe i że, chłonąc w siebie piękno ziemianki, napełniając niem ducha jak banię, nie urąga tej wielkiej wszechmaszyneryi, która trzęsie się w przepaścistościach czasu i przestrzeni.

Podążaj za mną... i zważ sama. Na arenie, gdzie pląsamy... wszyscy ci ludzie, w których duszach grają teraz arfy eolskie, to są także światy... dwojakiej płci... Przez tę różnopłciowość ciążą ku sobie i mogą połączywszy się chwalebnie, stwarzać dalsze ogniwa bytu... które kiedyś tak samo zlecą się na pole werbunku, jak ptaki z wyraju... no i znów... ritornella... ritornella... ritornella...

Łucyo!..

Łucyo, jeżeliś nie jest feministką, a temu przeczy olbrzymia twa kobiecość... tedy... czekają cię płomienie, które obejmują wybrane... wypełnisz ochotnie zadanie...

Wiedz...

Oto cię matka natura oszuka... Wpadając w zasadzkę miłości, w ocean szczęścia — bez brzegów — otrząśniesz puch z kwiatu marzeń na ołtarzu tejże matki-hołubki, która dalej łakomie dzieło swe toczyć będzie... Ona woła nowych do ironii bytu...

Ale ja i tej ironii nie biorę na seryo...

Marudziłbym dalej, nieszkodliwie, ale walczyk się ścisza, mdleje... Może jest jaki wielki rezerwoar, gdzie energia kinetyczna przebrzmiałej na świecie muzyki... zbiera się w wielki akumulator, czekający pracy.

Mełłby plagiaty...

Tandem, *Łucyo!.. dziękuję ci!*

Kłaniam się tobie i twojej urodzie...

Wracam w ciżbę.



Zygmunt Kawecki.

GLOSSY.

Jubileusze, rocznice, plebiscyty, ankiety, konkursy *(Ciąg dalszy).* Jeżeli konkursy miały niby podniecać twórczość, ułatwiać wydobycie się na jaw nieznanym talentom, — ankiety i plebiscyty, w tej zwłaszcza postaci, jaką im dziennikarstwo dziś nadało, pozorują się dążeniem do wyrazistszych uświadomień, potrzebą ukształtowania bardziej stanowczych sądów, zapewnieniem bliższego, istotniejszego ujęcia prawdy. Jak dalece wszystko to jest pozorem, złudą lub obłudą jeno, stwierdza wystarczająco już sam formalny, ilościowy punkt wyjścia (głosowanie, większość zdań), który z istotą prawdy nie ma nic wspólnego. Zarzut ten, rzecz prosta, stosuje się przedewszystkiem do plebiscytów. Ankiety, będące nie gołosłownem głosowaniem, lecz zestawieniem całego szeregu motywowanych, uzasadnionych zdań i zapatrywań na jakąś sprawę, z których każdy drogą zastanowienia i rozumowania musi już sam wyprowadzić własny pogląd, albo przynajmniej sprostować go i uwszechstronnić, — mogłyby, w zasadzie, przyczyniać się bardzo dzielnie do rozjaśnienia wielu spornych czy niedość pogłębionych kwestyj, a byłyby w każdym razie znakomitą i pożądaną podnietą do myślenia. Wszystko jednak zależy od tego, kto urządza ankietę i stawia zapytania, kto na nie odpowiada i kto ze zbioru tych odpowiedzi ma korzystać. Jeżeli pierwszym jest doskonały znawca przedmiotu, wiedzący, jak pytać z całą precyzyą i wyrazistością; jeżeli drudzy są niemniej poważnymi badaczami, którzy zgłębili do dna podaną im do rozstrzygnięcia kwestyę; jeżeli z różnolitości wyrażonych poglądów korzystać mają ludzie, niepierwszy raz spotykający się z przedmiotem, lecz sporo o nim wiedzący i wskutek tego zdolni zoryentować się w lesie sprzecznych nawet

zapatrywań, — pożytek ankiety jest niewątpliwy. Jakże tymczasem wyglądają, obchodzące nas w tej chwili ankiety gazeciarskie, które w dziedzinie rzeczy ducha — iż bractwo reporterów nie kwapi się tak bardzo do poruszania zagadnień naukowych, bo tam łatwiej się „poszpotnąć“ — skrupiły się na sztuce? Ogłaszają ankiety dziennikarze, t. j., ludzie, niemający — mimo prób zidentyfikowania dziennikarstwa z literaturą i krytyką — nic wspólnego ze sztuką, mogący się pochlubić co najwyżej przeciętnemi, „zdroworozsądkowemi“ lub *five o'clock*'owemi pojęciami o niej, czerpiący całą erudycyę z pierwszej lepszej encyklopedyi, pozbawieni wreszcie, w wirze codziennych zabiegów informacyjnych, wszelkiej wrażliwości estetycznej. Rzecz prosta, iż skutkiem tego wszystkiego nie umieją oni nawet sformułować z należytą precyzyą swego kwestyonaryusza i tą niejasnością zapytań, która otwiera drogę do wszelkich nieporozumień, wywołują częstokroć przerażający zamęt w odpowiedziach. Nietylko nie umieją wszakże; często nie chcą. Bo tu wychodzi na jaw właściwy cel tych ankiet. Idzie nie o rozwiązanie czy pogłębienie jakiejś kwestyi, lecz o ściągnięcie uwagi na dziennik, w którym o coś spierają się ludzie, oraz o rozgłos własny reportera — inicyatora ankiety. Że zaś szeroka masa abonentów woli pieprzne swary i utarczki na tle błahostek i skandalików życia codziennego, niż głębokie roztrząsania filozoficzne, więc np. p. J. Huret, prowadząc słynną ankietę w sprawie symbolizmu (które to przedsięwzięcie uczyniło go „autorem“ napisanej przez innych książki), rozpytuje ze szczególnem zamiłowaniem i perfidyą o wzajemne sądy osobiste, przyjaźnie, niechęci, zawiści, niesnaski (pyta np. Verlaine'a, czy to prawda, że zazdrości sławy Moreas'owi) — i, na dodatek, z całą bezczelnością, przybierając w przedmowie szaty wielkiego moralisty, chlubi się przed czytelnikami, że, jeśli jego ankieta nie zbogaca historyi literatury co do nowych sformułowań teoretycznych, odsłania zato kulisy duszne, wyjawia namiętności ukryte i kłótliwe obyczaje większości artystów współczesnych. — Lecz ten francuski „petit reportaillon,“ mimo całej swojej perfidyi, czuł — skutkiem zapewne wyższej naogół kultury francuskiej — że zwracać się z zapytaniami w sprawie sztuki można tylko do ludzi, którzy coś o niej mają do powiedzenia: do literatów, artystów, oraz istotnych, twórczych krytyków — a pisząc swą przedmowę dowiódł tylko, że sam, skutkiem przewagi reporterskich skłonności do intryżek i plotek, najmniej zrozumiał, jak wiele teoretycznych właśnie, głębokich uwag i zapatrywań udzielili mu zapytani. U nas te sprawy ankietowe załatwiają się z nieporównanie większą prostotą i dobrodusznością. Kwestyonaryusze roz-

syła się na prawo i lewo, nie zastanawiając się ani chwili, czy ten lub ów z zapytywanych ma wogóle cośkolwiek do powiedzenia w danej sprawie. Brak jakiejkolwiek kultury estetycznej prowadzi zresztą nieodzownie do powszechnego u nas przekonania, że w sprawach sztuki wszyscy bez wyjątku głos zabierać mogą. „Napisano bezkarnie," powiada Peladan: „wielkie dzieła sztuki są wielkiemi tylko dla tego, że są dostępne i zrozumiałe dla wszystkich" — a Tołstojowski ten kąkol nigdzie może nie rozplenił się tak bujnie, jak u nas. Nikomu nie przychodzi na myśl, iż innemi słowy znaczy to: „sztuką prawą jest ta, która sprawia przyjemność ignorantom i głupcom, a literatura stosować się winna do smaku analfabetów estetycznych." Nawet ostateczni gruboskórcy, pozbawieni wszelkiej wrażliwości estetycznej, twierdzą z całem przekonaniem, że „mają serce" i że, byle im dać „arcydzieło", odczują i zrozumieją je niezawodnie. Trudno dziś zaiste znaleść człowieka, który, pytany czy niepytany, zawahałby się z wydaniem „sądu" w kwestyach artystycznych. Mówią o sztuce doktorzy i filantropi, przyrodnicy i sportowcy, antropolodzy i „przodowi" dandysi, bankierzy i mecenasi, dziennikarze i przemysłowcy, rolnicy i właściciele domów, księża i politycy, i cała, cała „zwarta większość" bezimiennych głuchych i ślepych. To też sam już spis uczestników którejkolwiek z ankiet w sprawach sztuki zdumieć może nawet najbardziej przyzwyczajonego do niespodzianek człowieka, a treść odpowiedzi jest zazwyczaj takiem trzęsawiskiem frazesów, komunałów, zdroworozsądkowych bezmyślności, że jakieś przypadkowe, bardziej ważkie zapatrywanie bez ratunku w niem utonąć musi. Utonie zaś tem pewniej, że cały ten materyał, drukowany z dnia na dzień w dzienniku, idzie nie pod rozpoznanie ludzi, znających się na rzeczy i zdolnych plewę oddzielić od ziarna, lecz przed oczy szerokiego tłumu, któremu wszystko (dowcip czy gromkie hasło, brutalna krzykliwość czy zwinna retoryka, „łatwość" stylu czy zręczne pochlebstwo) łacniej zaimponuje, niż spokojna, cicha i wszelkiej blagi pozbawiona myśl głębsza. Z rozumowej narady, z wymiany ważkich treści, ankieta staje się zatem cyrkowym popisem tężyzny głosu, bo kto lepiej krzyczy, ten zwycięża. Zresztą, inicyatorzy ankiet, niezdolni zazwyczaj do jakiejkolwiek interwencyi ideowej, zastępują to prawie zawsze epilogowaniem statystycznem, ile głosów oświadczyło się za, ile przeciw, ile z okolicznościami łagodzącemi, i przez tego rodzaju skrutynium odbierają całej procedurze resztkę charakteru rozumowego, sprowadzają ankietę do rzędu głosowań, nibyto motywowanych, ale w których wartość lub nicestwo motywów żadnej prawie nie grają roli.

Ankiety dziennikarskie są degeneracyą zasady słusznej, która, równie od inicyatora, jak od dających odpowiedzi i od mających korzystać z zebranego materyału, wymaga warunku *sine qua non*: znajomości przedmiotu. Plebiscyt, oddający jakieś ogólne zagadnienie pod niemotywowaną, gołosłowną decyzyę całej masy ludzi, których kolosalna większość nie ma o niem najmniejszego pojęcia, jest już w zasadzie swojej nonsensem. Zasada ta streścić się da w apoftegmacie: suma milionowych niewiadomości i naiwności równa się głębokiej mądrości; — i śmiesznem jest nawet, że trzeba udowadniać absurdowość odwoływania się do wszelakich *vox populi*. Jeśli wziąć nawet rzeczy bardziej praktyczne, bardziej dotykalne, np. sprawy społeczne lub polityczne, — każdy zdaje sobie doskonale sprawę, że pierwszy lepszy *rentier*, robotnik, wójt gminy lub jakikolwiek inny członek „zwartej większości", nie może i nie zdoła decydować o ich kierunku. Natomiast wszystkim zupełnie naturalnem się wydaje, jeśli wielomilionowa suma tych samych *rentier*'ów, robotników, wójtów gmin i t. p. decyduje o zmianie formy rządu we Francyi. Co są warte rezultaty takich głosowań, stwierdziły dostatecznie nauki polityczne. Jak zaś wpływają na stan umysłów i podniesienie świadomości w tłumach, wspomina, między innymi, Flaubert w liście do Jerzego Sanda, z r. 1870: „Vous n'avez pas l'idée du degré de bêtise où le plébiscite plonge les Parisiens!"—Dziennikarze nasi, pierwsi zda się—i mogą się tym chlubić zaiste! — zastosowali plebiscyty do spraw sztuki dotyczących. Było to bardzo konsekwentne. Jeżeli ludzie, mający „serce", jako jedyną kwalifikacyę do wyrokowania o sztuce, mogą wydawać motywowane sądy w różnych ankietach, czemużby wszyscy inni, którzy prawdopodobnie mają również serce, a którym brak tylko sprytu czy odwagi do zlepienia motywów, nie mieli również prawa ferować werdyktów nieodwołalnych? Takich głosujących jest zresztą więcej, a wszak ilość to grunt. Ileż to osób zainteresuje się dziennikiem, który ogłasza plebiscyt na szampionat XIX wieku w różnych dziedzinach sztuki polskiej, ileż to osób uczuje wdzięczność za uprzejme odwołanie się do ich zdania, iluż to gapiów zaciekawi się tym nowym sportem, iluż, jednem słowem, przybędzie abonentów i czytelników! A o to przecież jedynie chodzi. Że dobry przykład działa zaraźliwie, więc zaraz ktoś inny, urządzając wystawę bardzo pięknej kolekcyi mistrzów flamandzkich i włoskich, uważa za stosowne, dla zwiększenia zapewne dochodu na „cel pożyteczny", schlebić tłumowi, pytając go o „sąd" o tych mistrzach. Ktoś inny wreszcie, ogłaszając konkurs dramatyczny, oddaje sędziom (t. j.,

prawdopodobnie znawcom) tylko rolę przygotowawczą, ostateczną zaś decyzyę co do trzech sztuk, wybranych przez *jury*, zostawia publiczności, o której nie ma najmniejszych danych, czy znawstwo jej nie ogranicza się do świadomości zabawy dobrej czy złej. Wyniki tych plebiscytów są w przeważnej liczbie wypadków tak doskonale śmieszne i tak wymownie mówią same za siebie, że zbyteczna szerzej niemi się zajmować. Natomiast zwrócić musimy uwagę na fatalne dalsze następstwa urządzania takich głosowań ludu i zachęcania do nich. Niejeden ubogi duchem, któremu na myślby nie przyszło wydawać sądy o rzeczach, leżących po za obrębem jego pojmowania i wrażliwości, nabiera skutkiem zachęt i zapraszań, pewności siebie i zwolna przetwarza się w osła ze znanej bajki, który radził słowikowi brać lekcye od koguta. Krótko mówiąc, jest to forsowna hodowla zarozumiałej ignorancyi. Musi ona doprowadzić do takich rezultatów, jak ostatnie wystąpienie „licznego grona czterdziestoletnich prenumeratorów" pewnego pisemka brukowego, którzy z całą bezczelnością i *bezkarnością* poważyli się nazwać wspaniały zbiór kapitalnych, pierwszorzędnych dzieł sztuki —„mazaninami" (naturalnie „modernistycznemi", bo to dzisiaj jest bieżącą obelgą). Z bezkarnością, powtarzamy, bo redakcya owego pisemka musiała dopiero *dowiadywać się* w kancelaryi T. Z. S. P., że Mehoffer, Ruszczyc, Stanisławski, Wyczółkowski, Wyspiański, są znakomitymi artystami, chlubą sztuki naszej, i że (co najbardziej zapewne zaimponowało i redakcyi, i tym samodzielnym czterdziestoletnim sędziom) „mazaniny" te same „były w Wiedniu przedmiotem wysokiego uznania ze strony zagranicznej krytyki artystycznej." „Dowiedziawszy się" o tem, doszła dopiero redakcya owego pisemka do wniosku, że „uwagi grona prenumeratorów są bezpodstawne"; ponad tę bezpodstawność wszakże nie znalazła ani jednego słówka potępiającego dla skandalicznej elukubracyi swoich czterdziestoletnich *wychowańców*. Bo daremne i obłudne jest rozwodzenie się w parę dni potem o potrzebie wychowywania publiczności pod względem estetycznym. Publiczność już jest wychowana. Wychowały ją plebiscyty w sprawach sztuki, oraz czcze, przewrotne komunały dziennikarskie o różnych *izmach*. Wyniki plebiscytów mają tylko jedno znaczenie: są dokumentem współczesnych smętnych upodobań Warszawy, są świadectwem, do czego ją doprowadziło to właśnie wychowanie. Zle jednak — i to jest drugie fatalne głosowań tych następstwo — że nielogiczny nimb, otaczający u nas i gdzieindziej wszelkie *voces populi*, obałamuca niedotknięte nawet zarazą tego samozadowolenia, pełne dobrej

chcące uczyć się woli, warstwy społeczeństwa i każe im wierzyć w słuszność i prawdę tych więcej, a raczej, jeśli kto chce, mniej niż wątpliwych orzeczeń.

(Konieczność wprowadzenia nowych, klasycznych dowodów i przykładów, jakie w kwestyi ankiet i plebiscytów przyniosła chwila ostatnia, zmusza nas do przeniesienia uwag o jubileuszach i rocznicach do jednego z następnych numerów.)

Tredecim.

POEZYA.

Jan Kasprowicz: — *Ginącemu światu.* Lwów. Towarzystwo Wydawnicze. — *Miłość.* Wydanie drugie. Z ilustracyami E. Okunia i E. M. Liliena. Lwów. Księgarnia Polska. — *Moja pieśń wieczorna.* Lwów. Księgarnia Polska. — *Salve regina.* Lwów. Księgarnia Polska. — (*Dokończenie.*)

Ale chwila wyzwolenia już się zbliżała. Poeta, zmęczony „piekłem tego życia“, zgiełkiem walk stronniczych, pełny zwątpienia o ich celowości, pełny bólu nad ich niepoliczonemi ofiarami, targany stu sprzecznościami, pożerany przez jakieś „nieznane pragnienia, zdolne rozsadzić pierś Lucyfera lub Prometeja“, — zapragnął ciszy — i, szukając jej na wiecznie zbawczem łonie przyrody, otworzył tej wielkiej matce bramy swojej istoty, „pozwolił prądom niebiańskim przepływać swobodnie przez swą duchowość“ (Emerson). Niezmierzone, *zanim się spostrzegł,* rozsłoniły się przed nim widnokręgi, nieprzeczuwane występować jęły na jaw tajniki, „apokalipsy świat przed jego okiem wnet się roztoczył, jasny. pełen cudów, o jakich przedtem nie marzył“ — i dusza gwałtownie zrywać się jęła do jakichś nieśnionych dawniej lotów. Ale „śmiertelny, w nieszczęśliwych tłumie wychowany człowiek, kroczący przez głuszę ciemnego żywota — czyż umie przyjąć bez lęku to, co jest przeczeniem dotychczasowego bytu?“ Wszystko, co dotychczas, mocą nawyknienia czy przekonania, światem było poecie, cała cielesna ograniczoność, wszystkie ciasne altruizmy, wszystkie zdroworozsądkowe pojęcia, wszystkie widma przeszłości (bo już tylko widma pod nowemi niebami, ale zato tem zajadlejsze), czepiły się kurczowo skrzydeł wyzwalającej się duszy, chcąc ściągnąć ją z powrotem do swej ciemnicy. I wszczęła się tragiczna walka wnętrzna, której dzieje opowiada, a raczej daje odczuć cykl poematów, noszący tytuł: *Miłość.* Szczególna, niezwykła to książka, ukrywająca w sobie, podobnie jak

Faust Goethego, dwie treści jednocześnie. Uczucie, wyrażone w tytule, fabularną i architektoniczną jedynie odgrywa w niej rolę. Mamy przed sobą szereg różnych *faktów*, różnych komplikacyj życiowych z dziedziny miłości, ale jej istoty, jej głębin, które poeta, nieco później, z taką potęgą, z takiem jasnowidztwem, odsłonił w *Salome*, tutaj nie szukać. Istotnem ideowem wnętrzem jest (świadczą o tem nawet usunięte w 2-em wydaniu, a dziwnie ironicznego nabierające dziś posmaku przedmowy do dwóch pierwszych rozdziałów) odzwierciedlenie własnej duszy poety w przełomowych chwilach jakiejś gwałtownej *Umwertung aller Werte*, jakiegoś zupełnego przemienienia ode dna, — a kolejne postacie, obrazy i cała epicka strona poszczególnych części poematu to tylko symbole, punkta ogniskowe, w których się zbiega wszystko, co wówczas było duszy tej treścią. Oto naprzód *l'Amore desperato*, rozdzierający psalm niewypowiedzianej udręki, śmiertelnego bólu nieodwołalnych rozstań z czemś, co było nam wszystkiem, co okazało się złudą, co przeklinamy i błogosławimy zarazem. W przebrzaskach nowych widnokręgów, rozwiały się, w grobie legły bez powrotu miraże szczęścia czysto ziemskiego. Poeta wie już, że szczęścia w nich nie było, że na błędne dzięki im zaszedł manowce, — a jednak głosem sentymentu, głosem wspomnień, głosem żalu za wszystkiem, co mija, przemawiają one tak potężnie do jego cielesno-uczuciowych pierwiastków, że zdaje mu się, iż rozstania tego nie zniesie, i rozpacznie przyzywa Śmierć, „bolejących bytów, złamanych jestestw zbawicielkę.“ Jednocześnie wszakże, nieświadomie szukając ukojenia, „pieści się formalnie“ z przyrodą, jakby w przeczuciu, że w jej świętym ogniu dusza „jak drogi metal z żużli się oczyści.“ *Miłość-Grzech* to walenie się doktrynalnie ciasnych lub powierzchownych ideałów — i, jak poeta tłómaczy w przedmowie, świadomość winy, że się wiarę w nie utraciło, a jak raczej wynika z przebłysków nieświadomych w samym poemacie, skrucha bolesna za grzech, że się młodą, prostą, szczerą, wiośnianą duszę przemijającym zaprzedało formułkom. W *Amor vincens*, po zerwaniu z dawnemi bóstwami, obłąkane miotanie się duszy, która już przeczuwa nowe cele i drogi, ale w rozbiciu swem i rozbolałości jeszcze wyraźnie dostrzedz ich nie może; potem nagłe zstąpienie „Ciszy, co w jeden środek skupia władze ducha,“ i przeczucie jedności, jaśni wnętrznej, z której rodzą się pieśni „wonne, jak kwiat ten, który lipy wieńczy, słodkie jak miód ten, co mieszka w tym kwiacie, silnej jak napój, gdy ten miód rozcieńczy grzybek fermentu...“ Aż nareszcie pękają ostatnie więzy, dusza otrząsa ostatnie strzępy ograniczoności cielesnej — i w zakończającym książ-

kę cyklu pieśni *Z gor*, tej na pozór idylli miłosnej na tle tatrzańskiem, stajemy olśnieni przed bezdennem misteryum ducha. Dusza poety, oczyszczona, wyzwolona, „od bluszczów wiotsza, pnie się, płonąca cała, około pragnień drzewa, co swym wierzchołkiem ku błękitom sięga," rozpływa się jak kropla „w płynących dalach" wszystkości, a jednocześnie staje się jak gdyby ich ogniskiem: bory w niej szumią, siklawy huczą, żleby gadają odwieczne tajemnice, skały pierwotnemi, runicznemi rozdźwiękają hymnami. Wszystko wkoło ożywa, wszystko jest jej tak blizkie, bratnie, wszystko jest nią i ona wszystkiem, przestwór cały i ją z nim razem wypełnia „przeszywający do szpiku kości, odwiecznych dum miarowy, pełny i rozciągły ton." Tajemnicze, prześwięte, mistyczne zaślubiny duszy poety z duszą wszechświata! Zlanie się wszystkiego takie ostateczne w jedni bezwzględnej, że nikną przeciwieństwa, różnice, że blaski dźwięczą, tony świecą, że wyodrębniająca zbytnio „szorstka ciała tkań" nieznośnym duszy wydaje się ciężarem, że pozostaje tylko uczucie nieskończonej, nieustannej wibracyi świetlistej, wiekuistego ruchu, niezmiennej istoty wszechbytu.

Niezwykła książka, powtórzymy o całości cyklu. Nierówna, niepewna, tu i owdzie przeładowana scholastyką lub retoryką (części II i III), gdzieindziej niepozbawiona sentymentalnej frazeologii. Przyczyniły się do tego niewątpliwie owa pozorna treść i stosowana do niej architektonika poematu. Z drugiej zaś strony, świeży rozbrat z dotychczasowemi sferami życia i jak gdyby ocknienie się duszy w zupełnie nowym świecie (które dałoby się przyrównać do nagłego, zdyszanego wynurzenia się na bezbrzeżną, słoneczną powietrzność po długiem nurkowaniu pośród zwierzokrzewowych gąszczów, skalisk i ciemni podwodnych) — nie mogły sprzyjać doskonałym, harmonijnym, jednolitym wcieleniom. Ale za to, jakaż bezmierna pełnia ducha, jakie kolosalne, niesłychane jego podniesienie bije ze wspaniałej, organowej symfonii *Przy szumie drzew* (porównałbym ją tylko z Cullen Bryant'owską *Thanatopsis*) i z rozsianych po całym noszącym nazwę *W turniach* poemacie, ekstatycznych, buchających niby pióropusze białych płomieni, dytyrambów. Nie mamy czasu myśleć o szczegółach, o niedoskonałościach, odchodzimy cali drżący, pod wrażeniem, że jakiś podhorebowy czy synajski musnął nas podmuch.

Z tej strony grobu wszakże, póki „szorstka ciała tkań" obleka duszę, ekstazy takie wniebowstępne, wyzwolenia takie absolutne trwać mogą okamgnienie zaledwie — i poeta zstąpić musiał z czarodziejskiej wyżyny niewysłownych widzeń i czuć. Straszliwy był to

descensus Averni: ze „świadomości jasnej bezkresowego bytu" na ciasne i obłędne zmysłów manowce, z harmonii wiekuistej w zamęt przemijających dążeń i zabiegów ludzkich, z wolności w więzy ciała, z nieskończenia w ograniczoność, ze światłości w mrok. Pierwsze wrażenia tak gwałtownych przełomów muszą być, z natury rzeczy, niedogłębione, ogólnikowe, chaotyczne — i takie też ich notacye znajdujemy w lirycznych częściach *Krzaka dzikiej róży*. Poeta nie może się naprzód oprzeć czysto osobistym uczuciom, „w ciemności schodzi dusza moja" — woła z rozpaczą, przeklina wampira dawnych, czysto ziemskich „ideałów", który mu tak długo „ssał drogi szpik" tej duszy, wzdycha i tęskni do „rozśpiewanego, szumiącego lasu," do „rozmiłowanych, roztęsknionych" tatrzańskich cisz wieczornych, przez pamięć, że oneto nadziemskie zbudziły w nim pragnienia i na błogosławiony ów zawiodły go Tabor. Potem, jakby w obawie, by niedawne wspomnienia nie ściemiły się i nie zblakły, próbuje narzucić w najogólniejszych zarysach dzieje olbrzymich wnętrznych swych metamorfoz, dzieje wędrówki ducha, co „zrzuciwszy brzemię ciał, zawisł nad przepaściami, jak blask słoneczny" i znowu, „przebywszy dziwną drogą, do ciał powrócił", — ale zdobywa się tutaj tylko na jęk, iż „na ziemię bożą wielki upadł cień", iż „w wiekowych bojach zwątlał zastęp dusz", i na wyrazy bezmiernego współczucia dla „świata nieszczęśliwego, ziemi łez, kraju pogrzebnej pieśni". Niekiedy tylko jakiś błysk nieświadomy zaznacza, że beznadziejna nędza świata nie jest losem nieszczęsnym jedynie, lecz i winą także, że za wyrzeczenie się celów wiekuistych, za „śmierć życia", życia prawdziwego, dusznego, granice ziemskości przechodzącego, za postawienie nad wszystkiem „strasznego dla duchów ogromu ciała", jakiś nowy, przerażający „dzień ów, dzień gniewu" popędzi wieki na straszny sąd. Mamy tu wszystkie zarodki późniejszych gigantycznych natchnień poety, ale tylko zarodki, przeczucia, widma bez wyraźnych zarysów, skry świetlne wyblyskające w półzmierzchach przedstworzennego zamętu. Dopiero gdy ten uciszać się zaczął, — cały bezmiar nowej, nieogarnionej, zaświatowej treści przesiąkł zwolna w świadomość zmysłową, powiązał się lub stoczył walkę z istniejącemi już tam pierwiastkami i po fermencie olbrzymim znalazł jedyne, ostateczne równoważniki myślowe, słowne i obrazowe. — I zrodziły się w pełnych już, wyrazistych, a zupełnie nowych, absolutną własnością poety będących postaciach i wcieleniach: poczucie wiekuistego rozdarcia wewnętrznego w jestestwie ludzkiem, wiekuistego rozdźwięku między metafizycznemi pragnieniami jedni, nieskończenia a instynktami ciasnej,

przemijającej indywidualności cielesnej, — oraz poczucia tego następstwo i wyraz — Ból i Tęsknota. Ból — nie wyczerpań, nie zwątpień, nie rozkładu, lecz mocy, „co wśród smutnych idzie pól chmurnie, groźnie i stanowczo, by stracony zdobyć świat", ból, „który sam jeden wszechmocny posiada głos, który sam jeden rozpieśnia duszę słabego człowieka w natchnioną pieśń, zapładniającą światy". Tęsknota tragiczna, „zabójcza, pożerająca", ale zarazem stanowiąca najistotniejszą cechę człowieczeństwa, „kielich goryczy, z twardej wykowany miedzi, który przemienia się w alabastrową czarę, pełną słodkiego napoju wieczności, i przepełnia swą wonią duszę biednego człowieka". Oto dno całej odtąd twórczości Kasprowicza, oto najwewnętrzniejsza treść takich, między najwyższemi arcytworami ducha ludzkiego stanąć mogących poematów, jak „Na wzgórzu śmierci", „Moja pieśń wieczorna" i „Salve Regina", oto źródło tych innych, mniej ważkich może lub nietak skończenie doskonałych, ale co chwila objawiennemi płomieniami rozbłyskających pieśni „Święty Boże", „Dies irae", „Salome", „Hymn św. Franciszka z Assyżu", „Judasz" i „Marya Egipcyanka".

Chronologicznie pierwszym był dramat metafizyczny „Na wzgórzu śmierci," zamykający potężnym, przejrzystym akordem zmagania się duszne w cyklu *Krzak dzikiej róży*. Jakby przez ekspiacyę za poroniony ongi „poemat społeczno-religijny" o Chrystusie, za obniżenie wiekuistych nadziemskich Idei do poziomu doktryn przemijających, — poeta, po tem odrodzeniu i przemienieniu wnętrznem, podjął, przedewszystkiem, raz jeszcze temat tragedyi golgockiej. Ale jakże inaczej zarysowuje mu się on teraz! Krzyż nie na pod-jerozolimskiem „wzgórzu śmierci," lecz na niedostępnej jakiejś zda się królować wyżynie, w magicznych ciszach najwyższych Dokonań, a niby dokoła niego, lecz tak nieskończenie odeń daleko, trzy światy, lub raczej trzy stopnie świata ludzkiego zwierciedlą w różne sposoby przełomową Ofiary chwilę. Jak gdyby jakiś olbrzymi fresk Orcagni o czterech kondygnacyach. Najniżej, mistrzowsko uwydatniony w barwnym, rodzajowym obrazie tłuszczy towarzyszącej boskiemu skazańcowi na miejsce kaźni, świat zmysłowy: panowanie instynktów, rozpasanie żądz, zbestwienie złości i nienawiści, królestwo bezmyślności lub obłudy, szulerska gra w liczmany „ideałów," powoływanie się bezwstydne na wieszczów i proroków, bluźniercze przyzywanie Boga na pomoc i niejako do spółudziału w swych chuciach i nienawiściach. Niebrak i dodatnich napozór czynników: „przekonań," „wiar," „patryotyzmów," „zdrowych rozsądków," „uczoności," chwiejnych, małostkowych „dobroci," — ale wszystko to pla-

skie, płytkie, przyziemne, krótkowzroczne, i skutkiem tego równie do dobra, jak do zbrodni doprowadzić zdolne. Jednem słowem, poziome targowisko ludzkości, która zapomniawszy o celach wiekuistych, *propter vitam vivendi perdidit causas.* Wyżej, ponad niemotą tego zgiełku, ponad martwotą tego życia, — świat ducha na ziemi, świat myślących, czujących, pragnących, wyrywających się poza widnokręgi zmysłowe, wzbijających się i opadających znowu, *ecclesia militans* ducha w walce z ograniczonością cielesną, świat tych nielicznych, dla których życie ziemskie jest nie celem, lecz środkiem tylko, zobrazowany w przepięknej platońskiej rozmowie dwóch filozofów, greckiego i żydowskiego. Jeszcze wyżej, nawet dla tych nielicznych wybranych niewidzialny i tylko niekiedy w przeczuciach niejasnych wiedzieć o sobie dający, świat tajemny, świat metafizyczny, świat symbolu, jak gdyby odsłonione i w dwoistości swej upostaciowane wnętrze istoty człowieczej na ziemi, wiekuisty dyalog duszy i ciała. Bo Lucyfer u Kasprowicza to nie żaden luby ckliwym satanistom literackim, groźnie piękny i pięknie smutny, dumny, otwarty i pewny siebie wróg dobra, współzawodnik Boga, rodziciel buntowników twórczych, „mszcząca potęga rozumu" (forza vindice de la ragione), to raczej niewolnik, co zerwał się z uwięzi i chce panować „równy przy równym," to podstępny fałszerz, umiejący działać tylko kłamstwem i złudami jakichś pozornych *infinis de la chair,* to nędzarz, który, kusząc, nawet Chrystusa, nie ma nic do obiecania prócz marnych, przemijających bogactw i rozkoszy ziemskich, to pierwiastek ciała, materyi, ograniczoności, to instynkt znikomej, doczesnej, przeciwstawiającej się nieskończeniu indywidualności człowieczej. Jest on kochankiem „duszy wygnanej z raju," t. j., duszy wcielonej, ma nad nią „nieprzemożoną władzę," bo wlewa w nią wiarę, że przy nim dopiero, t. j., w uzewnętrznieniu cielesnem, „światło dane jest jej oczom, ruchliwość jej stopom, moc jej głosowi, świeże barwy sinemu lic jej płótnu," i że w dali od niego, czyli rozstawszy się z ciałem, byłaby „niema, ślepa, nieruchoma," zdolna tylko do straszącego żywych w miesięczne noce jęku, do błądzenia, do upadku. Nie ufa jednak sam w moc swej władzy, pyta wciąż duszy, czy w niego wierzy, a gdy ta, po spełnieniu się tragedyi golgockiej, zwątpiała, zrozpaczona mniemanem zgaśnięciem nadziei, która przed chwilą już ją wyrywała z objęć kłamliwego kochanka, rzuca się w nie napowrót,*) słyszymy raz jeszcze jakiś trwożny, błagalny, niepewny, czy długo potrwa to pod-

*) A nie znaczy to bynajmniej „spazmu miłości," „osobistej, wątłej pieszczoty," jak ze śmieszną wprost literalnością zrozumiał jeden z krytyków, lecz powrót do życia

danie się, wykrzyk Lucyfera: „Duszo! duszo! duszo!" I finał ten otwiera perspektywę jeśli nie na jakiś przyszły tryumf ducha, to w każdym razie na możebność i nawet pewność dalszej walki... Takie pojęcie szatana, najbardziej, nawiasem mówiąc, zbliżone do prastarych tradycyj wiedzy tajemnej, musiało zbić z tropu amatorów bohatersko-pozerskiej demoniczności. Szatan Kasprowicza był dla nich niedość „strasznym" i takim pięknym, że wydała im się zbyteczną „obawa przed jego knowaniami," w które nawet „tak bardzo uwierzyć nie mogli." Ponętny on, istotnie, i uroczy, jak ponętną i uroczą jest sfera cielesno-zmysłowa z jej liniami, kształtami, barwami, światłami, tonami, aromatami, ale straszny, straszniejszy niż w jakichś specyalnych, teatralnych atrybutach grozy, właśnie dla tego, że wślizguje się niepochwytnie, że, nim się spodziać można, zmusza do kochania siebie, że skutkiem tego przykuwa do rzeczy przemijających, a zasłania oczom duszy wiekuiste. Szatan u Ropsa miażdży ironią i brutalnością, bo w dziedzinie płciowości absolutnym jest panem. W szerszej daleko koncepcyi Kasprowicza, bywają chwile, że szatan drży, by dusza się nie wyzwoliła, a on nie wrócił w pęta niewolnika.

Potężna i głęboka ta treść filozoficzna, znikąd niezaczerpnięta, lecz wyczuta intuicyjnie przez poetę, musiała, z chwilą uwyraźnienia się ostatecznego, przybrać i kształty jedyne, doskonałe. Przedziwną jest architektonika poematu, gdzie zasadniczo różne trzy światy: widziadlany, intelektualny i realno-zmysłowy, przewijają się i splatają nieustannie, nietylko nie przeszkadzając sobie wzajemnie, lecz przeciwnie, harmonijnym wydźwiękając akordem. A każdy z nich ma jednak niesłychanie intensywny, własny ton i charakter: przeciągła żałosna psalmodya nawoływań, skarg i westchnień duszy przeciwstawia się lapidarnemu dyalogowi dwóch myślicieli; ten znowu odbija, niby czysto liniowy rysunek, od jaskrawych plam, któremi poeta odmalował zgiełkliwą tłuszczę. Ogromna prostota linij i ekonomia szczegółów, niesłychana acz szlachetnie powściągliwa potęga ekspresyi, język wreszcie tęgi, soczysty, a giętki i podatny, — uzupełniają tamte cechy i składają się na jedno z najbardziej *nieomylnych* wcieleń poetyckich — nietylko w naszej literaturze.

Dalekiem echem ozwał się u Kasprowicza raz jeszcze ten sam

---

czysto ziemskiego z odrzeczeniem się tęsknot i pragnień metafizycznych, do zadowalania się dostępną zmysłom „rzeczywistością," do poziomej *joie de vivre*, „której nie spłoszy żaden syn boży," żadna Idea, żadna — jak się dziś mówi — mrzonka metafizyczna, żaden wzlot zaświatowy.

temat dwoistości natury ludzkiej w późniejszej znacznie *Maryi Egipcyance*. Echo to wszakże już czysto uczuciowe: niemasz tu filozofii, niemasz symbolicznego postaciowania dwojakich pierwiastków duszy ludzkiej. Tylko „biedna grzeszna Maryja" wędruje przez świat niezmordowanie za widziadłem, za wieścią głuchą, za czemś, czego zmysły znaleźć nie mogą. I przemagają instynkta cielesne, i zapomina o swem zaświatowem pragnieniu, i oddaje się cała życiu, żądzom, rozkoszy, i znowu porywa się, oszalała tęsknicą niewysłowną, i znowu upada, i kaja się, i bluźni, i wlecze się znowu z rozpaczą i skruchą wśród nędzy i skwaru, i chwieje się tak życie całe, i nie znajduje ukojenia — aż w śmierci. Przedziwna ta, w prostocie, naiwności i gorącości swej, elegia nostalgiczna przechodzi pod koniec w płomienny, wizyonerski, ekstatyczny dytyramb pragnienia metafizycznego, tak potężnego, że przemaga ono nawet reakcyę cielesności, zwycięża Lucyfera i porywa go z sobą ku sferom nadzmysłowym. Ten rys ostatni, w tajemniczości swojej, zbiega się z inną głębią magiczną, którą poeta, w *Salome*, intuicyjnie zapewne odsłonił w najdemoniczniejszem rozhukaniu *cielesnej* żądzy kobiecej, że, mianowicie, zdolna ona „płomiennym mieczem swej potęgi rozżedz do wieczystego płomienia" *duszę* mężczyzny i dać jej moc „wieszczenia spraw będących ponad istnieniem."

Święty Boże i *Dies irae*, ogłoszone wkrótce po *Wzgórzu śmierci*, oraz późniejszy znacznie *Judasz*, ustępują bardzo pod względem pełni, głębi i przejrzystości tamtemu arcydziełu. Może w owym wielkim fermencie nowej, zdobytej w chwilach ekstaz nadzmysłowych, jasnowidczej świadomości z pierwiastkami dawnej świadomości zmysłowej przemogły chwilowo te ostatnie. Albo też może poeta pod jakiemiś niefortunnemi wpływami chciał „rozlewać się nazewnątrz, zamiast skupiać iześrodkowywać wszystko w sobie"; może, nie zadowalając się odsłonięciem dna duszy własnej, która przecież w najgłębszej swej głębi identyczna jest z duszą wszystkości, zapragnął jakiegoś bardziej objektywnego odtworzenia nędz, bólów, jęków, przerażeń całej ludzkości; może — w *Święty Boże* i *Dies irae* — nęciła go poprostu parafraza starych tych hymnów, uzupełniona i wzmocniona odczutemi potężnie stanami wnętrznemi śpiewających czy słuchających. Może nawet wszystko to działało jednocześnie, wytwarzając zamęt, niepewności, sprzeczności, powierzchowne przejścia i płytkie rozwiązania. Dość, że pieśni te, mimo porywających, rzadkiej mocy ekspresyj (dla których, zda się, *Święty Boże* i *Dies irae* przyćmiły nawet w oczach szerszych warstw czytelniczych poemat *Na wzgórzu śmierci*), mimo błyska-

wicznych, objawiennych rozsłonień się ku dalom i głębiom bezdennym, — w całości są chaotyczne, mętne, pozbawione wielkich, szlachetnych linij, i zdają się brzmieć nie z owych pozazmysłowych wyżyn ducha, do których poeta już zdążył nas przyzwyczaić, ale gdzieś u poziomów, pod niższemi, ciaśniejszemi niebami.

Na szczyty, i to najwyższe, wprowadzają nas z powrotem „cudotwórcze, majestatyczne dźwięki“ *Mojej pieśni wieczornej* i *Salve Regina*. W ciemnych barwach, w posępnie krwawych oblaskach tonie jeszcze uroczysta pierwszej medytacya. Ale w rozmodleniu wieczornem tych samych turni, na których poeta przeżył „złoty, lazurowy, słoneczny dzień“ ekstaz i uniesień najwyższych, wielkie zstępuje nań uciszenie. Jakieś dalekie, dalekie echa „przyczołgują się w duszę.“ Na mrocznem tle wizyj „ginącego świata,“ jasnemi arabeskami przewijają się tęskne, rzewne zwrotki chłopięcych lub nad kolebkami nuconych piosenek „o tej radości, o tem weselu, o tem cudownem, ukrytem zielu, które na smutek słodkie ma leki.“ Między wybuchy bólu, buntu, zwątpienia wplatać się zaczynają zapomniane wiary i uczucia „pokornej, cichej, nieskalanej duszy“ młodzieńczej. Smierć nie jest już przerażającym, rozhukanym kościotrupem, lecz widmową, lekką, cichą postacią, idącą „z dziedziny, gdzie miłość i spokój nie są ogniem trawiącym, ani zabójczą tęsknicą, ani kamiennem, ślepem przerażeniem.“ Siostra to już prawie ukochana z *Hymnu św. Franciszka,* wybawicielka, przez którą człowiek staje się szczęśliwym uczestnikiem nieśmiertelnego żywota.“ I ból zmienia się w zbożną rezygnacyę, bunt — w skruchę męzką. „Świat niech się kaja, lecz niechaj nie ginie.“ Wszystkie te głosy, niby w fudze potężnej, przebiegają różne tonacye, dościgają się i luzują wzajem, a na dnie ogólnej ich harmonii majaczy jakby przeczucie nowego głosu, jeszcze nieużytego, ale który wyraźnie brzmi już w duszy twórcy, — głosu wyzwalającej, zbawczej, zwycięzkiej Tęsknoty. — Nadziemskim, tajemnic pełnym hymnem *Salve Regina,* na lutniach i harfach „naciągniętych na tony wieczyste,“ przesłodkim i bolesnym zarazem, tragicznym i weselnym, pogrzebnym i zmartwychwstannym, — pozdrawia poeta tę Panią świata, tę odkupicielkę, przez którą wąż, co przyniósł na ziemię śmierć, i lęk, i rozpacz, został podeptan na wieki, tę „druchnę bożą,“ wiodącą światy „niby na wielki bój, w którym się wszystko ma złamać, co było Życia wielkiego przeczeniem.“ Boleśnie, tragicznie brzmi pieśń, bo straszliwie człowiek łamać się musi, przemódz całą cielesność, poznać nędzę wszystkiego na ziemi, „nędzę miłości i nędzę cierpienia,“ — aby wianek oliwny na skroni samotnej jego tęsknoty w promienny

gwiazd przemienił się wieniec, aby kielich goryczy w jej ręku wionął wonią słodkiego napoju wieczności, aby czarny krzyż bólu na jej wątłych ramionach w skrzydła się zmienił anielskie i uniósł ją „ku blaskom, lśniącym nad nocy głębiami, ku onym dusz milionom, o których tutaj dawno zgasła wieść.“ Ale gdy to się stanie — i tu poeta w weselne, tryumfalne uderza dźwięki, i wszystko tonąć zaczyna w smugach ognistego złota, w bielach liliowych, w promienistościach niebiańskich — tęsknota przestaje być samotną, indywidualną, staje się wieczystą bytu Tęsknotą, a pieśń, którą pośród miliona dusz śpiewa z białą lilią u łona,

nie o świątynne łamie się sklepienia,
ale przez pola idzie, wielkie pola,
i zmartwychwstanie zmarłym daje kościom,
i we wiosennym uśmiecha się blasku,
i śnieg na łąkach roztapia,
i zwiędłe trawy w świeżą stroi zieleń,

i wszystko ogarnia w jedni bezgranicznej,

i w wielkie rozlewa się morze,
wszechmocnych pełne zapomnień,
i zbawiających pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień szczęścia,
którego ludzkie nie widziało oko,
o którem ludzkie nie słyszało ucho.

Najwyższe te, niemateryalne już prawie koncepcye ujawniają się u Kasprowicza w tak przejrzystych i wyrazistych wizyach, że drugi przykład podobnie nieprawdopodobnych wcieleń mógłby się znaleźć chyba w niektórych pieśniach *Raju* Dantejskiego lub w *Widzeniach* św. Teresy. O *Salve Regina* i o *Wzgórzu śmierci* studya by całe pisać można; na tem sprawozdawczem miejscu, z konieczności do najogólniejszych uwag i zaznaczeń musieliśmy się ograniczyć.

Słów tylko jeszcze kilka o formie najzewnętrzniejszej. Kasprowicza zajmowała zawsze bardziej muzyczna strona wiersza, niż plastyczna. Jest w tem nieco dziedziczności plemiennej, ale też i wyraźna skłonność osobista, skoro nie dał się pociągnąć współczesności naszej, zaniedbującej bardzo często rytm, tę, rzecby można, istotę poezyi, na rzecz plastyki lub wyrazistej ekspresyi. W dawniejszych utworach korzystał przeważnie z bardziej znanych strof i całkowitych postaci poetyckich — i trudno przytoczyć jakąś, którejby

nie próbował lub nie przekształcał po swojemu. W *Miłości* wszakże dopiero, poprzez oswobodzone od podziału na strofy rytmy kanconowe, doszedł do najlepiej, zda się, odpowiadającego mu wiersza wolnego *(vers libre)*, w którym rządzi już wyłącznie rytm, tak się mający do podziałów na stopy, części i t. p., jak rytm w muzyce do do taktu. Tym wierszem, w cyklu *Z gór*, osiągnął prawdziwe cuda — i pierwszy po Asnyku, który oddał całą plastykę Tatr, stworzył z tegoż tematu coś nowego, mianowicie, muzyczną ich transpozycyę. Asnyk odtworzył ogrom, brzemię, materyalność gór naszych, Kasprowicz ich linię, ich ruch, ich darcie się czy wzbijanie w górę. Zwracamy uwagę na jeden choćby ustęp o juhasie, rzucającym ze skraju krzesanicy radosny wykrzyk: o haj! Cała dusza Tatr w małym tym urywku. — Kasprowicz nie porzucił wcale regularnych form poetyckich przez niechęć do „barbarzynskiego zabytku skostniałej poetyki klasycznej" (jak mu w banalnie nowatorskim frazesie imputował jeden z krytyków). Jeżeli zaczął pisać wierszem wolnym (nie białym, jak sądził tenże krytyk), to dla tego, że on mu w danej chwili bardziej od innych odpowiadał. Nie zarzekał się jednak bynajmniej starych form, powracał do nich niejednokrotnie (w tejże *Miłości*, w *Krzaku dzikiej róży*), wymagając od poezyi czegoś innego niż prostego odróżniania się od poezyi poprzedników. Ostatnie swe poematy pisał czysto rytmicznym, tu i ówdzie rymowanym, gdzieindziej asonansowanym, jeszcze indziej zupełnie białym, a tak bezwzględnie wolnym wierszem, że nie chciał sobie nakładać nawet jarzma obowiązkowej nienawiści do starych form i, gdzie mu było potrzeba, używał ich z całym spokojem (np. w hymnie do Boga w *Mojej pieśni wieczornej*, albo nawet w calej *Maryi Egipcyance*). Ważniejsza rzecz, iż modyfikował i reformował ten swój wiersz wolny — i od prostej melopei w cyklu *Z gór*, i nawet w niektórych ustępach *Wzgórza śmierci*, przeszedł do tego, co nazwałbym orkiestracyą całości poematu. Byłby to znowu ciekawy przedmiot do szerszego rozbioru, w którym mogłoby się okazać, że hurtowne podciąganie inowacyj Kasprowicza pod rozwiązujący jakoby wszystko wpływ wagneryzmu, jest — co najmniej — zdawkowym frazesem. Na razie jednak musimy się zadowolić prostem stwierdzeniem, że, po pewnych niedoskonałościach przy pierwszych krokach, tem bardziej uderza mistrzowstwo skończone w dalszych utworach, a zwłaszcza w *Salve Regina*.

Miriam.

POWIEŚĆ

Wł. St. Reymont. *W jesienną noc.* Warszawa. Nakł. Gazety Polskiej. — St. Przybyszewski. *Na tym padole płaczu.* Warszawa. Fiszer. — St. Przybyszewski. *Homo Sapiens. Na rozstaju.* Lwów. Księgarnia Polska. — Adolf Dygasiński. *Łabędzia woda.* Warszawa. Mieczyński. — A. Dygasiński. *Margiela i Margielka.* Warszawa. Fiszer. — *Nowele,* przez Janinę Baudouin de Courtenay. Warszawa. Br. Natanson. — Mieczysław hr. Piniński. *Szkice z życia wiejskiego.* Lwów. Altenberg. — Jan Augustynowicz. *Pociągnięcia pendzlem.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Stefan Krzywoszewski. *Zmierzch.* Petersburg. Grendyszyński. — St. Krzywoszewski. *Pani Jula.* Warszawa. Bibl. dzieł wyb. — *Wybór nowel francuskich.* Przekład Jana Lorentowicza. Warszawa. Bibl. dz. wyb. — Rudyard Kipling. *Księga Dżungli.* Warszawa. Wł. Okręt. — Multatuli. *Osobistość jego i wybór pism.* Podług W. Spohra, opracowała M. Feldman. Warszawa. Wydawnictwo Przegl. Tygodn. — Ant. Fogazzaro. *Malombra.* Przekład Szeta. Bibl. dz. wyb. — M. Mutermilch. *Ironia.* Kraków. Skł. gł. Gebethner i S-ka. — M. Rodziewiczówna. *Błękitni.* Warszawa. Bibl dz. wyb. — Jan Mieroszewicz. *Zginęła głupota!* Warszawa. Dubowski. — S. M. Roguski. *Mąż i pan.* Tamże. — N. Bardzka. *Utopista.* Warszawa. Sadowski. — J. A. Hertz. *Z teki wrażeń.* Kraków. Gebethner i S-ka. — Teodor Jeske Choiński. *Trubadurowie.* Warszawa. Bibl. dz. wyb. — Artur Gruszecki. *Na wyścigach.* Tamże. — Artur Gruszecki. *Większością.* Tamże. — Artur Gruszecki. *Zwyciężeni.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Artur Gruszecki. *Nowy obywatel.* Tamże. — Knut Hamsun. *Wiktorya.* Przekład M. Cumpft-Pieńkowskiej. Tamże. — Rene Bazin. *Rodzina Oberlé.* Tamże. — Trzaska. *Panna Żabińska.* Warszawa. Gebethner i Wolff.

W jesienną noc, przez Wł. St. Reymonta. — Zbiorek ten, szczupłych rozmiarów, zawiera całe ogromy treści, królewski, swobodny przepych nastrojów — i znaczy w twórczości artysty godzinę wyższego uświadomienia, tę, ktora „chwile przedłuża“ i „iskry rozpala“ w przeciągle błyskawice widzeń Bezkresu. — Składa się nań ośm zwięzłych utworów, niektóre wartości pierwszorzędnej. — Wyrywa się z nich z ostateczną jakąś potęgą zasadniczy rys organizacyi ich twórcy: elementarna bezpośredniość czucia, bezustanna i rwąca wymiana życia między jego duszą i duszą świata, dochodząca niekiedy aż do zniesienia wszelkich granicznych osłon i podziałów zmysłowych i pojęciowych — aż do zupełnej jedności jakiegoś bajecznego, wieczystego odmętu, którego rozedrganą stubarwność chwyta źrenica autora z żywością i niezdumioną prostotą dziecka. — Pod względem zewnętrznym uderza niewidziane u niego dotychczas skupienie, dostojność twórcza, gardząca łatwem wirtuozowstwem, doborowość szczegółu *koniecznego,* linia mocna, pewna i wstrzemięźliwa, — wreszcie styl magicznie ujarzmiony, doskonale giętki, posłuszny w każdym swym załamie wibrującej bez wytchnienia wyobraźni. — „W jesienną noc“ i w „W porębie“ są obrazami chłopskiej gehenny, pełnemi tęgiego epizmu, grozy i dławiącej melancholii. — W „Legendzie Wigilijnej“ posęp spleenowy ustępuje miejsca osobliwemu humorowi,

w którym głębszy, filozoficzny prawie uśmiech z upodobaniem szkicuje chłopską dobroduszną finezyę. „Przy robocie“ ma w sobie grozę i wiekuiste znękanie piekła i olśniewa błyskawicami wprost wizyonerskich szczegółów. — „Krzyk,“ — sen róż i krwi, zrodzony z szumu morza w żar południowy, — tajemniczy, ociężały wykwit miłości, chaosu boleści i upojeń nienazwanych. — „W głębiach“, epizod z czasów cezaro-chrześciańskich, ma rozmach, koloryt i pewność linii znakomitego szkicu i jest jakby utrwaleniem mar, błądzących pustkowiem Kampanii Rzymskiej. — Lecz pozostałe dwa utwory: „O zmierzchu“, niewysłownie piękny, rozdzierający dramat konania, i „Venus“, synteza Idei i chaosu w postaci huraganu pustoszącego park z posągami bogów, — są już wprost wspaniałemi w swej zwięzłej całkowitości, w swem kwintesencyonalnem skupieniu, w swym wielorakim i bezpośrednim symbolizmie, poematami Życia i Śmierci, dziełami najczystszego natchnienia, tych wniebowzięć ducha, w których twórca, panując nad zasadami zjawisk, zjawia się w Prosperowej chwale czarodziejstwa.

Na tym padole płaczu, przez Stanisława Przybyszewskiego. — Jedna z najpiękniejszych (wraz z „Nad morzem“ i „W godzinie cudu“) symfonij poetyckich tego artysty, wolna od późniejszej maniery, bezwzględnie szczera w swym demonicznym locie po nierozerwalnie zaślubionych ziemi i zaświeciu. — Nieodżałowaną krzywdę wyrządziły jej: tłómaczenie, niedbałe zarówno w równoważnikach słowa jak rytmu, — oraz częste i nieusprawiedliwione zmiany tekstu, wskutek czego oryginał niemiecki uległ osłabieniu. — Lichość jednak przekładu (domagająca się nowej próby) nie zdołała całkowicie zgłuszyć tego przejmującego psalmu, ani zgasić przepychu tej olbrzymiej tęczy tęsknoty, rozszczepionej na wszystkie swe barwy, od najbardziej gwiaździstego lazuru wszechmarzenia, aż do najczarniejszych fioletów zmysłowo rozpasanej żądzy.

Homo Sapiens. Na rozstaju, przez St. Przybyszewskiego. — Pierwsza z trójcyklu i najmniej dobra powieść autora. Wogóle powieść, jako forma twórczości epiczna, nie odpowiada nawskroś lirycznemu temperamentowi artysty, który odnajduje swój żywioł rodzimy dopiero wtedy, gdy ogniem natchnienia przetopi jej granity na rwące lawy uczuciowe. — Stan wulkaniczny zdaje się być zasadniczym warunkiem jego potęgi twórczej, czego dowodzą z równą siłą jego arcytwory swem królewskiem nieraz pięknem, i — w sposób negatywny — jego twory poronione; tutaj bowiem spotykamy się z niedbalstwem epicznem oraz z przykrą nader *„forsą“*. Autor wysiłkiem woli stara się w nich dopiąć tej niezbędnej mu miary

patosu, i w braku płomieni, płynnego metalu, wyrzuca z siebie popiół i żużle. — Obie te wadliwości spotykamy w „Na rozstaju“, słabej jako całość, uratowanej kilku silnemi wybuchami lirycznemi (np. ostatni szał tryumfalny Falka). — Tło traktowane pogardliwie, osoby drugoplanowe mają w sobie niedołęstwo manekinów, postaci główne chybione, urągają widocznemu założeniu. „On“ jest mniej „demonicznym“ samcem, niż zwykłym, „porządnym“ szubrawcem; — „ona“ raczej nie-do-wszetecznicą, niż królewską zdobyczą. — Nieskończoną krzywdę wyrządziło powieści tłómaczenie wprost bezwstydne.

Łabędzia woda, przez Adolfa Dygasińskiego. — Jedna z wielu barwnych przenośni światopoglądu autora. — Pełny ruchu obrazu życia stawu i młyna, zaludniony, trzema podstawowemi dla filozofii autora instynktami życiowemi: głodu, miłości i przemocy pod postacią skąpego i despotycznego młynarza, zakochanych i przez miłość pracujących córek i czeladników, zwierząt domowych i dzikich (jak zwykle wybornie zindywidualizowanych), oraz burzy, która niszczy owoc pracy, ale wyswobadza jej motor: duszę).

Margiela i Margielka, tegoż autora. — Jedna z przeciętnych twórczych odbitek autora, mistrza w odtwarzaniu społeczności chłopskiej. — Niższa od „Łabędziej wody“ jako całość, bardziej w zygzakach drogi i jej zaułkach zgubiona, ma jednak momenty prawdziwie piękne (np. opis chaty na Pomarlu, spotkanie na łące, w nocy, matki i córki), sceny charakterystyczne znakomite, i promienieje podwójnym humorem: uśmiechem ust, jowialnym, szorstkim, rubasznym, i oczu, z których nieraz wyziera jakby łza.

Nowele, przez Janinę Baudouin de Courtenay. — Umysł i wyobraźnia autorki obracają się w horyzontach względnie rozległych, reakcya jednak twórcza, wskutek zaniedbania samoistnych przetrawień, a także wskutek konstytucyjnej jakby wątłości talentu, jest słaba, nikła, blada. Najwznioślejszy temat nie okupi nieudolności wykonania, pogłębi jedynie przepaść, dzielącą intencyę od czynu. Najpotężniejsza idea zostanie martwym w organizacyi duchowej materyałem, jeżeli nie ulegnie w niej potężnemu procesowi samoistnej asymilacyi: takim zaś, nieprzerobionym, surowym, zewnętrznym jest wpływ na autorkę literatury psychologicznej, społecznej i mistycznej. — Ztąd może wypływa i brak siły, zarówno w wybuchach jak ekstazach, niedołęstwo dramatyczne i dyalogowe (oh, te dyalogi! raczej ustna korespondencya), rozwlekłość i bladość „wiwisekcyi.“ — W stronie formalnej razi chroniczne powtarzanie jednych i tych sa-

mych słów w celu spotęgowania siły (cuda — cuda, ów — ów i t. p.), niekiedy aż *po cztery* razy.

Szkice z życia wiejskiego, przez Mieczysława hr. Pinińskiego. — Cztery „obrazy z życia“ dworów, chat i mieścin żydowskich, najzupełniej chybione pod względem wnętrznej całkowitości i kompozycyi, rozerwanej, przeładowanej szczegółami, tłoczącemi się na pierwszy plan, niszczonej brakiem perspektywy i proporcyi międzyrzeczowej. -- Po za tem obiecujące jako zadatki przyszłościowe: bystra, samorzutna i oryginalna spostrzegawczość, silny temperament humorystyczny, grzeszący jednak brakiem finezyi i kładący zbyt często kropki nad i, — nerw pisarski niewątpliwy, choć gubiący się w rozwlekłości, skrępowany ciasnotą widnokręgów duchowych, banalnością ideową, barbarzyńską surowością kulturalną, lecz żywotny i jędrny i w rozwoju swym zależny jedynie od faktu istnienia lub nieistnienia w artyście *woli do sztuki prawdziwej.*

Pociągnięcia pędzlem, przez Jana Augustynowicza. — Zbiór lichych i niepozbawionych pozy, nudnych nowel i jeszcze lichszych „nastrojów.“ Niedbała bierność, dająca się zaśmiecać cudzym rytmom i nawet zwrotom stylowym. — Rozwlekłość sentymentalnej baby i, na urągowisko tytułowi, brak poczucia malarskiego i wogóle artystycznego. — Poziom duchowy filistra w dwudziestej „wiośnie“ życia, obowiązującej do „ideałów,“ a przynajmniej „dreszczów.“ — Przebłyski talentu i szczerości w scenach brutalnie zmysłowych, dzięki którym od reszty nowel dodatnio odbija „Potępieniec.“

Zmierzch, przez Stefana Krzywoszewskiego. — Próba odtworzenia życia miejscowych sfer pieniężnych i jego tła, z wyraźną lecz niedouskutecznioną intencyą typowości, syntezy. — Pewna intuicya artystyczna i psychologiczna, swobodny wdzięk i świeżość ujęcia. — Rytm stylu wzięty u batuty Sienkiewicza, co, w połączeniu z dużą i niebezpiecznie do powierzchowności skłonną łatwością obrazowania, stwarza potoczystość monotonną i nadaje utworowi pokostowe lśnienie banalnej wprawy pisarskiej. — Z powodu małego pogłębienia, przy dbałości o zewnętrzną elegancyę, rażące nieraz błędy smaku.

Pani Jula, tegoż autora. — Próba przedstawienia nowożytnego dramatu małżeńskiego, kształtującej się nowej proporcyi psychologiczno-płciowej. — Wyraźnie wzrastająca, lecz wciąż niedostateczna świadomość i intencya skupionej punktuacyi artystycznej. Podwójne zjawisko: umiejętnego karczowania dróg akcyi aż do zbieżnego momentu katastrofy, — i nagłe cofanie się, rozluźnianie napiętych strun, wykręcanie się sianem, jakoby niemoc dobycia wybuchu z nagro-

madzonych materyałów palnych. — Wpływ beletrystyki paryskiej chwilami zbyt zewnętrzny, niewolniczy.

Wybór nowel francuskich, przełożył Jan Lorentowicz. — Tłómacz ma podwójną i rzadką u nas zasługę starannego przekładu i doboru rzeczy przełożonych. — Pierwszorzędni pisarze francuscy (Hello, Lemaître, France, Schwob, Rachilde, Villiers de l'Isle Adam) są w tym zbiorku reprezentowani przez utwory krótkie, lecz mikrokosmowo-typowe, — i zindywidualizowani tłómaczeniem twórczem, t. j., duchowo, nie zaś literalnie identycznem.

Księga Dżungli, przez Rudyard'a Kipling'a. — Przekład szachrajski, samowolnie skrócony, a przytem zgoła niepotrzebny, wobec istniejącej już, nieskończenie wyższej pracy Czekalskiego, której nakład wyczerpany wartoby powtórzyć ze względu na wielką piękność dzieła.

Multatuli. Osobistość jego i wybór pism. Wedle W. Spohra, opracowała Marya Feldman. — Na giełdzie wartości ludzkich nikt nie pomyśli o postawieniu w jednym rzędzie wynalazcy udoskonalonej sieczkarni i Krzysztofa Kolumba, — szczęśliwego twórcy „Odolu" i Roentgen'a. Podobnie rażące błędy są jednak zjawiskiem codziennem w bilansach Sztuki, gdzie Klinger'ów wieńczą wawrzynami Böcklin'ów, i Nietzsche'om przeciwstawiają Multatuli'ch. Szlachetna ta bezwątpienia, uzdolniona, lecz jednostronna postać działacza, z pięknym lecz nieprzemyślanym instynktem słuszności etycznej, — od wielkich pochodni ludzkości różni się tak bezdennie, jak ślepa latarka od gwiazdy, jak Brutus od Cezara. — Podobieństwo zaś *losu*, bohaterstwo ideowe, nędza ztąd wypływająca i brak zrozumienia — uprawniałyby jego, tendencyjnych zresztą, impresaryów jedynie do zamieszczenia go w zaszczytnej, choć nielicznej i skromnej kategoryi ludzi poprostu *uczciwych*. — Ztąd zaś do mądrości i geniuszu jeszcze kawał drogi.

Malombra, przez Ant. Fogazzaro, przełożył Szet. — Mikstura w stylu epigonów romantycznych, przyrządzona na zasadzie pseudoidealizmu, grasującego współcześnie pod chorągwiami rozlicznych i pozornie obcych sobie „izmów." — „Straszna historya," nie bez, tu i ówdzie, błysków talentu, przepełniona szczegółami drogiemi podlotkom i subjektom, jak: „demonizm," „anielstwo," spirytyzm, romansowość, katastrofy; jaskrawy po większej części oleodruk, doskonały do wylepienia skrzynek wiejskich mołodyc. — Przyswojenie jej naszemu piśmiennictwu było, oczywista, zbyteczne.

Ironia, przez Michała Mutermilcha. — Zbiór nowel „realistycznych" oraz „samokrytycznych" „kartek z pamiętnika."—Zbyt niewol-

nicze parafrazy ogranych w literaturze francuskiej motywów, związane w cyklową całość nicią zewnętrznej i często naciąganej intencyi „ironicznej.“ Radzimy uważniej wsłuchiwać się w głos „tego surowego Dajmona, który siedzi w duszy“—że użyjemy miarodajnych słów autora.

Błękitni, przez Maryę Rodziewiczównę. — Przejaskrawiona i zmanierowana malatura na usługach idejki, uporczywej jak maniactwo, której się talent autorki, zamaszysty i dosadny, uchwycił jak brzytwy, tonąc w próżni własnego, zdziczałego mózgu.

Zginęła głupota! przez Jana Mieroszewicza. — Tytuł pocieszający, lecz kłamliwy. — Nic wspólnego ze Sztuką nie mająca denuncyacya społeczna, której właściwą i skuteczną formą byłyby akta sądowe. — Autor zapewne nie zdaje sobie sprawy z różnicy, dzielącej trywialność podobnych „szkiców z natury“ od dostojeństwa Satyry, obojętnej na *osobistości* i zwalczającej jedynie reprezentowany przez nie pierwiastek *zła*.

Mąż i pan, przez S. M. Roguskiego. — Rzecz mieści się cała w „fabule,“ do tego banalnej. Brak wyrazistości, przy tendencyi do przesady brutalnej. Koniec upiększony łezką gorzkawej kondolencyi dla smutków życia.

Utopista, przez N. Bardzką. — Jedna z wielu „powieści“ wiejskich tendencyjnych, pisanych w myśl maksymy: „chęć starczy za uczynek,“ która rozgrzesza twórcę od wszelkich powinności względem sztuki popularną „zacnością“ idei.

Z teki wrażeń, przez J. A. Hertz'a. — Bezbrzeżne niedołęstwo, poślubione opłakanej pozie „dekadenckiej.“

Trubadurowie, przez Teodora Jeske-Choińskiego. — Niesmaczne i skończenie niedołężne uscenizowanie znanych przekładów E. Porębowicza, — ze względów snadź sumienności nietyle autorskiej, ile historycznej, tak ściśle, bez najlżejszej chęci odstępstwa, żywcem poprostu przeniesionych we właściwą „autorowi“ wodnistość stylu.

Na wyścigach, przez Artura Gruszeckiego. — Zdumiewające jest podobieństwo twórczości autora do jednostajnie szemrzącej, nieprzerwanej obfitości odkręconego kurka wodociągowego; wyładowuje się ona ze stałym, olimpijskim, rzec można, spokojem, niezależnie od tragizmu lub wesołości opisywanych zdarzeń. W formie przeważa dyalog, godny „metod“ Ollendorfa.—W powieści niniejszej, takim dyalogiem podjęta została niedołężna, oczywiście, próba przedstawienia „całej Warszawy.“ 2 tomy.

Większością! przez tegoż.—Podobnie udyalogowany, wodociągowo-obfity raport o stosunkach wyborczych galicyjskich. — 3 tomy.

Zwyciężeni, przez tegoż. — Udyalogowany raport o stosunkach niemiecko-śląskich. — 453 strony wody.

Nowy Obywatel, przez tegoż. — Tylko 259 stron dyalogu.

Wiktorya, przez Knuta Hamsun'a. — Jedna z mniej ważnych powieści genialnego Norwega; — znowu to samo zjawisko selekcyi negatywnej. — Tym razem przekład bardzo poprawny, w którym aromatyczny urok twórczości autora wonieje świeżym zapachem doskonale przegruntowanych kwiatów.

Rodzina Oberlé, przez René Bazin'a. — Obraz ścierania się prądów różnoplemiennych na terenie alzackim. — Dużo świeżości i wdzięku krajobrazowego. — Rzecz pod względem patosu narodowego słabsza od wielu swojskich w tym rodzaju; więc w tłómaczeniu zbyteczna.

Panna Żabińska, przez Trzaskę. — Sześć nowel, a raczej materyałów na nowele, zaledwie tu i ówdzie obciosanych. — W „Oborze zarodowej" filuterya i gruby, brzuszny śmiech szlagoński, który w „Filozofie" nabiera pewnej rubasznej ostrości humorystycznej.

Włast.

SZTUKI PLASTYCZNE.

Kolekcyonerstwo dzieł sztuki. *(Dokończenie)*. Krótkie te uwagi pozwalają już zrozumieć i ocenić ogromną doniosłość ruchu, jaki w ostatnich czasach zaczął budzić się między kolekcyonerami miejscowymi. Zamiłowanych zbieraczy nie brakło nam nigdy. O dawniejszych, kolekcyonujących dzieła sztuki obcej, gdy własnej jeszcześmy prawie nie mieli, świadczą europejskie, pierwszorzędne galerye Czartoryskich, Działyńskich, Raczyńskich, Radziwiłłów, Broel-Platerów i innych. Wcale okazałą liczbę nowszych, sztuce swojskiej wyłącznie prawie już oddanych, stwierdzają choćby tylko katalogi retrospektywnych wystaw sztuki polskiej we Lwowie (1894) i w Warszawie (1898). A było pierwszych (jak dowiodły wystawy prowincyonalne w Kaliszu i Lublinie) i jest drugich (jak mieliśmy niejednokrotnie sposobność sprawdzić osobiście) jeszcze daleko więcej. Wszystkie te zbiory wszakże, dla braku udostępnienia należytego, nie wywierały żadnego prawie wpływu. Pomimo znacznych bogactw artystycznych, posiadanych w kraju, kultura estetyczna upadała w sposób, zaiste, opłakany, a zobojętnienie dla sztuki do ostatecznych dochodziło granic. Sztuka dawna tak dalece przestała ko-

gobądź obchodzić, że otwarcie (w 1901 r.) niewielkiego, źle pomieszczonego, w zdawkowy nieco katalog zaopatrzonego, ale posiadającego cały szereg pięknych i ciekawych dzieł wielkich mistrzów, muzeum przy placu teatralnym, niczyjej, nietylko pośród publiczności, ale i pośród krytyków sztuki, i nawet pośród artystów, nie zwróciło uwagi. Z nowej sztuki obcej, prócz wielkich „maszyn“ Benliure'ów, Rochegrosse'ów, Pradillów, Brożików i t. p., nic do nas prawie nie dochodziło. Tam, na zachodzie, mogły zjawiać się, walczyć, zwyciężać plein air'y, impresyonizmy, prerafaelityzmy, mogła sztuka japońska swe odradzające wywierać wpływy, mogły olśniewająco rozwijać się sztuki graficzne, — u nas nic się o tem nie wiedziało — i w łat dwadzieścia po faktach dokonanych miejscowi krytycy (i nawet artyści) zdolni byli, dajmy na to, ujrzawszy nagle japońskie drzeworyty, występować przeciwko nim z pacanowskiem zacietrzewieniem „w obronie sztuki swojskiej“. O mniemanem znów interesowaniu się ową sztuką własną, krajową, świadczy wyraźnie i dobitnie fakt, iż dwa epokowe zdarzenia, jakiemi były wystawy retrospektywne, lwowska i warszawska, wywołały w „przeestetyzowanem,“ jak się u nas mówi, społeczeństwie jedną tylko oryginalną pracę: *Katalog* prof. J. Boloza-Antoniewicza, jedno przebranie tegoż katalogu w przyobszerne nieco Mutherowskie szatki (*Sto lat malarstwa polskiego* przez d-ra J. Mycielskiego) i chaotyczny zbiór encyklopedyczno-dziennikarskich wzmianek H. Piątkowskiego w *Albumie sztuki polskiej*. O odczuwaniu i ocenianiu krajowej produkcyi artystycznej niema wprost co mówić. Bazary, zwane wystawami, rozwieszały spokojnie tuż obok siebie, krytycy omawiali z jednaką powagą, publiczność oglądała z jednakiem zadowoleniem dzieła Matejków, Chełmońskich, Pankiewiczów, Malczewskich — i płótna Styków, Krzeszów, Stachiewiczów — i nikt nie pomyślał nawet, że ta szeroka dobroduszność w stosunku do „sztuki swojskiej“ równa się obeldze wyrządzanej wielkim istotnie mistrzom naszym. — Trzeba było reakcyi krzepkiej, rzeczowej, trzeba było inicyatywy energicznej, wytrwałej — i tę podjął, zbrojny swemi cennemi kolekcyami, p. F. Jasieński. Może zanadto apostolował, może zbyt utopijnie chciał nawracać wszystkich odrazu, może niepotrzebnie polemizował z kuryerkowymi i wiejskimi pseudo-znawcami, — ale w całym szeregu wystaw, na które żadna nie wśliznęła się mizerya, dał widzieć chcącym, a narzucił niechcącym taką masę istotnych dzieł sztuki, jakiej dawno u nas nie widziano. Zdumiona i oburzona, że ktoś ją śmie nauczać, Warszawa miała wtedy sposobność zapoznać się po raz pierwszy z drzeworytem japońskim, z pełnemi zbiorami rysunków

i rycin Dürera i Rembrandta (w piewszorzędnych fac-similach), z kapitalnemi miedziorytami Piranesich, z kolorowemi drzeworytami Rivière'a, z akwafortami Klingera, — a na ostatniej wystawie p. Jasieńskiego, z nader ciekawie zestawioną kolekcyą szkiców, studyów, portretów, afiszów najpierwszych dzisiejszych malarzy i rzeźbiarzy polskich. Wystawy te były zatem same przez się, dla nowości swej i wysokiej wartości artystycznej, faktem pierwszorzędnego znaczenia. Wystokrotnia wszakże ich wagę wpływ, jaki, zda się, wywarły na innych kolekcyonerów miejscowych, unaoczniając im, drogą przykładu, możliwość i konieczność przeciwdziałania — rosnącej wciąż i mogącej paraliżować sam rozwój sztuki — atrofii estetycznej społeczeństwa. Bo jakiż dawno niewidziany, wkrótce po wystąpieniu p. Jasieńskiego, ruch się budzi! Salon Krywulta zaczyna przeplatać obowiązkowe „maszyny“ artystycznemi istotnie wystawami, między innemi, czarnych i kolorowych akwafort i autolitografij, które naturalnie nie znajdują uznania u p. t. publiczności i nawet pewnym „artystom“ miejscowym wydają się poprostu rzemiosłem, lub w każdym razie czemś znacznie niższem od „malowania olejnego“. Tenże Krywult, a za jego przykładem i Zachęta, urządzają czytelnie czasopism sztuce poświęconych, co umożebnia pragnącym znajomienie się z ruchem artystycznym całej Europy. Ks. Michał Radziwiłł wystawia w salach ratuszowych (szkoda, że z celem „szlachetnym“ czy „pożytecznym“ na pierwszym planie i, co gorsza, z urządzonym dla atrakcyi plebiscytem!) bardzo piękny zbior starych mistrzów, głównie włoskich i flamandzkich, oraz sporą ilość rysunków Norblina, Orłowskiego, Płońskiego i innych, z galeryi Nieborowskiej. W T. Z. S. P., p. Kon z Mińska produkuje swą interesującą kolekcyę kolorowych sztychów angielskich. W temże T. Z. S. P. spotykamy wystawę niepozbawionego cennych rzeczy, ale nieco bezładnego zbioru różnych dzieł sztuki, będącego darem p. M. Bersona do przyszłej galeryi Towarzystwa. Gazety donoszą o innym jeszcze, bardziej systematycznym i całościowym darze do tejże galeryi, pochodzącym od p. W. Lasockiego, a złożonym ze 136 rysunków i akwarel malarzy polskich od Lampiego i Chodowieckiego aż po Malczewskiego i Witkiewicza. Wreszcie, T. Z. S. P., urzędowy nasz kolekcyoner, któremu odpowiedni paragraf w statucie zaleca tworzenie własnej galeryi, występuje, *na żądanie walnego zgromadzenia członków*, z pierwszą od chwili założenia wystawą swych, niestety, niezupełnie stojących na wysokości zadania zbiorów. Całe to, dotąd u nas nieznane ożywienie pozwala najpomyślniej wróżyć o przyszłości. Chodzi tylko o to, by się nie przerwało.

P. W. Lasocki, w liście, którym zawiadamia T. Z. S. P. o swoim darze, wyraża pragnienie, aby inni kolekcyonerzy okazywali się niemniej ofiarnymi i aby przeznaczone na przyszłą galeryę, a będące na ukończeniu skrzydło pałacu sztuki zapełniło się jak najprędzej. Pozwolimy sobie być pod tym względem nieco innego zdania. Namysł wydaje nam się tu ważniejszym od pośpiechu, jakość — od ilości. Stałe, dla szerokich warstw dostępne muzeum sztuki jest, przedewszystkiem, instytucyą mającą kształcić smak estetyczny ogółu i przeto winno zawierać, o ile można, najlepsze i charakteryzujące twórców swych dzieła. To nie kolekcya prywatna, ani materyał dla historyka sztuki, gdzie często drugorzędne nawet dzieło ma wartość, czy to dokumentu, czy wyjaśnienia estetycznego lub psychologicznego, czy, wreszcie, kompletującego pewną całość okazu. Muzeum publiczne winno być nietylko zbiorem imion artystów, lecz kolekcyą ich możebnie doskonałych, dojrzałych dzieł. Wszelkie drugorzędne utwory są tu szkodliwym balastem, psującym ogólne wrażenie i mogącym nawet sprowadzić na manowce nieprzygotowanego dostatecznie widza. Rozumiał to doskonale Hayem, gdy chcąc obdarzyć luksemburskie muzeum kolekcyą dzieł Gustawa Moreau, wybrał na ten cel z bogatego zbioru swego najpiękniejsze i najcharakterystyczniejsze rzeczy. Muzeum publiczne wygrywa na tem, jeśli nie jest zanadto liczne, a za to doborowe. Tem *National Gallery* bije wszystkie swoje współzawodniczki na lądzie stałym. To przyjąćby winni za regułę i nasi kolekcyonerzy, pragnący przyczynić się do stworzenia w Warszawie galeryi publicznej: dawać mało, lecz same rzeczy możebnie doskonałe. Natomiast, zanim taka galerya publiczna powstanie, pożądanem byłoby ze wszech miar, aby poszczególni zbieracze i miłośnicy urządzali kolejno i jak najczęściej po sobie wystawy całkowitych swoich kolekcyj. Oddawałoby to usługę — u nas, gdzie tak mało można widzieć — i artystom, i historykom sztuki, i szerszej publiczności, umożliwiałoby do pewnego stopnia zinwentarzowanie ogólne dzieł sztuki posiadanych w kraju, wytwarzało, wreszcie, bliższe i korzystne dla każdej ze stron stosunki między zamiłowanymi zbieraczami. Sądzimy nawet, iż dla wystaw tego rodzaju potrzebna byłaby pewna trwała organizacya; ktoś winienby dawać stałą inicyatywę, odszukiwać kolekcyonerów, zachęcać ich do wystawiania swych zbiorów, obmyślać kolej wystaw, być artystycznym doradcą przy układaniu każdej z nich, dbać, aby żadna nie minęła bez wyraźnych, dotykalnych korzyści w postaci katalogów, inwentarzów i nawet opracowań szczegółowszych. Stworzenie takiej organizacyi mogłoby, według nas, i powinno przypaść

w udziale Towarzystwu Zachęty Sztuk Pięknych, które, jako instytucya publiczna, dawałoby potrzebne gwarancye kolekcyonerom i nie potrzebowało walczyć z nieufnością czy niechęcią, a w nowym swym gmachu rozporządzałoby odpowiedniem do wystaw miejscem. Skłaniać je zaś do tej misyi winienby, po części, interes własny, a bardziej jeszcze — i przedewszystkiem — dobro sztuki, dla obrony którego powstało.

Z. P.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — Cezary Jellenta. *Orfan.* Kraków. Skł. gł. u J. Fiszera. — Lach. *Zygzaki.* Skł. gł. u M. Szczepkowskiego. Warszawa. — Jan Lemański. *Bajki.* J. Fiszer. Warszawa. — Tadeusz Miciński. *W mroku gwiazd.* Z rysunkami S. Wyspiańskiego. Skł. gł. u Gebethnera. Kraków. — Julius Skarlandt. *Fragmenty, versze. 1899 - 1900.* E. Weinfurtr. Praha. — Edward Słoński. *Noc.* M. Borkowski. Warszawa. — Kazimierz Woyczyński. *Z młodzieńczych snów.* Gebethner i S-ka. Kraków. — Henryk Zbierzchowski. *Impresye.* D. E. Friedlein. Kraków.

POWIEŚĆ. — Jerzy Bogurad. *Pro Christo.* 2 części. Bibl. Dz. Wyb. Warszawa. — Arne Garborg. *Utracony ojciec.* Przekład z niemieckiego. Spółka wydawnicza. Warszawa. — Kazimierz Gliński. *Cecora.* 3 części. Bibl. Dz. Wyb. Warszawa. — Franciszek Herczeg. *Gyurkovicsovie.* 2 tomy. Bibl. Dz. Wyb. Warszawa. — Franciszek Herczeg. *Gyurkovicsówny.* Bibl. Dz. Wyb. Warszawa. — Ruyard Kipling. *Kim.* 2 tomy. Bibl. Dz. Wyb. Warszawa. — J. Nowiński. *Życie i marzenie.* Nakł. Tow. Wydawniczego. Lwów. — Wł. St. Reymont. *Przed świtem.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Wacław Rogowicz. *Zocha.* M. Borkowski. Warszawa.

TEATR. — Juliusz German. *Dramat.* H. Altenberg. Lwów. — J. Pereświt. *W długą noc.* „Słowo polskie.“ Lwów. — Dagny Przybyszewska. *Krucze gniazdo.* Jan Fiszer. Warszawa.

HISTORYA LITERATURY. — Julian A. Święcicki. *Historya literatury powszechnej.* Tom IV: *Literatura indyjska.* Tom V, cz. 1: *Literatura perska.* Bibl. Dz. Wyb. Warszawa.

ROZPRAWY FILOZOFICZNE I PSYCHOLOGICZNE. — Maryan Massonius. *Rozdwojenie myśli polskiej.* Henryk Radziszewski. Warszawa. — Cezary Popławski. *Fatum.* M. Arct. Warszawa. — Stanisław Przybyszewski. *Synagoga szatana.* J. Fiszer. Warszawa. — John Ruskin. *Etyka pyłków.* Przełożył Wojciech Szukiewicz. Przegląd Filozoficzny. Warszawa.

HISTORYA. — Tadeusz Sierzputowski. *Kartki z dziejów stosunków polsko-pruskich w XVI stuleciu.* J. Fiszer. Warszawa. — Karol Szajnocha. *Jadwiga i Jagiełło.* Część V, VI i VII. Bibl. Dz. Wyb. Warszawa.

PAMIĘTNIKI. — J. Dunin Karwicki. *Z zamglonej i niedawno minionej przeszłości.* Bibl. Dzieł Wybor. Warszawa.

KRAJOZNAWSTWO, PODRÓŻE. — Al. Janowski. *Wycieczki po kraju. Kielce. Góry Świętokrzyskie. Radom.* Skł. gł. u J. Fiszera. Warszawa.

VARIA. — *Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX.* Tom II, zesz. 4, 5 i 6. Nakł. M. Chełmońskiej. Warszawa. — H. Chankowski. *Mnożenie symetryczne, zwyczajne i skrócone.* Nakł. wł. Warszawa. — E. Menault. *Miłość*

macierzyńska u zwierząt. 2 części. Bibl. Dzieł Wyb. Warszawa. — Dr. W. Popiel. *Kobieta wobec badań nauki współczesnej.* Bibl. Dz. Wyb. Warszawa. — Van Faron. *Żywot i myśli Barbary Podfilipskiej.* Warszawa. — *Zprava o Museu Kralovstvi Czeskeho za rok 1901.* Museum Kralovstvi Czeskeho. Praha. — Collection Fr. Żmurko. *12 cartes postales.* I Serie. A. Chodowiecki. Warszawa.

CZASOPISMA NADESŁANE.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA. (Warszawa.) Styczeń—kwiecień 1902.—A. Kraushar: *Nieznany pamiętnik J. U. Niemcewicza o czasach Księstwa Warszawskiego.* — C. Walewska: *Autor.* — Pr. J. Kallenbach: *Nieznane listy J. Słowackiego.* — H. Skirmunt: *W zimie, z cyklu „Rok życia."* — A. Maciejowski (Sewer): *Duch czasu.* — J. Kallenbach: *Antoni Małecki.* — K. Tetmajer: *Podczas wiatru z Tatr.* — W. Dzieduszycki: *Demokracya.* — G. Smólski: *Ostatni Mohikanie polscy.* — J. Przysiecki: *Poezye.* — Ign. Chrzanowski: *Historya literatury polskiej dla Niemców.* — H. Struve: *Znaczenie filozofii w życiu umysłowem narodu.* — W. Bogusławski: *Teatr i muzyka.* — L. Rygier: *Fragmenty.* — Ign. Chrzanowski: *Pierwszy utwór Gabryeli: „Wędrowiec."* — *Rozmaitości.* — *Piśmiennictwo.* — *Kronika miesięczna.* — *Wiadomości naukowe, literackie i bibliograficzne.*

CZASOPIS MUSEA KRALOVSTVI CZESKEHO. (Praha). Rocznik LXXV. Svazek paty a szesty. 1901. — J. Kamper: *Ladislav Stroupeżnicky.* — Dr. Zd. Nejedly: *Alois Jirasek.* — F. V. Vykoukal: *Starovieke bajky z rzisze rostlinne.* — V. Schulz: *Vienovani spisovatelu (1580 - 1639).* — *Hlidka literarni.*

KRYTYKA. (Kraków.) Roczn. IV. 1902, zesz. 1, 2, 3. — Wl. Tetmajer: *Piast. Prolog.* — T. Sobolewski: *„Młoda Polska" w świetle krytyki* — Wł. St. Reymont: *Ostatnie godziny.* — K. Mokłowski: *Walka o sztukę.* — M. Szukiewicz: *Sezam. Sonety.* — L. Staff: *Jan Kasprowicz. Charakterystyka.* — Lambro: *List warszawski.* — J. Jedlicz: *Baśń okien.* — M. Moczulski: *O literaturze ukraińsko-rusińskiej.* — A. Siedlecki: *Nowi ludzie.* — *Ankieta „Krytyki."*— D-mol: *Święto słońca.* — St. Żeromski: *Godzina.* — J. Wiśniowski: *Tryolety.* — *Sprawozdania naukowe i literackie.*

KSIĄŻKA. (Warszawa.) Rok 2 (1902), № 1 - 3. — M. Masonius: *Nasze stanowisko krytyczne.* — H. Orsza: *Piśmiennictwo ludowe.* — *Krytyka.* — *Kronika.* — *Czasopisma.* — *Kuryer księgarski.* — *Bibliografia.*

DAS LITTERARISCHE ECHO. (Berlin.) 1902. № 7 — 14. — H. v. Hopfen: *Der Dichter und sein Beruf.* — M. Sommer: *Stijn Streuvels.* — H. Hart: *Ein Weltanschauungsroman.* — Stijn Streuvels: *Sonntags.* — E. v. Wildenbruch: *Nochmals der Schillerpreis.* — R. Lothar: *Wiener Litteratur.* — H. Bethge: *I. I. David.* — I. I. David: *Im Spiegel.* — C. Hoffmann: *Das tschechische Schriftthum.* — A. Hauffen: *Franz Preszeren.* — R. Fürst: *Anzengrubers Briefe.* — H. Sittenberger: *Oesterreichische Dialektstücke.* — N. Krauss: *Wochenmarkt.* — W. Weigand: *Zwölf Aphorismen.* — R. Presber: *Wilhelm Busch, der Philosoph.* — R. M. Meyer: *Goetheschriften.* — F. Poppenberg: *Der Triumph der Empfindsamkeit.* — J. Theodor: *Die Tragödie des Hochmuts.* — P. Remer: *Unterm Regenbogen.* — H. Bethge: *Gedichte.* — Otto Hauser: *Das Sonett.* — A. Bettelheim: *Auerbach und Grabbe.* — A. Klaar: *Neues von Philipp Langmann.* — P. H. Hartwig: *Ein Raabe-Schüler.* — W. von Scholz: *Neue Dramen.* — T. Schäfer: *Neue Skizzenbücher.* — R. Louis: *Musik-Litteratur.* — O. Hauser: *Das Sonett.* — A. Ruhemann: *Gustave Van Zype.* — P. Legband: *Historische Dramen.* — O. Lyon: *Zur Naturgeschichte des Pessimismus.*— J. Normand: *Die erste Auflage.* — J. Gillhoff: *Volksschriftsteller.* — K. Schirmacher: *Französische Schulromane.* — K. Strecker: *Ibsen-Litteratur.* — M. Meyerfeld: *Ein*

Dichterknabe. — Ch. Witry, Ed. Bertz: *Zwischen den Geschlechtern.* — Fr. Schrader: *Ex oriente lux...* — O. F. Walzel: *Schweizer Alpenromane.* — K. Storck: *Jung - Elsass.* — C. Moeller: *Die Karl Johanstrasse.* — I. Frapan: *Ein japanisches Drama.* — L. Geiger: *Neues über Jean Paul.* — H. F. Helmolt: *Weltgeschichtliche Litteratur.* — G. Steinhausen: *Der deutsche Brief.* — C. Mauclair: *I.-H. Rosny.* — J. Flach: *Neue polnische Romane.* — Fr. Lienhard: *Lamprechts Litteratur - Betrachtung.* — R. Kaupo: *Das Nationalepos der Esten.* — F. v. Zobeltitz: *Zur Geschichte des Buchschmucks.* — *Echo der Zeitungen. Echo der Zeitschriften. Echo des Auslandes* (Polnischer Brief — *J. Flach.*) *Echo der Bühnen. Kurze Anzeigen.*

LUMIR. (Praha.) Roczn. XXX, czisla 9 — 19. — Jirzi Szumin: *Przesazene sztiepy.* — Ot. Theer: *Oczarovane miesto.* — V. Hladik: *Evżen Voldan.* — J. K. Szlejhar: *Peklo.* — V. Mrsztik: *Goncourti.* — Jan Havlasa: *Vlci* — V. Mrsztik: *Morava.* — A. Novak: *Jan Nestroy a jeho diedictvi.* — A. Breska: *Dramata Victora Hugo.* — Em. ryt. z Czenkova: *Victor Hugo.* — K. Jonasz: *Porysz.* — O. Theer: *Poesie Victora Hugo.* — J. Osten: *Oczi w rużich.* — N. Hauskova: *Dvoji poznani.* — R. Jesenska: *Ztracene brzehy.* — K. Baczkowsky, J. Borotinsky, A. Breska, K. Dostal, J. Havliczek, H. Heine (przel. J. Osten), M. Jaronska, H. Jelinek, K. Jonasz, J. Klumpartowa, B. Knösl, St. Kovanda, Em. z Leszehradu, J. S. Mach, V. Macha, B. Marzakova, J. Opolsky, J. Schiller, M. Silen, Jan z Wojkowicz: *Basnie.* — *Literatura. Divadlo. Hudba. Vytvarne umieni.*

IL MARZOCCO. (Firenze.) 1902. № 3 - 16. — A. Conti: *In gloria della pittura* (La capella Brancacci.) — E. Corradini: *„Grandezza e decadenza di Roma."* — G. S. Gargano: *Sul melologo.* — M. da Siena: *Per l'insegnamento della storia dell'arte.* — L. Beltrami: *La piazza delle Erbe in Verona.* — A. Orvieto: *Lo studio florentino.* — D. Angeli: *L'ultimo canto di Rudyard Kipling.* — C. Cordara: *L'autore del Ruy-Blas.* — L. Suñer: *Il genio della Ristori.* — A. Orvieto: *La statua di Goethe.* — D. Angeli; *Roberto Nanteuil et G. Callot.* — G. Giacosa: *Caino* (scena III.) — D. Garoglio: *Per l'italianità.* — A. Conti: *I tempi mutati.* — A. Cantoni: *La chiave di un grottesco.* — Neera: *„Acqua corrente" di Ed. Rod.* — L. Zuccoli: *Maurizio Maeterlinck.* — A. Orvieto: *Carnevali fiorentini.* — G. d'Annunzio: *La nona strofe dell' Ode.* — V. Morello: *Victor Hugo.* — G. S. Gargàno: *L'Italia nella poesia di V. Hugo.* — A. Franchetti: *Victor Hugo e il melodramma italiano.* — A. Orvieto: *Come V. Hugo parlava di Dante.* — E. Corradini: *Hugo e Carducci.* — D. Garoglio: *G. Mazzini e V Hugo.* — D. Angeli: *Victor Hugo disegnatore.* — Gajo: *Un amico dei monumenti.* — G. S. Gargano: *Sull'Ode a Vittore Hugo.* — L. Angeli: *Le monache all'Ospedale.* — A. Cekov: *I Briganti.* — C. Placci: *Dopo una udizione dell' „Egmont."* — T. Ortolani: *Poesia popolare.* — Gajo: *L'aritmetica delle Muse.* — G. Anastasi: *Complici.* — G. S. Gargàno: *Le poesie di G. Marradi.* — G. Tarozzi: *L'accademia platonica e il concetto dell' umanesimo.* — E. Corradini: *Romanzi e novelle.* — C. Cordara: *L'orchestra Kaim di Monaco.* — *Marginalia. Commenti e frammenti. Notizie. Bibliografie.*

MERCURE DE FRANCE. (Paris.) Janvier, — avril 1902. — H. Albert: *Le livre suprême du créateur de valeurs nouvelles.* — O. J. Bierbaum: *Anne-Marguerite et les trois jeunes hommes.* — A. Fontainas: *Saint-Pol-Roux.* — P. Fort: *Ballades françaises (Paris sentimental.)* — F. Baldensperger: *Le Faust de Goethe et le romantisme français.* — T. Klingsor: *Le petit palais.* — L. Dumur: *Un coco de génie.* — A. Delacour: *La religion de Shakespeare.* — Fr. Nietzsche: *Pour une critique de la modernité.* — R. Cantinelli: *Pamphile ou l'été voluptueux.* — G. Danville: *Temples.* — M. Dauguet: *A la primevère.* — J. Marnold: *Siegfried.* — M. - A. Leblond: *Henri de Régnier et la Critique „décorative."* — Rachilde: *Le Tout-au-Ciel.* — L. Bloy: *Exégèse des Lieux-Communs.* — P. de Bouchaud: *La double Statue.* — Fr. de Miomandre: *Paul Claudel.* — R. de Gourmont: *Sur l'Art nouveau.* — R.-H. de Vandelbourg: *Automne.* — L. Dumur: *Un coco de génie.* — V. Josz: *Watteau*

à Paris: le Début de l'Aventure. — P. Quillard: *Lied.* — V. Segalen: *Les Synesthésies et l'Ecole Symboliste.* — J.-C. Mardrus: *Fleurs et Fruits.* — L. Charpentier: *Rituel et Code ésotériques de la Société secrète des Boxers.*—Fr. Porché: *Poèmes.*— P. de Querlon: *La Liaison fâcheuse.* — *Revue du mois* (Epilogues, les Poémes, les Romans, Litterature, Histoire, Sciences, Sciences sociales, Archeologie, Voyages, Questions coloniales, Chronique universitaire, les Revues, les Journaux, les Théâtres, Musique, Art moderne, Publications d'art, les Meubles et la Maison, Chronique de Bruxelles; Lettres anglaises, italiennes, espagnoles, portugaises, hispano-americaines, polonaises, neerlandaises; Variétés, publications récentes, Echos.)

MODERNI REVUE. (Praha.) Leden—duben 1902.—A. Machen: *Velky Buh Pan.*— M. Marten: *Mimo dobro a zlo.* — F. Nietzsche: *Pohled na stat.* — E. Stoy: *Hrzich.*— J. Barbey d'Aurevilly: *Przedmluva k „Diabelskym;" Nejkrasniejszi laska Dona Juana.* — A. Peterka: *Host.* — A. Gide: *Pojednani o Narcisovi (Theorie symbolu.)* — J. Hilbert, F. Fall, V. Dyk, R. Haszek, J. Opolsky, P. Polan: *Basnie.* — *Miesiczni hlidka.* — A. Velharticky, V. Dyk, R. Haszek: *Satyricon.* — H. Hoenich, K. Hlavaczek, B. Hnatek, Aubrey Beardsley, H. Steiner: *Litografie a kresby.*

THE OUTLOOK. (London.) 1902. № 205-220. — *The hope for english art.* — *Mr. Symons's Muse.* — *The use of old masters.* — *Madame the poet* (Mary Robinson.) — *Mr. Ulysses Tree.* — *Mr. H. G. Wells as afterdinner scientist.* — *Essayists, professional and amateur.* — *Royalty and art.* — *„Ulysses" of her Majesty's.* — *Poet or dramatist?* — *The place of classics in modern education.* — *Divinity and paint.* — *Paiting by the Yard.* — *An Engine Idyll.* —*To Royal Academicians.* — *Outcasts of Literature.* — *Fiction-farming for Profit.* — *Verses. Short stories. Reviews. Literary Gossip.*

PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. (Warszawa). Rok V, zesz, 1, 1902. — Wł. M. Kozłowski: *Zagadnienie wiedzy.* — Br. Biegeleisen: *Rozwój pojęcia ruchu w mechanice.* — E. Abramowski: *Dusza i ciało.* — Dr. J. Kodis: *Rzeczywistość i pojęcie naukowe.* — Prof. Dr. J. Baudouin de Courtenay: *O dwojeniu się wrażeń. O złudzeniach.* — *Autoreferaty.* — *Sprawozdania.* — *Wiadomości bieżące.* — *Książki nadesłane.*

LA RASSEGNA INTERNAZIONALE. (Roma.) 1902. Gennaio—aprile. —A. de Bosis *Inno alla terra.* — L. Capuana: *Il di ld.* — E. Sacerdoti: *A proposito dei „Maestri cantori di Norimberga."* — P. Nahor: *Incontro di Jesus con Maddalena.* — J. L. Pagano: *Colloquio col poeta Matheu.* — G. de Frenzi: *A scopo di beneficenza.* — P. de Bouchaud: *Storia di un bacio.* — E. Novelli: *Un guitto* (monologo.) — L. Suñer: *Tranquilla di sensi.* — D. Garoglio: *Esposizione internaziole d'arte a Milano.* — A. Beltramelli: *I ciechi.* — L. Zuccoli: *Uomini e fatti della vita italiana.* — Sem Benelli: *Scene di vita moderna ed antica.* — E. Corradini: *Le opinioni degli uomini e i fatti dell'uomo.* — S. Benelli: *Catalogna.* — G. Gasperini: *Cronaca musicale.* — V. Caracciolo di San Vito: *Jesus.* — R. Pantini. *Le arti minori.* — D. Malonyay: *Le tre Giuditte.* — *Cronaca francese, tedesca spagnuola, inglese, belga, nord-americana.* — R. Quintieri: *Critica... romantica.* — *Notiziaro generale. Bibliografia.*

THE REVIEW OF REVIEWS. (London.) Jan. — march 1902. — *The theatre in England and France.* — *The confessions of a caricaturist.* — *An artist on Japan.* — *Current History in Caricature.* — *Mr. Kipling's Warning.* — *The Art and Ethics of Maxim Gorki.*—*The British Academy of Learning.*—*Two Artists.*— *Beautiful Memories of Browning.* — *Should National Museums be Open Free?* — *Some Reminiscences of Walt Whitman.* — *The Reviews Reviewed [A high-class Polish Magazine (CHIMERA)].* — *Books of the Month.*

LA REVUE BLANCHE. (Paris.) Mars, avril 1902.—L. Delarue-Mardrus: *Poèmes.*— E. Vernon: *Le Champ de l'Analyse.* — M. Twain: *A la dure.* — F. Le Dantec: *M. Brunetière est plein d'espoir.* — G. Apollinaire: *L'Hérésiarque.* — L. Tolstoy: *Quarante*

ans. — N. Hennique: *Vulcanales.* — H. Roorda van Eysinga: *La notion du Parfait dans l'Enseignement.*—A. N. Apoukhtine: *Le Journal de Pavlik Dolsky.*—F. Caussy: *D'une lignée de conteurs galants.*—Tchen-chety: *Fils de l'Asie, voyageant sous...*— Lou-tsine-hane: *Innombrables sont les...* — *Gazette d'art.* — *Les théâtres.* — *Les livres.*

LA REVUE d'ART DRAMATIQUE. (Paris). Janvier. 1902. G. Trarieux: *Le Médecins au Théâtre.* — P. Verbaere: *Le Théâtre Flamand.* — A.-E. Sorel et P. Acker: *Fausse route.* — H. Lyonnet: *Histoire des Comédiens.* — J. Lorentowicz: *Le Père Marc, la Philharmonie Varsovienne.*—*Les Théâtres de Paris.*—*Province.*—*Etranger.* — *Chronique des Livres de théâtre, chroniques des oeuvres musicales.*—*Revue des Revues.*

LA REVUE DU BIEN. (Paris.) Janvier — avril 1902. — J. Marni: *Une mère.* — M. Legrand: *Comment Charlemagne conquit Durandal.* — A. Germain: *J. Coront.* — A. Dorchain: *J. Valadon.* — G. Lafenestre: *Barques bretonnes.* — *Solidarite intellectuelle* (lettres de Mistral, Björnson, Lugné-Poë, Juliette Adam, Sully-Prudhomme etc.) — G. Bjorkman: *Sully-Prudhomme.* — E. Blémont: *Victor Hugo.* — L. Stechetti: *Memento.* — M. Olivaint: *Mer et ciel.* — R. Bouyer: *Gustave Moreau.* — J. Loredan: *Edmond Cuisinier.* — M. Legrand: *Aux Masques de la Mi-Carême.* — E. Blemont: *Le Poète de la Bonté.* — J. Renard: *Le Portrait.* — A. Mithouard: *Le Christ aux masques.*—D. Ailhaud: *Paul Gonzalès.*—Sully-Prudhomme: *Science et Poésie.*— J. Lorentowicz (trad.): *Vers son Dieu,* nouvelle de Stefan Żeromski. — H. Lichtenberger: *Christian Wagner.* — G. de Montgailhard: *Lecomte du Noüy.* — *Bibliographie. Illustrations.*

SRDCE. (Żamberk.) Listopad 1901. — O. Theer: *Karla.* — K. B. Englich: *Ružena Suttnarova.* — M. Marten: *K otazce czeského romanu.* — K. Rożek: *Zbyteczny život.* — K. R.: *Proti t. zv. krvavym romanum.* — K. Toman, J. Müldner, J. S. Holy, J. Skarlandt, S. Karmen: *Basnie.* — *Kritika. Literatura. Drobne zpravy.*

SLOVANSKY PRZEHLED. (Praha.) Unor 1902. — P. Maternova: *Z poesie M. Konopnicke.* — M. Jama: *O slovinskem umieni vytwarnem.* — R. Jesenska: *Z nejnoviejszi poesie maloruske. Bohdan Łepkyj.* — O. Wagner: *Ze souczasne tendenczni poesie polske.* — *Dopisy* z Varszavy, z Poznanie, z haliczske Rusi, z Chorvatska, z Lublanie. — *Umieni, vieda:* Cz.: *Literatura polska r. 1901.* — Bohdan Łepkyj: *Ukrajinska literatura r. 1901.* — *Rozhledy a zpravy.*

THE SPECTATOR. (London.) № 3836 - 3851. 1902. — *The old masters of the Academy.* — *Historical art. English Kings and queens at the new gallery.* — *What Mr. Wells anticipates?* — *Music and general education.* — *„Ulysses" at Her Majesty's theatre.* — *Dante and Giovanni del Virgilio.* — *Soundlessmusic.* — *A New Anthology.* — *The New Froissart.* — *Music: Expert and Amateur Criticism.* —*Heroines.* — *Thomas Hardy's „Poems of the Past and the Present."*— *The Problem of the Shakespeare Plays.* — *Sir Walter Besant.* — *Current literature. Publications of the week.*

TYGODNIK ILUSTROWANY. (Warszawa.) №№ 1 — 10. 1902. — El. Orzeszkowa: *Anastazya.* — Wł. St. Reymont: *Chłopi.* — W. Gomulicki, J. Jankowski, Adam M-ski, Br. Ostrowska, Kl. Podwysocki, D. Śliwicki, K. Tetmajer, Wł. Zagórski: *Poezye.*— Ign. Matuszewski: *Stanowisko Mickiewicza w literaturze wszechświatowej.* — Ign. Matuszewski: *Antoni Kamieński.* — Fel. Jabłczyński: *Józef Pankiewicz.* — Ant. Kamieński: *Moi przyjaciele.* — *Kroniki. Sprawozdania. Ryciny.*

WISŁA. (Warszawa.) Listopad, grudzień 1901. — Prof. J. Kral: *Najnowsze kierunki badań mitologicznych.* - M. Wawrzeniecki: *Fragmenty budownictwa drewnianego.* — K. Skrzyńska: *Baśnie z okolic Zamościa i Krasnegostawu.* — H. Łopaciński: *Kilka szczegółów ludoznawczych ze „Wspomnień młodości" K. Brodzińskiego.* — Z. Korotyńska: *Pieśni ludowe ze wsi Zapniowa.* — A. Freiman:

Z „Schachname." — Poszukiwania. Sprawozdania i krytyka. Przegląd czasopism. Drobiazgi.

DIE ZEIT. (Wien.) 1902. № 379 - 394. — Prof. F. Paulsen: *Die Epidemie des Hexenwahns und die kirchlich-scholastische Philosophie.* — M. Herzfeld: *Marie Baschkirzew.* — H. Ostwald: *Gorkis Verbrecherroman.* — A. Heine: *Buddenbrooks.* — R. Muther: *Burne Jones.* — E. Herner: *Eduard v. Bauernfeld.* — W. A. Neumann: *Ruskin und die Renovierung von St. Stephan in Wien.* — M. Burckhard: *Der Herakles des Euripides.* — M. Martersteig: *Das Ueberbrettl.* — S. Haecker: *Stanislaus Wyspiański.* — R. Muther: *Requiescat in pace* (Zur Galeriefrage.) — M. Burckhard: *Troilus und Cressida.* — K. Boeck: *Japanisches Theater.* — A. v. Ende. *Amerikanische Literaturverhältnisse.* — R. Muther: *Der Hagenbund.* — F. Poppenberg: *Sigbjorn Obstfelder.* — R. Muther: *Die Ausstellung der Wiener Secession.* — C. Mauclair: *Victor Hugo.* — R. Wallaschek: *Wiener Musik - Aufführungen.* — S. Grossmann: *Literaten, Journalisten-und Dilettanbtenücher aus Oesterreich.* — E. Key: *Malvida v. Meysenburg.* — Dr. G. Pauli: *Kunsterziehung.* — J. A. Lux: *Die Kunst und der Staat.* — Dr. E. Castle: *Ferdinand v. Saar's „Hermann und Dorothea."* — E. Orlik: *Korin.* — Dr. M. Dessoir: *Rede und Gespräch.* — Dr. A. Cloesser: *Courteline.* — F. Gregori: *Des Schauspielers Antheil.* — M. Maeterlinck: *Die Zukunft.* — Dr. R. Batka: *Bunte Bühne.* — Dr. M. Meyerfeld: *Oscar Wilde.* — W. Spohr: *Die Kunst im Leben des Kindes.* — L. Adelt: *Von der neuen Lyrik.* — Dr. H. Ubell: *Paul Schad-Rossa und die Grazer Kunstbewegung.* — M. Finder: *Der Fall Baumberg.* — E. Salburg, G. Rodenbach, A. Croissant - Rust, R. M. Rilke, G. v. Ompteda, R. de Gourmont, Fr. Kayssler, R. Michel, C. Viebig, S. Trebitsch: *Novellen und Erzählugen.* — *Die Woche. Revue der Revuen. Bücher.*

ZVON. (Praha.) 1902. Seszity 8 - 15. — J. Holeczek: *Na pohany.* — A. Jirasek: *U nas.* — Fr. X. Svoboda: *Povidka o lehkem srdci.* — B. Bausze: *Prziroda a umieni.* — Z. Winter: *Vojaczka.* — J. Salaba: *O narodnosti a mezinarodnosti ve viedie a crkvi.*—M. A. Szimaczek: *O spisovatelske otazce u nas.*—J. Vrchlicky: *Victor Hugo.* — Dr. B. Prusik: *Nikolaj Vasiljevicz Gogol.* — A. Heyduk: *Kdo byl spisovatelem nahrobnich napisu czeskych literatu a vynikajicich osobnosti okolo roku szedesateho.* — St. Jarkovsky: *Dva manżele.* — Fr. J. Thomayer: *Chrysanthemy.* — Dr. B. Prusik: *V. A. Żukovskij.* — J. Baudisz, K. Dostal, B. Grünwald, A. Heyduk, A. Klasztersky, L. Krzikava, J. Linhart, Cz. Ostrovicky, A. Pikhart, Fr. Prochazka, M. Silen, Fr. X. Svoboda, J. Szery, K. Teichman, J. Vrchlicky: *Basnie.* — *Literatura. Divadlo. Hudba. Tyden.*

VARIA.

COLLOQUIA

I.

Luscinia noctu cantat.

Był gaj tuż za podwórzem.
Wiosna. Jednej chwili
Nie upłynęło w nocy
Bez słowiczych tryli.
Do chlewów, obór, stajen
Niosły one pienia

Trąd poezyi, mór tęsknot
I rozpróżniaczenia.
Byk zawiesił czynności
I w zadumach tonie;
Kur, miast kury zaptadniać,
Układa symfonie;

Koń wierzga i wywraca
W katużę wóz z gnojem;
Krowa zerwała kontrakt
Z żydem-mlekodojem;
Kot myje się i przestał
Dybać na byt mysi;
Pająk na złotej nici
Nad muchami wisi;
Gęś o lotach śni w życiu
Niezależnem, dzikiem:
Tak wszystkich rozmarzyła
Wiosna ze słowikiem.

I wszystkim to *groziło,*
Że się uczłowieczą.

Pan mizerniał, oblicze
Łez zalewał cieczą.

Aż zebrał Świnię, Osła,
Psa, i im się żali.

— „Jak nie pojdę z torbami,
Gdy będzie tak dalej.
Radźcie wy, nadbydlęta,
W których duszę mrzonka
Żadna się poetycka
Nigdy nie zabłąka,
Co mam począć, o Świnio,
Ośle? Jak widzicie,
W podstawach zagrożone:
Praca, trzeźwość, tycie.
Radź, stróżu ideałów,
Kaczek aporterze,
Psie mój, Świnio ma, Ośle,
Radźcie mi w tej mierze."

Rzekł Osieł: — „Duch zmysłowy
Dziś krowy zakaża.
Sam widziałem: w pejs jedna
Ugryzła pachciarza.
Tę złośliwość bym nazwał
Myśli PEJSYMIZMEM,
Który łatwo zmódz głodem
I plag rygoryzmem."

— „Ja mniemam"—rzekła Świnia,—
„Co do konia, byka:
Przyczyną bezrobocia
Ich — MAŁA ETYKA,
Brak wiary, cnót społecznych...
I, mniemam, najprościej
Byłoby ich pozbawić
Nadmiaru płciowości.
Wałach się nie zaraża
Pieśniami słowika,
I wół powolniej słucha,
Niż byk, i nie bryka.
Co do kota, to nie wiem...
Kotów nie trzebiono."

— „Możnaby mu ubarwiać
Myszy na zielono" —
Rzekł Pies, zdrowy esteta: —
„Kolor łąk, bo przecie
Zieleń wznieca myśliwskość
W zwierzu i w poecie.
Zresztą, przyczyna złego
Nie w tem, lecz w Słowiku:
Ztapać tylko przyczynę,
Zdusić, i po krzyku."

Tedy ruszyła trójca.
Wiódł Pies, z miną lisa,
Gdzie gniazdo dekadencyi
Społecznej zawisa.
A gdy je wytropili,
Rzecze Świnia (w rzeczy
Codziennego rozsądku
Nikt świń nie przeprzeczy):

— „Nawróć się"— rzekła,—„ptaku:

Ujdziesz życia nędzom,
Spasiesz się, jak ja—widzisz?..
Potem cię uwędzą
Dymy kadzideł, potem
Schowają cię; takoż
Niejeden cię po śmierci
Chwalić będzie smakosz.
Ja — parol — *kiedy jako*
Prosiak młody ginę,
Opychają mnie farszem
I wieńczą wawrzynem.
Nawróć się, zostań świnią...
Nie?.. psem?.. osłem?.. też nie?..
No, to bądź i słowikiem,
Lecz nie piej tak grzesznie."

Tu podjął mowę Osieł:
— *„Twój śpiew jest wyzuty*
Z prostoty, śpiewasz, jakbyś
Na sznur nizał nuty.
Czemuż to nie śpiewywasz
Cip-cip-cip *lub* ko-ko,
Gól-ból, *albo* hop-sasa,
Lecz ciągniesz wysoko
Tryl i długo? Mnie słuchaj:
O, uważasz... ryczę."
Tu chropowaty wrzucił
Ryk w uszy słowicze.

— *„Czekaj pan" — rzekła Świnia,* —
„Zaśpiewamy trio."

— „Oui-oui-oui" — *zawrzasnęli* —
„Cham-cham-cham, a-y-o!"

Biedny ptak nie wytrzymał
Społecznej „canzony",
Zerwał się i odleciał
W jak najdalsze strony.

Zaczem i pan odetchnął,
I znów życiem zdrowem
Żył, siał, płodził, gnój woził,
Orał, doił krowę...

II.

„Mówiąc między nami."

Wół poczciwiec do Ptaka przyszedł i tak wyrzekł:
— „O ty, co gardzisz ziemią i rwiesz się do wyżek,
Tam gdzie ma niedościgłe siedlisko chimera;
Tam gdzie pewno traw niema, gdzie „życie" zamiera;

Tam gdzie leży Prometej twój do skał przykuty: —
Posłuchaj, naucz ty mnie niebieskiej marszruty.
Chciałbym i ja popatrzeć na te rzeczy świętsze:
Jak tam *orzą* i *gnoją* na najwyższem piętrze?

Chciałbym poznać twój *zenit*, jeśli to nie bajda...
Ot, co tu długo gadać — weź mnie w dziób i hajda!"
Uśmiechnął się król wyżyn i rzekł: — „Dobry Wole!
Chociażeś duży urosł, mówisz jak pacholę.

Drwić z fantazyi, ze skrzydeł, z duszy — toś ty gotów,
Wlazłeś w ziemię po pępek, a chciałbyś polotów?
Wyczerpany oraniem albo erotyką
(Hygieniczną), chcesz sprostać orłom lub słowikom?..

Cóż więcej, ziemianinie? Kropkę stawiać mamże-ć
Nad „i"?.. Chcesz nieba, wyżyn, musisz naprzód zamrzeć
Jako wół czteronogi, musisz odwołowieć:
A przedtem o fruwaniu nie mamy co mówić.

Pókiś Wół, tak czy owak, nic tu nie pomoże:
Kto kocha niebo — fruwa, kto ziemię, gnój — orze."
— „Tek?.. więc *ty* lot poniżyć racz tu do nas, tłumu
„Maluczkich," lecz mających też coś-nie-coś *umu*."

Ale Ptak odpowiedział: — „Masz um?.. więc chciej „zumieć",
Że zniżać lot do tłumu to znaczy lot *TŁUMIĆ*.
Bo ptak może gnić, spadły, w jakim ziemskim dole,
Ale Wół się nie wzniesie nigdy. Żegnaj, Wole."

To rzekłszy, rozpiął skrzydła i przed Wołu nosem
Uleciał w kraj „wizyjnej" Chimery (z chaosem).

Jan Lemański.

ZESZYT NINIEJSZY zawiera 13 arkuszy druku, czyli o arkusz więcej od *maksymalnej* objętości naszych numerów. Uczyniliśmy to dla utrzymania związku z chwilą bieżącą.

BITWA POD GRÜNWALDEM Matejki, *Dwie głowy* J. Malczewskiego i *Ruczaj w lesie* F. Ruszczyca zakupiło T. Z. S. P., dzięki skutecznej pomocy kilkunastu miłośników sztuki, którzy przy otwarciu nowego pałacu Sztuk Pięknych zobowiązali się wnosić przez lat pięć stałe wkładki różnej wysokości na powiększenie zbiorów Towarzystwa. Słyszeliśmy też o nabyciu *Piazza del Popolo* A. Gierymskiego, a podobno w toku są pertraktacye o kupno jednego z kapitalnych jego studyów do *Altany*. Jak bardzo pocieszające są to objawy, jak głębokiego uznania godni są ci, dzięki zabiegom których wszystko to doszło do skutku, trudno wprost wypowiedzieć. Postępując dalej wytrwale w tym kierunku, Towarzystwo będzie

mogło pochlubić się niezadługo niewielką może, ale z dzieł pierwszorzędnych złożoną galeryą i relegować spokojnie na strychy z połowę melancholijnych zbiorów dawniejszych. Chodzi o to tylko, aby nabywać mniej raczej, ale same rzeczy doskonałe. Luwr nawet paryski, że niezawsze tak czynił, zaczyna dzisiaj pokutować. I jeszcze jedno: lepiej byłoby na przyszłość wyprzedzać przy kupnach chwilę „powszechnego uznania,“ wtedy bowiem, z jednej strony, „zachęca się“ istotnie wielki nowy talent, odpychany jeszcze przez prasę i społeczeństwo, z drugiej zaś, skromne ostatecznie fundusze na galeryę, póki jeszcze dany artysta nadmiernie nie poszedł w cenę, łacniej zadanie swe spełnić mogą. — Bądź co bądź, w Towarzystwie nowy jakiś zawiał powiew. Bodajby jaknajprędzej dal on się uczuć i w innych zakresach działania „Zachęty“: w kwestych premiów, zakupów dzieł do rozlosowania, stałego bazaru wystawowego i t. p.

SZKOŁA SZTUK PIĘKNYCH w Warszawie, o pierwszorzędnem znaczeniu której pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów, ukonstytuowała się nareszcie: ustawa została zatwierdzona, komitet opiekuńczy wybrany, fundusze na rok pierwszy złożone. Chodzi teraz głównie o doskonały dobór kierowników artystycznych, aby Szkoła stać się mogła nie bylejaką, lecz pierwszorzędną w swoim rodzaju instytucyą. Od tego doboru, nad którym komitet najbaczniejby zastanowić się powinien, zależy przyszłość szkoły, kulturalne jej znaczenie i nieoczekiwany może rozwój.

SZTUKI GRAFICZNE, po wcale pięknych tradycyach pierwszej połowy ubiegłego wieku, były u nas od dość dawnego czasu w zupełnem zaniedbaniu. Podczas gdy za granicą rozwijały się imponująco akwaforta, autolitografia, drzeworyt oryginalny i t. p., my tkwiliśmy uparcie i wyłącznie w „olejnictwie.“ Przed kilku laty dopiero, wytworny pejzażysta Jan Stanisławski zaczął pierwszy próbować autolitografii czarnej i kolorowej. Skwapliwie korzystaliśmy z jego ochoty i zdolności w tym kierunku — i czytelnicy nasi mogli sami przekonać się, z dołączonych w pierwszym roczniku pięciokolorowych litografij oryginalnych (Kościół św. Marka, Topole, Villa d'Este), do jak pięknych doszedł urzeczywistnień. Dobry przykład nie pozostaje bez wpływu. Obecnie ruch graficzny jest w pełnym rozwoju. Pankiewicza piękne akwaforty podziwialiśmy na jego wystawie; akwaforcie także oddaje się z zapałem Fr. Siedlecki; Stanisławski, obok autolitografii, próbuje drzeworytu czarnego i kolorowego; drzeworytem również zajmują się gorliwie Dębicki i Tichy;

Wyspiański pracuje nad nieznaną zupełnie na zachodzie fluorotypią; Wyczółkowski, ze zwykłą sobie energią, „szuka“ nader szczęśliwie w litografii naraz i akwaforcie. Potrzeba skupienia i przez to spotęgowania tych indywidualnych usiłowań wywołała zawiązane w Krakowie za inicyatywą p. F. Jasieńskiego „Stowarzyszenie artystów-grafików polskich,“ które nader szybko wydało pierwszą prac swoich tekę. Wzięli w niej udział, prócz wyżej wymienionych, Axentowicz, Malczeski, Mehoffer, Ruszczyc, Trojanowski i Weiss. O tece tej, gdy ją mieć będziem w ręku, pomówimy obszerniej na tle ogólnego zarysu ewolucyi sztuk graficznych.

O ANKIETACH pisaliśmy powyżej. W uzupełnieniu notujemy, że od jakiegoś dnia do innego toczyła się poruszona przez jeden z kuryerków sprawa o to: co robić z pewnym rodzajem sztuk teatralnych, przez tenże kuryerek *pesymistyczno-zmysłowemi* nazwanych, które, aczkolwiek robią kasę czyli są pożyteczne dla dobra teatru i zwiększenia narodowego bogactwa wogóle, to jednak dyskredytują inne, poczciwe, *optymistyczno-umysłowe* (?) prace i wywołują na twarzach pensyonarek oraz uczni czerwoność rumieńców, choć znamionującą wstyd, ale bezwstydnie nieukrywaną i dla osób poważnych złym i gorszącym będącą przykładem? Rozstrzygnięcie tej sprawy kuryerek ów powierzył ankiecie. Najpodobniejszemi do siebie okazały się odpowiedzi Sienkiewicza i p. Szelążka; przyczem *ostatni* „modernistów“ — jak ich nazywa — piętnować radził, a *pierwszy* napiętnował ich słowami *ruja* i *porubstwo*.*). Z trzydziestu i jednego przedstawiciela „pleby,“ ośmnastu, jak obliczyła redakcya tegoż kuryerka, oświadczyła się przeciw *rui*, trzynastu za nią. Spodziewać się należy, iż dla tej piątki (18 — 13 = 5), którą nazwaćby można sprawiedliwą i której właśnie brakowało w Sodomie i Gomorze, warszawscy grzesznicy ułaskawieni zostaną.

WYSTAWA „SZTUKI“ krakowskiej prawdziwą dla szczerych miłośników piękna była uroczystością. Dobór wspaniałych dzieł, absolutny brak miernot, wreszcie, artystyczne samej ekspozycyi urządzedzenie, składały się na wrażenie zupełnie wyjątkowe, jakiego, niestety, w „salonach“ i towarzystwach sztuk pięknych tak rzadko się

*) *Ruja* — słowo myśliwskie — oznacza porę zwierzęcych wesel, tańców, tokowań, rautów, balów i flirtów; *porubstwo* — wyraz bibljny, przez Skargę używany, znaczy nielegalną poufałość miłosną, jako następstwo zaślepienia płciowego w toku, tańcu lub flircie. (Każdy gatunek zwierząt ma swój wyraz specyalny).

doznaje. — O wystawie napiszemy obszernie; tymczasem, aranżerom jej i wszystkim członkom „Sztuki“ szczerze winszujemy wielkiego tryumfu.

UCZCZENIE PAMIĘCI A. DYGASIŃSKIEGO. Na mocy zezwolenia, otrzymanego d. 9 grudnia 1902 r. z kancelaryi warszawskiego Generał-Gubernatora, pp. *A. Sygietyński* (Ordynacka, 8) i *M. Białowiejski* zostali upoważnieni do zbierania składek na wzniesienie pomnika A. Dygasińskiemu na cmentarzu powązkowskim. *Gazeta Polska* donosi, iż panowie ci zrobili już przedwstępną umowę z artystą-rzeźbiarzem p. Cz. Makowskim. Pomnik ma być wykonany z marmuru kieleckiego, bronzu i granitu, i stanąć na Powązkach na jesieni.

JAN WROCZYŃSKI zakończył życie w Krakowie. Mało komu, prócz najbliższych, mówi coś dzisiaj to nazwisko, ale rozebrzmi ono gromkim dźwiękiem, gdy się ukażą nieliczne utwory, które pozostawił, — i nie przeminie. Dwudziestoletni zaledwie był to chłopak, ale o duszy olśniewająco głębokiej, o wyobraźni przebogatej, o uczuciu niewysłownie szczerem i prostem, o kulturze, jaką mało kto z rowieśnych czy poprzedników może się pochlubić. Wizyoner, zapatrzony w najgłębszą życia istotę, nostalgista płomienny, sprężający się ku rzeczom najwyższym, nieodgadnionym, niewysłownym, szedł przez życie, tonąc w waryackich dla trzeźwej praktycznej okolności marzeniach, a co z nich wcielał, to niejednokrotnie jedyne, ostateczne, arcydzielne przybierało kształty *(U źródła, Dusza, Więc...)*. I odszedł, snadź jeszcze za wielkiem, tak długo szukanem „Tem“... — Książka, którą wykończył i sam oddał do druku, ukaże się niezadługo! Przyjaciele przygotowują nadto wydanie puścizny rękopiśmiennej.

Żegnaj, duchu tęsknoty nieukojnej pełny. Niech żal nasz idzie za tobą...

CHIMERA.

CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.

22, rue Nouveau Monde, Varsovie

Sommaire du N-ro 14. — Août 1902.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS (LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES. OBJETS D'ART etc.) ADRESSÉES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.

ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

CHIMERA MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY SZTUCE I LITERATURZE

Warszawa — Nowy Świat 22. — Skrzynka pocztowa Nr. 457

REDAKTOR: ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM) przyjmuje w *piątki* od 2 do 4 pp.; ADMINISTRACYA otwarta *codzień* od 2 do 6 pp.

PRZEDPŁATA w r. 1902 przyjmuje się **na wydanie zwykłe:** tylko

	w Warszawie	z przes. poczt.	za granicą
półroczna (od lipca do stycznia)	5 rb. —	6 rb. 50 k. —	20 fr. 15 mar. 18 kor.
lub kwartalna	3 rb. —	3 rb. 50 k. —	11 fr. 8 mar. 10 kor.;

na **wydanie wytworne,** tylko półroczna: w Warszawie **15** rb., z przesyłką pocztową **17** rb. **50** kop., za granicą **50** fr., **40** mar., **45** kor.

Cena zeszytu niniejszego rb. 2.

ROCZNIK PIERWSZY CHIMERY zawiera:

W DZIALE POEZYI: UTWORY ORYGINALNE — St. Barącza, St. Brzozowskiego *(wybór)*, Campanelli, J. Jedlicza, Jana Kasprowicza *(Moja pieśń wieczorna, Salve Regina, Hymn św. Franciszka z Assyżu, Judasz)*, M. Komornickiej, J. Krobickiego, J. Lemańskiego *(Sonety i Bajki)*, B. Leśmiana, E. Leszczyńskiego, K. Lubeckiego, M. Markowskiej, T. Micińskiego, Wł. Nawrockiego, Cypryana Norwida *(List do Walentego Pomiana Z.)*, H. Ochenkowskiego, Br. Ostrowskiej, Wł. Perzyńskiego, J. Ruffera, Juliusza Słowackiego *(Niewydane waryanty do Króla Ducha)*, L. Staffa, W. Sterlinga, M. Wikszemskiego, K. Wroczyńskiego, St. Wyrzykowskiego, K. Zawistowskiej, H. Zbierzchowskiego, M. Zbrowskiego — oraz *PRZEKŁADY:* ze starych ballad ludowych skandynawskich, angielskich i szkockich (tłóm. E. Porębowicz), z T. de Banville'a - *(wybór*, tłóm. Miriam), z Campoamora *(Licencyat Torralba*, tłóm. A. Lange), z Coleridge'a *(Pieśń o starym żeglarzu*, tłóm. J. Kasprowicz), z A. Giraud'a *(Rondele fantastyczne*, tłóm. Miriam), z J. Keats'a *(Hyperion*, tłóm. J. Kasprowicz), z J. Rodenbacha (*wybór*, tłóm. El-ka), z J. Zeyera *(Na Synai*, tłóm. Miriam);

W DZIALE DRAMATU: C. Norwida—*Wanda*; hr. de Villiers de l'Isle Adam'a—*Axel*; Chr. D. Grabbego—*Żart, satyra, ironia i głębsze znaczenie*; A. Gide'a—*Filoktet*;

W DZIALE PROZY EPICKIEJ: UTWORY ORYGINALNE —W. Berenta (*Próchno*), Z. B. Bytkowskiego, Z. Dębickiego, M. Komornickiej, T. Micińskiego, C. Norwida (*Ad leones*), St. Przybyszewskiego (*Fragmenty z „Synów ziemi“*), W. Reymonta (*Komurasaki*), St. Wyrzykowskiego, M. Zawiejskiej; oraz *PRZEKŁADY:* —z Andersena, J. Eekhouda (*Chwała Lutterathu)*, Wł. Garszyna (*Attalea Princeps)*, A. Gide'a *(Prometeusz źle spętany)*, J. Schlafa *(Pieśń)*, M. Schwoba (*Krucyata dziecięca)*, W. Stefanyka;

W DZIALE PROZY MYŚLOWEJ — rozprawy i studya: O. Brzeziny (*Tajemnicze w sztuce)*, A. Böcklina (*Wyznania*), Fr. Nietzschego (*Dusza dostojna* i *Fragmenty z Zaratustry)*, Z. Przesmyckiego *(Los geniuszów, Walka ze sztuką, Drzeworyt japoński, J. A. Rimbaud)*; wreszcie stała *KRONIKA MIESIĘCZNA*, omawiająca objawy w literaturze, sztukach plastycznych, teatrze i muzyce;

W DZIALE SZTUKI PLASTYCZNEJ:

PLANSZE OSOBNE — Aubrey Beardsley *(Tannhauser wracający na Venusberg)*, Fr. Bilek *(głowa Zeyera)*, A. Dürer (*dwa rysunki z „Apokalipsy“)*, A. Gierymski *(Plac Maksymiliana w Monachium)*, Kuniyoshi *(Gra o stawkę)*, G. Moreau *(Chimera)*, F. Rops (*Wielka lira)*, J. Stanisławski (litogr. kolorowe. — *Kościół św. Marka, Villa d'Este, Topole)*, Utamaro *(Kobieta z lusterkiem)*, St. Wyspiański *(Apollo)*;

RYSUNKI OKŁADKOWE — St. Dębickiego, K. Krzyżanowskiego, J. Mehoffera, E. Okunia (dwa), M. Wawrzenieckiego, M. Wisznickiego; oraz

OZDOBY I RYSUNKI W TEKŚCIE — J. Auchentallera, St. Dębickiego, A. Donnay'a, Hiroshige'a, Hokusai'a, G. Klimta, G. Khnopffa, Korina, St. Krzysztalowicza, Kuniyoshi'ego, J. Mehoffera, A. Mosera, T. Noskowskiego, E. Okunia, J. Pieńkowskiego, F. Ropsa, Shiokoku, Fr. Siedleckiego, J. Stanisławskiego, Utamaro, F. Vallotona, M. Wawrzenieckiego, M. Wisznickiego, Yosai'a.

Po cenie prenumeracyjnej nabywać jeszcze można przez czas niejaki:

całość rocznika I-go (tomy 1—4) — w Warsz. za rb. **9**, z przes. za rb **12**—;
drugie półrocze (tomy 3 i 4-ty) — „ „ **5**, „ „ **6,50**.
Zeszyty oddzielne, po cenie oznaczonej na każdym, — **tylko z kwartałów 2-go, 3-go i 4-go; kwartał 1-szy wyczerpany.**

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.